


Wyrafinowany thriller psychologiczny pełen zwrotów akcji

LESLIE WOLFE

TAJEMNICA LEKARKI

A man in a white lab coat and a red tie is walking away from the camera down a hospital hallway. The hallway has rows of brown chairs on both sides. The floor is light-colored and reflects the man. The walls are a light blue color. The lighting is dramatic, with a strong blue tint in the background.

Precyzyjny
chirurg.

Kochająca
żona.

Morderca?

MANDO

Leslie Wolfe

Tajemnica lekarki

tłumacz:

Ewa Ratajczyk

Powieść Tajemnica lekarki jest fikcją literacką. Postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych wydarzeń, okoliczności czy osób, żywych lub nieżyjących, należy uważać za zbieg okoliczności.

Originally published under the title *The Surgeon*

Copyright © Leslie Wolfe, 2023

Published in Great Britain in 2023 by Storyfire Ltd trading as Bookouture

All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2024

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwielał-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: © The Brewster Project

Zdjęcia na okładce: © Depositphotos

Opracowanie graficzne okładki: Tetiana Leonova/Studio Inigo

Skład: Lucyna Sterczewska

ePub e-ISBN: 978-83-277-3743-4

Mobi e-ISBN: 978-83-277-3744-1

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.mando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Podziękowania

Jeden. PACJENT

Dwa. OBIAD

Trzy. INTROSPEKCJA

Cztery. DROGA

Pięć. POKÓJ HOTELOWY

Sześć. DOM

Siedem. WYZNANIE

Osiem. SZEŚĆ

Dziewięć. WIZYTA

Dziesięć. PYTANIA

Jedenaście. LEKCJE

Dwanaście. OBSŁUGA HOTELOWA

Trzynaście. SEJF

Czternaście. PROBLEM

Piętnaście. ZEZNANIA

Szesnaście. ARTYKUŁ

Siedemnaście. BAT

Osiemnaście. PONIEDZIAŁEK

Dziewiętnaście. DOWÓD

Dwadzieścia. KOMISJA

Dwadzieścia jeden. OFICJALNIE

Dwadzieścia dwa. MIEJSCE ZBRODNI

Dwadzieścia trzy. ALBUM

Dwadzieścia cztery. ARESZTOWANIE

Dwadzieścia pięć. ŁUT SZCZĘŚCIA

Dwadzieścia sześć. NAKAZ

Dwadzieścia siedem. GABINET

dwadzieścia osiem. BIEG

Dwadzieścia dziewięć. HOBBS

Trzydzieści. RADA

Trzydzieści jeden. NAZWISKO

Trzydzieści dwa. PRAWDA

Trzydzieści trzy. WINA

Trzydzieści cztery. NAGRANIE

Trzydzieści pięć. POCAŁUNEK

Trzydzieści sześć. NA CELOWNIKU

Trzydzieści siedem. ŚWIĘTOWANIE

Od autora

Szczególne podziękowania należą się gwiazdzie palestry, mojemu przyjacielowi z Nowego Jorku Markowi Freybergowi, który po mistrzowsku przeprowadził mnie przez zawłości systemu sądownictwa.

Gorące podziękowania dla dr Deborah (Debbi) Joule za przychylność i mądre rady. Dzięki niej zgłębianie tajników chirurgii sercowo-naczyniowej okazało się zadaniem mniej przerażającym. Jej wiedza, precyzja i dbałość o szczegóły sprawiły, że pisanie tej powieści było dla mnie fantastycznym doświadczeniem.

JEDEN

PACJENT

Co ja zrobiłam?

To pytanie krąży mi po głowie, przeszywa i osłabia ciało. Przyływ adrenaliny daje mięśniom impuls do biegu, ale nie mam dokąd uciec. Roztrzęsiona i słaba osuwam się na podłogę, moją jedyną podporą jest zimna, wyłożona płytkami ściana za plecami. Przez chwilę wpatruję się w swoje dłonie i ledwie je rozpoznaję, jakbym nigdy wcześniej nie widziała ich w chirurgicznych rękawiczkach poplamionych krwią. Wydają mi się obce: cudze dłonie przyczepione do mojego ciała w wyniku jakiejś niezrozumiałej pomyłki.

Ciche, miarowe pikanie rozlega się bez ustanku w nieprzerwanym szmerze klimatyzacji. Żałuję, że nie mogę zebrać sił, by kazać im ją wyłączyć. Sala operacyjna zamarła, wszystkie oczy skierowane są na mnie, szeroko otwarte i pełne napięcia ponad maskami na twarzach.

Tylko jedne patrzą gniewnie i świdrują mnie przy każdej sposobności – stalowoniebieskie, śmiertelnie zimne tęczówki, ukryte za grubymi soczewkami i przyłbicą. Doktor Robert Bolger, nadal siedzący przy aparaturze anestezjologicznej, nie musi nic mówić.

Powiedzieliśmy sobie wszystko, co trzeba było powiedzieć. A nawet więcej.

– Wyłącz to – szepcze Madison. – Lee Chen wciska przycisk i upiorny dźwięk milknie. Podchodzi do mnie i kuca obok. Wyciąga dłoń w stronę mojego ramienia, ale powstrzymuje się i go nie dotyka. – Anne? – szepcze z wiszącą w powietrzu dłonią. – Anne? Chodźmy.

Powoli kręcę głową, wpatrując się w podłogę. Pamiętam najdrobniejsze szczegóły specyfikacji warstwy polimerowej pokrywającej podłogi wszystkich sal operacyjnych. Bezużyteczna informacja zajmuje miejsce w mojej głowie z niewiadomych powodów, bo przecież jestem chirurgiem, użytkownikiem tych posadzek z błękitnej mozaiki, a nie kimś, kto decyduje, jaką warstwę należy położyć.

– Anne? – Madison kojącym, ciepłym głosem powtarza moje imię.

– Nie – odpowiadam szeptem. – Nie mogę.

Zakrwawiony tampon spadł ze stołu i poplamiał nieskazitelną podłogę kilkanaście centymetrów od czubka mojej prawej stopy. Podwijam nogę pod siebie i wpatruję się w gazę, jakby plama krwi na niej mogła mnie dopaść.

Madison cofa się pod gniewnym spojrzeniem doktora Bolgera.

On wzdycha i wyłącza swój sprzęt, co potęguje ciszę w pełnej napięcia sali.

– Chyba skończyliśmy. – Wstaje z jękiem frustracji i rzuca echokardiologowi, doktorowi Deanowi, wymowne spojrzenie. – Chodźmy na kawę, żeby wypłukać z siebie wspomnienie tej katastrofy.

Doktor Dean zerka na mnie przelotnie, jakby pytał spojrzeniem o zgodę. Pewnie czuje się winny, że Bolger go wybrał. To wszystko

dzieje się niemal poza mną.

Nie reaguję. Nie jestem w stanie.

Mój umysł jest gdzie indziej, przeżywa kolejne chwile tego, co wydarzyło się od rana.

Dzień zaczął się dobrze i nic nie zapowiadało tego, co nastąpi. Kapryśny, wietrzny wiosenny poranek sprawił, że moja codzienna przebieżka była raczej ćwiczeniem woli, a nie fizycznej wytrzymałości. Chicago potrafi okazywać mieszkańcom swoją szorstką miłość podmuchami wiatru, które przenikają do szpiku kości bez uciekania się do chirurgii – wystarcza pogoda i jej ludzka percepcja.

Jak przez kilka ostatnich tygodni przebiegłam standardową pętlę w parku Lincolna, zerkając na wiązy i rokitniki z nadzieją, że znajdę pączek, choćby maleńki. Byłam gotowa na wiosnę, kwitnące ogrody i cieplejsze słońce. O niczym innym nie myślałam; o wpół do siódmej rano zdawało się, że to zwyczajny czwartek. Jakże złudnie.

Około wpół do ósmej wjechałam na poziom dla pracowników na szpitalnym parkingu i zajęłam swoje numerowane miejsce. Późnym wieczorem w zaciszu domowego gabinetu zgodnie ze swoim zwyczajem przejrzałam szczegóły zabiegu zaplanowanego na ten dzień.

W planie była operacja tętniaka aorty wstępującej. Pacjent, pięćdziesięciodziewięcioletni mężczyzna, nazywał się Caleb Donaghy. Mieliśmy zacząć punkt dziesiąta.

Z Calebem Donaghyem spotkałam się wcześniej dwa razy. Pierwszy raz podczas wizyty. Jego kardiolog wykrył u niego dużego tętniaka i skierował go do nas na zabieg. Doskonale pamiętam tę kon-

sultację. Pacjent, co zrozumiałe, był przerażony diagnozą, a każde moje słowo jeszcze bardziej to przerażenie potęgowało. Trzymał ręce skrzyżowane na piersi, jakby osłaniał serce przed moim skalpelem. Jego zaniedbana broda miała żółtawoszare pasemka, taka sama siwizna zdobiła skronie, przynajmniej tak zauważyłam pod jego bejsbolówką, której nie chciał zdjąć. Pozwoliłam mu zatrzymać ją na głowie.

Przez chwilę był posepny i zadziorny, podważał wszystko, co mówiłam. Co takiego zrobił, że pokarało go tętniakiem? Niedawno z przyczyn niezwiązanych z sercem zmarli mu rodzice. Dopiero po dobrych piętnastu minutach uspokajania go mogłam przeprowadzić badanie.

Tak wyglądało nasze pierwsze spotkanie.

Później zobaczyłam go znowu wczoraj wieczorem, po zebraniu zespołu operującego. Caleba Donaghy'ego przyjęto dwa dni wcześniej i ponownie wykonano badania krwi. Gdy weszłam, siedział w łóżku beczynnienie, w poplamionej bejsbolówce Cubs na głowie, z założonymi na piersiach rękami, oparty na poduszce. Telewizor nie był włączony, na łóżku nie było gazet, telefon leżał na szafce nocnej wyświetlaczem do dołu. W pokoju unosił się lekki fetor stęchłego tytoniu i pijackiego potu. Mężczyzna był zamyślony, przygnębiony i samotny. I wściekły. Chwilę wcześniej dowiedział się, że przed operacją ogolą mu brodę i klatkę piersiową. I jakby tego było mało, ktoś z administracji szpitala wpadł, żeby go zapytać, czy jest zarejestrowanym dawcą organów. Przez siedem długich minut na różne sposoby oznajmiał mi, że nie zamierza pozwolić, by go sprzedano na części. Wie, co my, lekarze, robimy z ludźmi takimi jak on, bez rodziny, która mogłaby nas pozwać, i bez pieniędzy. Pobi-

eramy organy i przeszczepiamy je tym, którzy najwięcej zapłacą. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że poszczególne budynki naszego szpitala noszą nazwiska najbogatszych mieszkańców Chicago?

Zapewniłam go, że tak nie jest. Nie chciał słuchać. Później mu powiedziałam, że wystarczy, żeby nie wyraził zgody, a transplantacja organów nie będzie wchodziła w rachubę w przypadku niepomyślnego wyniku operacji. Co jest eufemistycznym określeniem zgonu na stole operacyjnym. Natychmiast się uspokoił.

Ale to było wczoraj.

Dziś rano Madison czekała na mnie z kawą, kiedy weszłam do gabinetu. Jest najlepszą pielęgniarką chirurgiczną, z jaką pracowałam, i moją osobistą asystentką, kiedy nie jest w kombinezonie.

Madison, Lee Chen – uzdolniony drugi pielęgniarz chirurgiczny w moim zespole, Tim Crosley – perfuzjonista sercowo-naczyniowy, który obsługuje płucoserce nazywane przez nas pompą, i doktor Francis Dean – echokardiolog, tworzą mój stały zespół chirurgiczny. Anestezjolog to loteria, w której mi się nie poszczęściło, i trafiłam, niestety, na doktora Bolgera. Ma w sobie coś odpychającego. Może z powodu nieskrywanej mizoginii. Podobno administracja szpitala dwukrotnie udzieliła mu pisemnej nagany z powodu seksistowskich uwag, jakie wygłaszał, mówiąc, że kobiety w szpitalu nadają się najwyżej do zawodu pielęgniarki. Bije od niego pogarda dla kobiet, choć od niedawna jest ostrożniejszy w jej demonstrowaniu. Jest aroganckim sukinsynem, a przy tym świetnym anestezjologiem. Osiągnięcia zawodowe karmią jego pychę i niszczą stanowczość szpitalnej administracji wobec problemów z jego zachowaniem. Taki jest doktor Bolger.

Kiedy razem przeprowadzamy operację, zawsze staram się z nim współpracować najlepiej jak to możliwe dla dobra pacjenta i zespołu operującego.

Nigdy nic z tego nie wychodzi. Do tanga trzeba dwojga.

Pamiętam, że zakląłam pod nosem, kiedy zobaczyłam w grafiku jego nazwisko, po czym wyparłam tę kwestię z umysłu.

Doktor Bolger był już na sali operacyjnej, gdy weszłam.

– Dzień dobry – powiedziałam, nie licząc na odpowiedź. Nie padła, doczekałam się jedynie lekkiego kiwnięcia głową i zerknięcia z ukosa spoza chirurgicznej zasłony oddzielającej jego świat od mojego, po czym znów skupił się na wózku ze sprzętem po swojej prawej stronie. Za tą przesłoną kontroluje drogi oddechowe pacjenta. Podczas operacji rzadko, o ile w ogóle, widzę twarz pacjenta.

Skupiam się na sercu.

Mam czterdzieści jeden lat i zajmuję się tym od lat dwunastu, odkąd skończyłam specjalizację z chirurgii ogólnej. Zaraz potem przeniosłam się na kardiochirurgię i nigdy nie oglądałam się za siebie. Właśnie tym od zawsze chciałam się zajmować. I nigdy nie straciłam pacjenta na stole.

Do dziś.

Na myśl o tym czuję się tak, jakbym dostała cios w brzuch.

Ściągnięta z powrotem do ponurej rzeczywistości, przez chwilę rozglądam się wokół i usiłuję zarejestrować to, co widzę. Oświetlenie zabiegowe zostało wyłączone. Madison nadal tu jest, spogląda na mnie z troską. Lee Chen siedzi na swoim stołku, gotowy zerwać się na równe nogi, gdy zajdzie potrzeba. Tim Crosley czuwa przy pompie, zgarbiony, ze spuszczoną głową. Gdyby mógł, pewnie

oparłby czoło na dłoniach, ale jeszcze pracuje, zachowuje sterylność. Dopóki pompa furkocze, pełni dyżur.

Wracam myślami do zabiegu. Na sali operacyjnej było gwarno jak zwykle. Virginia Gonzales, wspomagająca instrumentariuszka, która biega w tę i z powrotem, dba o organizację i przynosi wszystko, czego potrzebujemy, opowiada o swoich doświadczeniach z randkowaniem przez internet. Dopiero co przeżyła trudny rozwód. Niedawno doszła do wniosku, że może się jeszcze rozejrzeć i kogoś poznać. Podziwiałam ją za tę siłę ducha i po cichu miałam nadzieję, że nie kieruje nią desperacja z powodu wizji samotnego życia. Jak się okazało, mężczyzna z Tindera, z którym umówiła się na pierwszą randkę, dramatycznie rozminął się z prawdą, gdy się przedstawiał, i cały zespół zaśmiewał się, kiedy Ginny opowiadała o szczegółach. Powiedział, że jest dyrektorem do spraw transportu, a w rzeczywistości był kierowcą ciężarówki. Nic w tym złego, zapewniła szybko Ginny, ale nie słyszał o nici dentystycznej, a w czasie dwudziestopięciominutowego spotkania wymusknęło mu się, że podczas tras korzysta z usług prostytutek. Tanich, szybko zapewnił oniemiałą Ginny.

Słuchając jej opowieści, nie mogę powstrzymać myśli o tym, jak wdzięczna jestem za mojego męża i nasze małżeństwo. Spędziłabym życie jako pustelniczka, gdybym miała teraz zacząć umawiać się na randki.

Na sali znów rozległa się salwa śmiechu, kiedy Ginny dodała:

– Po prostu stamtąd wybiegłam.

Doktor Bolger zgromił ją wzrokiem.

– Postarajmy się zachować choć trochę profesjonalizmu, o ile to w ogóle możliwe – wycedził powoli dla mocniejszego efektu. –

Jeśli nie proszę o zbyt wiele.

Ugryzłam się w język, żeby nie wdać się w sprzeczkę. Wszyscy pracowali, każdy wykonywał swoje zadania. Zespół operacyjny funkcjonuje najlepiej, kiedy ma możliwość rozładowania napięcia. Jeśli na sali operacyjnej panuje cisza, jeśli nikt niczego nie opowiada, jeśli nie gra muzyka, to znaczy, że dzieje się coś bardzo złego.

Wolałabym, żeby wszyscy śmiali się cały boży dzień. W ten sposób odpycha się śmierć. Przynajmniej u mnie się to sprawdzało. Do tej pory.

– Co włączyć? – spytała Madison, stając przy zestawie stereo.

– Hm, chwileczkę. – Poranna przebieżka przywiodła mi na myśl Beatlesów. – Jest *Here Comes the Sun*?

Madison uśmiechnęła się pod maską; widziałam to w jej oczach. Uwielbiała ich.

– Mam tutaj całą kolekcję ich największych przebojów.

– Niech leci – powiedziałam, przesuwając się pomiędzy wyposażeniem i stołem operacyjnym, aż dotarłam na moje miejsce przy piersi pacjenta. Salę zalała muzyka.

Nucąc, wyciągnęłam rękę, a w mojej dłoni znalazł się skalpel. Nie musiałam o niego prosić, Madison wie, jak pracuję. Jestem pewna, że potrafi czytać w moich myślach, choć naukowo nie dowiedziono, że coś takiego jest możliwe.

Od pierwszego nacięcia – pionowej linii na środku mostka – każdy krok był rutyną.

Sternotomia, żeby odsłonić serce.

Otwarcie osierdzia, cienkiej osłony serca, i odsłonięcie tętniaka.

Był duży, jeden z największych, jakie widziałam. Ale to mnie nie zaskoczyło, oglądałam już wyniki wcześniejszych badań obrazow-

ych. Byliśmy na to przygotowani.

- Pompa - powiedziałam, polecając Tomowi, żeby zaczął przepuszczać krew pacjenta przez płucoserce. - Przygotować klamry - oznajmiłam. - Zimny płyn - poprosiłam. Zimny roztwór potasu został podany do komór serca. Hojnie opłukałam roztworem zewnętrzną część serca, wiedząc, że będzie ochraniał tkankę organu podczas naszej pracy. Po kilku sekundach serce się zatrzymało, a jego podobne do śmiertelnego unieruchomienie ogłosił jednostajny dźwięk, na który czekaliśmy. Dźwięk obwieszczający zgon albo zatrzymanie akcji serca.

Przy nieruchomym sercu zaczęłam pracować nad tym, żeby tętniaka aorty zastąpić protezą naczyniową. Zdążył wybrzmieć niemal cały album Beatlesów, zanim ją wszyłam.

Dziwne, ale najlepiej ze wszystkiego pamiętam chłód. Na sali operacyjnej zawsze jest zimno. System klimatyzacji wydmuchuje powietrze o temperaturze szesnastu i pół stopnia. Zimny roztwór, który obniża temperaturę serca i je unieruchamia, ma cztery stopnie, niewiele powyżej temperatury zamarzania. Palce po chwili mi drętwieją, ale poruszam nimi tak szybko, jak mogę. A jednak dziś chłód wydawał się silniejszy niż zwykle i mogę powiedzieć, że to jedyne przeczucie, jakie miałam.

Nie wierzę w przeczucia. Mam swoje powody.

Kiedy skończyłam wszywanie protezy, uważnie przyjrzałam się swojemu dziełu, żeby sprawdzić, czy szwy są wystarczająco mocne. Ostateczny test miał nastąpić, gdy przez protezę zacznie płynąć krew. Wtedy miałam się przekonać, czy dochodzi do przecieków, i dokonać poprawek. Zwykle nie były potrzebne. Do tej pory byłam zadowolona.

- Ciepła sól fizjologiczna – poprosiłam. Te trzy słowa oznaczały koniec etapu kardioplegii, podczas której serce jest zupełnie nieruchome. Opłukałam organ ciepłym roztworem, rozkoszując się uczuciem ciepła na zmarzniętych palcach, po czym odessałam nadmiar roztworu. – Zwolnić klamry.

Z brzękiem wylądowały na stercie zużytych narzędzi. Wstrzymałam oddech, wiedząc, że nadeszła chwila prawdy.

Serce pozostało zupełnie nieruchome. Zero migotania, zero słabych uderzeń. Nic. Kompletnie martwe.

Coś takiego nie zdarza się prawie nigdy.

- Resuscytacja – oznajmiłam. Madison wskazała sprzęt stereo i Ginny go wyłączyła, a później nastawiła drugi czasomierz z dużymi czerwonymi cyframi. Salę spowiła cisza, złowieszcza, niechciana cisza, podkreślona jednostajnym buczeniem kardiomonitora. – Epi-
nefryna, *cito*.

- Epi podana – potwierdził Bolger.

Dawka hormonu powinna była coś dać. Nie dała. Szybkimi ruchami masowałam serce, ale czułam, że zupełnie nie reaguje.

- Łyzki – poprosiłam spiętym, niecierpliwym głosem. Madison umieściła je w moich dłoniach. Położyłam je ostrożnie po przeciwległych stronach serca. – Odsunąć się – krzyknęłam i wcisnęłam przycisk. Nastąpiła krótka przerwa w jednostajnym wyciu, a później znów dźwięk niosący złe wieści.

Podjęłam jeszcze kilka prób, a później powróciłam do masowania serca.

- Potrzebuję jeszcze jednej dawki epi. Czas?

- Siedemnaście minut – oznajmiła ponuro Madison.

- Niech to szlag - wymruczałam pod nosem. - Dalej, Caleb, wróć do mnie.

Przez kilka minut kontynuowałam masaż, ale nic się nie wydarzyło. Pompa nadal natleniała krew i dostarczała ją do organów, lecz z sercem był problem. Jego tkanki nie chronił już zimny roztwór potasu. Z każdą upływającą minutą jego stan się pogarszał, szanse na to, że kiedykolwiek jeszcze zabije, szybko gasły.

- Dalej, już! Żyj! - warknęłam. - Wracaj.

Poczułam pragnienie spojrzenia na twarz pacjenta, jakby mogła skrywać jakieś podpowiedzi. Zrobiłam mały krok, wychyliłam się poza chirurgiczną zasłonę - i zamarłam z rozwartymi ustami pod maską i dłonią wiszącą w powietrzu. Chyba westchnęłam, ale raczej nikt tego nie usłyszał wśród szumu klimatyzacji, furkotu pompy i wycia monitora.

Rozpoznałam tego mężczyznę. Krew zastygła mi w żyłach.

Twarcz, którą widziałam wczoraj i której wtedy nie skojarzyłam, teraz była ogolona. Na łysym, nieosłoniętym bejsbolówką czole z prawej strony znajdowało się znamię. Czerwona plama o nieregularnych kształtach rozbryźnięta na skórze, jakby ktoś oblał ją winem.

Musiałam użyć całej siły woli, żeby wrócić za przesłonę. Oddychając głęboko chłodnym powietrzem, dzięki czemu nie postradałam zmysłów, rzuciłam łyżki na stół i wpatrywałam się w serce, które nie chciało bić.

- Czas? - spytałam znowu, tym razem zdławionym głosem.

- Dwadzieścia jeden minut - odpowiedziała Madison.

Wsunęłam dłonie do klatki piersiowej i zaczęłam masować serce, doskonale wiedząc, że moje uciski nic nie dadzą.

Jeszcze raz ciężko westchnęłam.

- Kończę - powiedziałam.

- Co takiego? - Bolger zerwał się ze stołka. - Oszalałaś? Próbuj dalej.

Spodziewałam się tego.

- Mogłabym, ale on nie wróci, Robert. Próbowaliśmy wszystkiego. Serce nie drgnęło nawet minimalnie.

Stalowe oczy ciskały we mnie gromy.

- Tak szybko się poddajesz? Dlaczego? Śliczne rączki się zmęczyły, skarbie?

Odpuściłam. Klótnia nad otwartą piersią Caleba Donaghy'ego nikomu nie wyszłaby na dobre.

- Mój zabieg, ja decyduję. - Wytrzymałam przez chwilę jego przeszywające spojrzenie. - Czas zgonu: trzynasta czterdzieści siedem.

W sali zapadła grobowa cisza. W końcu personel zaczął się kręcić, zbierać narzędzia, ściągać rękawiczki, wyłączać aparaturę. Jedynie Tim pozostał na swoim miejscu przy pracującej nadal pompie zabezpieczającej organy i tkanki Caleba.

- Nie do wiary, co tu się dziś wydarzyło - skwitował Bolger. - W głowie się nie mieści. Jesteś żałosna. Trudno powiedzieć, że straciłaś dziewictwo... ty się go lekkomyślnie pozbyłaś.

Seksualna aluzja do faktu, że nigdy wcześniej nie straciłam pacjenta, sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać, czy jego pogarda nie wynika przypadkiem z zazdrości. Ta myśl szybko jednak uleciała.

Rzeczywistość zmiażdżyła mnie niczym rozpędzony pociąg.

Co ja zrobiłam? Czyżbym właśnie zabiła człowieka?

DWA

OBIAD

Paula Fuselier niemal biegła od drzwi taksówki do wejścia do hotelu Langham, głośno stukając obcasami na gładkim, śliskim chodniku. Zwolniła na chwilę przy wejściu do lobby, żeby uniknąć potrącenia starszej kobiety ciągnącej walizkę Louis Vuitton na kółkach, ale zaraz na nowo podjęła sprint, gdy z niepokojem sprawdziła godzinę na wyświetlaczu telefonu.

Miała już dwie minuty spóźnienia. Szef powiedział: punkt czwarta. Słowa „punkt” użył właściwie dwa razy. Dlatego tak zależało jej na tym, by zdążyć na czas. Odgłos stukających obcasów zwrócił uwagę recepcjonisty, kiedy dzieliło ją od lady jeszcze kilka metrów. Uśmiechnął się wyrozumiale, jakby chciał powiedzieć, że nie ma potrzeby pędzić. Zatrzymała się, gotowa znów puścić się biegiem.

– Travelle? – rzuciła nazwę restauracji, przekrzykując panujący w lobby gwar.

Recepcjonista uśmiechnął się szerzej.

– Na piętrze. – Wskazał rząd wind.

Pośpieszne stukanie szpilek na lśniącej marmurowej podłodze niosło się echem po przestronnym holu. Przy windach wcisnęła niecierpliwie guzik kilka razy, postukując obcasem prawego buta w przyspieszonym rytmie niespokojnego serca.

– Przepraszam za spóźnienie. – Usłyszała znajomy męski głos. Gdy drzwi windy się otworzyły, odwróciła się i zobaczyła obok siebie swojego szefa Mitcha Hobbsa, z surowym uśmiechem, którego nie było widać w jego oczach. – Na szczęście nie zdarza mi się to prawie nigdy, kiedy mam być w sądzie.

Policzki zaczęły ją palić pod makijażem. Insynuacja była wyraźna. Szef zawsze wytykał niepunktualność, nawet kilkunutową. I wszelkie inne uchybienia, choćby błahe. Prokurator stanowy hrabstwa Cook nie tolerował niedoskonałości.

A jednak odetchnęła z ulgą. Sytuacja wyglądała lepiej niż koszmar alternatywa: przełożony czekający na nią w najbardziej eleganckiej restauracji pięciogwiazdkowego hotelu, stukający palcami w wykrochmalony obrus, liczący na to, że jego podwładna okaże odrobinę szacunku i zjawi się punktualnie.

Zdołała się na niepewny uśmiech, przeprosiła szeptem i wsiadła do windy. Wewnątrz zawahała się na chwilę, aż w końcu wcisnęła przycisk, siląc się, żeby opanować drzenie dłoni.

Gdy winda ruszyła, szybko przejrzała się w lustrze. Choć zaproszenie padło niespodziewanie, z niewielkim wyprzedzeniem, jej długie brązowe włosy wyglądały idealnie, jakby dopiero wyszła od fryzjera, spięte luźno z tyłu złotą perłową klamrą, z kilkoma luźnymi kosmykami okalającymi twarz. Jej makijaż był idealny – poprawiła go po drodze w taksówce. Elegancki kostium wyglądał stosownie do okazji – idealny odcień granatu pasował do satynowej bluzki. Wykończenie przy dekolcie w formie kokardy z długimi końcami nieco się zdeformowało i przekrzywiło. Zdenerwowana, szybko poprawiła je ukradkowym ruchem za plecami szefa, mając nadzieję, że niesforne, śliskie końce nie wylądują w talerzu z zupą.

Nie miała pojęcia, jaki cel miało to niespodziewane zaproszenie.

Mitchell Dwight Hobbs był całkowicie skupiony na swoich zadaniach i nimi pochłonięty. Pracowała dla niego od ośmiu lat, a zanim został wybrany na stanowisko prokuratora stanowego drugiego pod względem liczby ludności hrabstwa w Stanach Zjednoczonych, podlegała jego poprzednikowi. Jej praca sprowadzała się do wymierzania sprawiedliwości tym mieszkańcom Chicago, którzy na to zasługiwali. Gdy zdała egzamin po ukończonej aplikacji, odrzuciła oferty pracy w kilku kancelariach adwokackich na rzecz biura prokuratora stanowego i poświęciła życie czemuś ważnemu: walce o sprawiedliwość dla każdego, dla ludzi z nizin społecznych, dla tych, którym rzadko udaje się zabrać głos we własnej sprawie.

Pragnęła być ich głosem. Ta pasja przyniosła owoc w postaci okazałego dorobku wyroków skazujących, plasując ją na drugim miejscu, tuż za prokuratorem stanowym. W przestępczym świecie Chicago zdobyła sobie przydomek. Nazywano ją Żmiją – zabójczą, jeśli ktoś wszedł jej w paradę. W głębi duszy uwielbiała to przezwisko. Oznaczało, że odnosi sukcesy.

W eleganckiej restauracji zrobiono rezerwację na nazwisko Hobbsa. Dobrze go tu znano. Z wyraźną swobodą poprowadził ją przez dużą salę restauracyjną do stolika przy oknie, gestem wskazał, by zajęła miejsce, po czym usiadł naprzeciwko niej. Wbrew temu, czego się spodziewała, nie było wykrochmalonego białego obrusu. Błat stołu, pokryty nieskazitelnym lakierem podkreślającym słoje drewna, idealnie harmonizował z wystrojem wnętrza.

Kelner zjawił się natychmiast z tacą schłodzonej pellegrino i dwiema wysokimi szklankami. Inny przyniósł karty dań i płynnym ruchem położył je przy nakryciach.

Paula przez chwilę czuła ulgę, że może ukryć zdziwione spojrzenie przed wnikliwym wzrokiem szefa. Wszystkie dania zapowiadały się kusząco, ale miała wrażenie, że nie będzie w stanie niczego zjeść, bo ściśnięty żołądek wydawał się bolesny, jakby połknęła kamień. Hobbsowi na podjęcie decyzji wystarczyło kilka sekund. Odłożył menu na stół i natychmiast zjawił się kelner z notesem w dłoni.

– Poproszę stek, Willie – oznajmił Hobbs, po czym odwrócił się do niej. – A dla pani?

Paula z trudem przełknęła ślinę.

– Wystarczy sałatka. Nie jestem głodna.

Hobbs uderzył dłonią w lśniący blat. Ten gest znała dobrze z narad dotyczących postępowania strony skarżącej i niekończących się analiz kolejnych spraw.

– Bzdura. – Płynnie przeniósł wzrok na kelnera. – Dla pani również stek z kością. Tak jadają łowcy.

– Tak jest, proszę pana – odparł kelner. – Jak wysmażony?

– Średnio, z odrobiną krwi. – Jego wargi rozciągnął uśmiech. Ten promienny wyraz twarzy i błysk w oczach, który pojawił się, gdy mówił o łowcach, mięsie i krwi, pozbawiły jego wygląd banalności, zniknęła pozorna łagodność, jaką nadawały mu okulary w srebrnych metalowych oprawkach, i niemal stały uśmiech zgasł, na ułamek sekundy ukazując jego prawdziwe oblicze. Gdy wbił w nią wzrok, w oczach nadal miał błysk. – Bo tak robią łowcy. Wysysają krew.

Paula poczuła dreszcz na plecach. Położyła dłonie na udach, złożyła je równiutko i bez mrugnięcia powieką odparła:

– To prawda.

Willie znikł równie niepostrzeżenie, jak się pojawił, a między nimi przez chwilę panowała krępująca cisza. Paula powstrzymała się przed wypiciem łyka wody, świadoma tego, że Hobbs obserwuje każdy jej ruch. Udając beztroską i swobodną na tyle, na ile tylko mogła, czekała, jakby zupełnie nic jej nie trapiło.

– Cóż, przejdę do rzeczy – odezwał się w końcu Hobbs, wzdychając. – Ponieważ się spóźniliśmy.

Paula zdobyła się na powściągliwy uśmiech zamiast jęku i przewrócenia oczami. Cztery minuty. Zaledwie. Ale w sumie miał rację.

– Przyglądałem się pani. – Hobbs podniósł szklanekę z wodą i obracał nią ostrożnie, jakby chciał pozbawić ją bąbelków. – Nie potrafi pani przegrywać. – Uśmiechnął się do niej na krótką chwilę, jednakże zaraz spoważniał. – Uwielbiam to u prokuratorów z biura prokuratora stanowego. Potrzebuję tej cechy u wszystkich moich podwładnych, ale mają ją tylko nieliczni.

Paula odważyła się na głęboki oddech.

– Panią cechuje jednak coś, czego nie rozumiem.

Uniosła brwi.

– Może będę umiała wytłumaczyć.

Wykonał dłonią gest, prosząc ją o cierpliwość.

– Pewne sprawy doprowadza pani do sądu i je wygrywa, zarzuty przedstawiając z klasą, swobodnie. W innych, jak w sprawie kradzieży Kestnera w zeszłym miesiącu, oskarżonych ściga pani zawzięcie, jakby była pani żądna krwi.

Paula przełknęła ślinę, nie spuszczać wzroku z twarzy szefa. O co mu chodzi? Mógł z nią o tym porozmawiać w biurze.

Milczała i zaczekała, by zadał jej pytanie.

– Czym różniła się sprawa Kestnera? – Mitch Hobbs uważnie jej się przyglądał, jak drapieżnik gotowy do ataku. – Chodzi o kwestie osobiste?

Chwila pełnej napięcia ciszy.

– Chodzi wyłącznie o ofiarę – odparła swobodnie. – Jeśli ofiarą jest osoba nieuprzywilejowana, w tym wypadku osierocone dziecko wychowane w systemie pieczy zastępczej, które rozpoczyna dorosłe życie bez centa przy duszy, nie mam dla sprawcy litości. – Pochyliła się w jego stronę, opierając dłonie na krawędzi stołu. – Wyobraża sobie pan, jakim wysiłkiem dla tego chłopaka było zebranie pieniędzy na tę zdezelowaną hondę? Ile ten gruchot dla niego znaczył? Może nieco lepszą pracę, a nawet miejsce do spania, gdyby jakimś trafem wylądował na ulicy. Czasy są niepewne. – Jej szczupłe, wypielęgnowane palce znalazły rąbek serwetki i bawiły się nim bezwiednie. – Ta honda miała dla niego wartość o wiele większą niż pół miliona ukradzione z konta kryptowalutowego jakiegoś rekina korporacyjnego, o którym było głośno w zeszłym miesiącu.

– A, rozumiem – powiedział Hobbs. – Wie pani, co to oznacza?

Paula, lekko zaskoczona, pokręciła głową.

– Jest pani naturalna. To polityczny kapitał w czystej postaci. Jak ruda złota, surowa, piękna, nieprzetworzona. Przeciwieństwo fałszu. Bardzo trudno o taką osobę.

Przyglądała mu się, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierza rozmowa. On jednak wydawał się niezrażony jej milczeniem.

– Jestem przekonany, że przyszłość tego biura można powierzyć w pani ręce. Awansuję panią na dyrektorkę wydziału kryminalnego i od dziś będę panią szkolił, by mogła pani zająć moje miejsce.

Paula z rozchylonymi wargami wpatrywała się w niego przez krótką chwilę. Zdawało jej się to nierealne, ale Mitchell Hobbs nie był człowiekiem pozwalającym sobie na żarty z biura, którym z dumą kierował.

– Nie wiem, co powiedzieć – wydusiła z siebie, boleśnie świadoma tego, że marszczy czoło; raczej nie była to stosowna reakcja na wiadomość o awansie.

– Miłe byłoby: dziękuję.

Uśmiechnęła się nerwowo.

– Dziękuję. Jestem wdzięczna za zaufanie. Nie spodziewałam się tego. Jestem...

– Najmłodszą dyrektorką wydziału kryminalnego w historii?

Kiwnęła głową, zerkając na kelnera zbliżającego się z dwoma dużymi talerzami, które spoczywały na jednej ręce. Niefortunna chwila na przerwanie rozmowy.

– Kwestia raptem kilku lat. Sprawdziłem dane. – Odchylił się, by Willie mógł postawić przed nim stek, a później rozłożył serwetkę i położył ją sobie na kolanach. – Jestem pewien, że sobie pani poradzi. Owszem, niektórzy poczują się urażeni, Parsons pewnie się wścieknie i przejdzie do prywatnego sektora za siedmiocyfrową pensję, a pani będzie reprezentowała stronę przeciwną i za każdym razem, kiedy wasze ścieżki przetną się w sądzie, będzie mu pani podawać na tacy jego własną głowę. – Wbił widelec w mięso i odkroił duży kawałek. Wypływające soki zabarwiły talerz na kolor krwi. – Zgadza się?

Spróbowała gniecionych ziemniaków. Były pyszne, maślane, kremowe i delikatne, jakby zmieszane z powietrzem.

– Jak najbardziej. – Wizja mierzenia się w sądzie ze sfrustrowanym, zdopingowanym i finansowo zmotywowanym Parsonsem na ułamek sekundy ją przeraziła, ale zaraz uśmiech rozpromienił jej twarz. Był zwykłym uprzywilejowanym dupkiem po Harvardzie, z trzeciego pokolenia prawników, i z wiekiem obrósł w piórka. Nie dorównywał jej bystrością. – Nie mogę się tego doczekać. – Cokolwiek miało spotkać tego sukinsyna, bez wątpienia sobie na to zasłużył. Miała ochotę zerwać się z krzesła i zacząć tańczyć wokół stołu.

Hobbs spojrział na zegarek i lekko się skrzywił, po czym wskazał stek Pauli.

– Proszę jeść. Zostało dokładnie osiem minut.

Znów zmarszczyła brwi.

– Do czego?

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Do imprezy. – Przywołał kelnera. – Proszę przynieść butelkę szampana o wpół do piątej, punktualnie. Cztery kieliszki. Jeśli goście zjawią się wcześniej, proszę kazać im zaczekać w lobby, dopóki nie skończymy.

Willie skinął głową i zniknął. W restauracji zaczęło się robić tłoczno, ale zdawało się, że kelner był przypisany do ich stolika – oddalał się właściwie tylko na kilka metrów.

Paula odkroiła kawałek steku i żuła go powoli, rozkoszując się wybornym smakiem. *Osiem minut? Kto ma się zjawić?* Przez chwilę kusilo ją, by zapytać, ale postanowiła zachować powściągliwość i czekać. Przy Hobbsie rozmowa w sprawie pracy nigdy się nie kończyła. Mogła jeszcze wszystko zepsuć.

- Zacznie pani w maju. Tannehill w przyszłym miesiącu przechodzi na emeryturę. - Hobbs z widoczną przyjemnością przeżuwał ostatni kęs wołowiny.

- Nie wiedziałam - odparła Paula bez zastanowienia. Natychmiast pożałowała. Nie mogła sobie pozwolić na to, by wyjść na niezorientowaną.

Hobbs odsunął talerz. Zjawił się Willie i go zabrał.

- Porozmawiajmy o dłuższej perspektywie.

Dłoń Pauli zamarła w powietrzu z widelcem kilka centymetrów od jej warg. Powolnym ruchem odłożyła go i słuchała.

- Będzie pani miała trzy miesiące na wdrożenie się, trzy miesiące na szkolenia, a później rok okresu próbnego. Będę oczekiwał od pani wyższych standardów niż od któregokolwiek z pozostałych pracowników. Liczę, że będzie pani wykonywała zadania lepiej, szybciej i z o wiele większym zaangażowaniem niż ktokolwiek inny, kto kiedyś ścigał przestępstwa kryminalne w tym hrabstwie.

Wypiła łyk wody.

- Rozumiem.

- Jeśli napotka pani trudności, proszę tego nie ukrywać. W takich przypadkach należy się zwrócić z prośbą o pomoc. Ja tak zaczynałem. To nie jest łatwa praca.

Kiwnęła głową.

- Dziękuję. Tak zrobię. - Zamilkła na chwilę, niepewna, czy może zadać pytanie. - A co z moim zespołem?

Skinął głową zamiast odpowiedzieć.

- Może pani mówić mi Mitch. - W jego oczach znowu pojawił się błysk, przelotny, a później znów zagościł w nich typowy chłód. - Nie od razu. Od maja.

Zaśmiała się cicho, nadziała na widelec ostatni kawałek wyborowego mięsa i włożyła go do ust.

– Dziękuję – powiedziała po skończonym posiłku. – Za wszystko. Przede wszystkim za zaufanie.

– Proszę się postarać, żebym był z pani dumny. – Spojrzał na zegarek i skinął na Williego. Było wpół do piątej.

Kelner znikł i wrócił po chwili ze srebrnym wiaderkiem na szampa, wypełnionym lodem i owiniętym białą serwetką, i postawił je na stole. Z wnętrza wystawała szyjka owinięta złotkiem. Ponad krawędzią serwetki na ściance wiaderka z lodem widniała nazwa hotelu wygrawerowana drobną, subtelną czcionką.

Po chwili do stolika podeszli mężczyzna i kobieta, niepewnie się uśmiechając.

Paula wstała, by się z nimi przywitać. Kobieta, Marie Eckley, przez siedem lat pracowała jako jej asystentka. Była zdolną i kompetentną prawniczką, jej dwóch dorosłych synów, których wychowała sama, niedawno wyfrunęło z domu. Mężczyzna, Adam Costilla, były detektyw z policji w Chicago, dołączył do biura prokuratora stanowego jako główny śledczy. Pięć lat temu, gdy Adam, postawny i cyniczny policjant posługujący się własną wersją żargonu, którego nikt nie rozumiał, z włoskim akcentem, rozpoczął u nich pracę, uświadomiła sobie, jakie to ważne mieć obok siebie bystrego policjanta. Przydzielała go do najbardziej wymagających spraw, o których pisano na pierwszych stronach gazet, i do najtrudniejszych dochodzeń. Uwielbiał ją za to, za oszczędzanie mu „powolnej i bolesnej śmierci z nudów”, jak mówił.

– Dzięki, że przyszliście – powiedziała Paula w reakcji na entuzjastyczny uścisk Marie. – Zaczekaj, aż usłyszysz nowinę. Ucieszysz

się.

Hobbs przyglądał się tym uprzejmościom z wyrozumiałością i uwagą, nie wstając z miejsca, ale jego gesty zdradzały lekkie zniecierpliwienie.

– Panie prokuratorze – odezwał się Adam Costilla, ściskając dłoń Hobbsa. – Dziękujemy za zaproszenie. Za co pijemy?

– Nie za co, ale za kogo – odparł Hobbs i kiwnął głową w kierunku Pauli. Dawał jej znać, żeby sama ogłosiła nowinę.

– Od maja będę nową szefową wydziału karnego – oznajmiła lekko drżącym z przejęcia głosem. Ciągle nie mogła uwierzyć w te słowa; zdawały jej się nieprawdopodobne. – To wy pomogliście mi do tego dojść. – Musiała mówić nieco głośniejszym głosem, żeby przebić się przez gratulacje Marie i gromki śmiech Adama oraz jego entuzjastyczne okrzyki. – Więc przenosicie się ze mną na czwarte piętro.

– Skorzystamy z tej windy, złotko – rzucił radośnie Adam, triumfalnie unosząc pięść.

– Tak. – Marie dotknęła ręki towarzysza i Adam zamilkł, posyłając Hobbsowi potulne spojrzenie, ale nadal się uśmiechał, kiedy wysuwał krzesło i zajmował miejsce.

Willie podszedł i otworzył szampana, a głośny wystrzał korka wywołał kolejne radosne okrzyki. Tym razem wtórowała im Paula, baczenie obserwowana przez prokuratora. Napelnione w trzech czwartych kieliszki zadźwięczały w powietrzu.

– Gratulacje – powiedział Hobbs, podnosząc szampankę i ledwie dotykając wargami zawartości. – I nie myślcie, że wam poluzuję.

Zabrzączał telefon Pauli, jej uśmiech na chwilę zbladł, aż zobaczyła numer dzwoniącego. Znow się uśmiechnęła, półgębkiem, w zamyśleniu czytając wiadomość.

„Jesteś na obiedzie z innym mężczyzną, a ja szaleję z zazdrości. Mogę się przyłączyć?”

Nadawcą był Pan Burmistrz, jak zapisała go w pamięci telefonu.

Wiedziała, kim jest... Nikt inny wiedzieć nie musiał. Nie był jeszcze burmistrzem.

Bezwiednie lekko zmarszczyła czoło i szybko odpisała.

„Wiesz, że nie chcesz tu być. Po co w ogóle pytasz?”

Ciężka dłoń Adama, który poklepał ją po ramieniu, przestraszyła ją tak, że o mało nie upuściła telefonu.

– To nagroda za długie nadgodziny i ciężką pracę. Tylko wyjątkowi ludzie pamiętają o swoim zespole, kiedy awansują.

Wsunęła telefon do kieszeni. Podniosła wzrok i napotkała stalone, nieodgadnione spojrzenie Hobbsa. Szef wstał od stołu i uniósł dłoń, żeby powstrzymać Adama przed pójściem w jego ślady. Szybko musnął dłonią krawat od Armaniego, jakby chciał się upewnić, że jest na swoim miejscu, a później zapiął marynarkę.

– Muszę lecieć, ale wy zostańcie. Na pewno macie sporo do obgadania.

Paula wstała i podała mu rękę nad stołem.

– Dziękuję. Za wszystko. Obiecuję, że pana nie zawiodę.

Nie odpowiedział, spojrzał tylko na nią, jakby chciał się upewnić, czy jej słowa nie były zwykłą uprzejmością. W końcu odwrócił się i żwawym krokiem wyszedł z restauracji.

– Uff, ostry jest – skwitował Adam, podnosząc kieliszek i zachęcając koleżanki, by się przyłączyły. Kieliszki brzęknęły radośnie po raz drugi. – Za kobietę legendę, naszą wyjątkową Żmiję.

Marie westchnęła i zakryła usta dłonią.

– Adam!

Paula uśmiechnęła się szeroko.

– Nic się nie stało. Wszyscy się przyczyniliśmy do powstania tego przezwiska.

– Nie cierpię go – odparła Marie. – To okropne kogoś tak nazywać.

Znów zadzwieczał telefon Pauli. Kolejna wiadomość od burmistrza – krótka, zaszyfrowana, niosąca obietnicę. „HL/1098”.

Jej wzrok powędrował do wiaderka z lodem z dyskretnie wygrawerowanym napisem HOTEL LANGHAM, pokrytym drobnymi kropelkami wody. Uśmiechnęła się z satysfakcją, a w piersiach poczuła dreszcz podniecenia. Gdzieś w tym hotelu, na dziewiątym piętrze, przyszedł burmistrz Chicago miał się niebawem rozebrać i czekać na nią w łóżku, twardy jak skała, odliczając minuty do jej przyjścia. Idealne zakończenie idealnego dnia.

Podniosła kieliszek i wyciągnęła rękę w kierunku Adama, żeby go napęlił.

Zrobił to błyskawicznie.

– Wyglądasz jak kot po zjedzeniu kanarka – rzucił, spoglądając na nią inteligentnym wzrokiem z błyskiem zaciekawienia w oczach.

Jej twarz ani drgnęła.

– Serio? – Odstawiła kieliszek. Kropla Krug Grande Cuvée skapnęła na lśniący blat. Paula powstrzymała się, żeby jej nie wytrzeć. – Mam dziś czas. Zamówmy przekąskę. – Uśmiechnęła się do siebie lekko na myśl o czekającym na nią kochanku, z każdą minutą pragnącym jej coraz bardziej.

TRZY

INTROSPEKCJA

Sala operacyjna wydaje się jeszcze zimniejsza niż wcześniej, teraz, gdy większość ludzi, dzięki którym ożywa, już wyszła. Została tylko Madison, przycupnięta obok mnie, i Tim Crosley, nadal czuwający przy pompie, wpatrujący się w swoje stopy. Szczękając zębami, usiłuję wstać, ale to mi się nie udaje. Słabość rozlała się w moim ciele niczym płynny cement, który twardniejąc, unieruchamia mnie i paraliżuje. Nie mogę oderwać wzroku od głowy pacjenta – ledwie widocznego zarysu poza przesłoną. Czuję, że coś mnie do niego przyciąga, czuję przemożną potrzebę ponownego spojrzenia na jego twarz; jest silniejsza niż pragnienie położenia się na niebieskiej zimnej podłodze.

Po wyłączeniu lamp chirurgicznych sala wygląda inaczej. Oświetlona jak zwykły gabinet zabiegowy wbudowanymi w sufit halogenami, które rzucają na wszystko niebieskawą poświatę, wydaje się pozbawiona życia i jest definitywnym potwierdzeniem porażki.

Jak Caleb Donaghy.

Nigdy dotąd nie straciłam pacjenta.

Czuję przerażającą pustkę. Myśli kłębią się w mojej głowie, gdy staram się pojąć, co się przed chwilą stało. Próbuję dosięgnąć wózka,

uchwycić się go i podeprzeć, żeby wstać. Trafiam na rękę Madison. Łapię ją drżącą dłonią, nadal odzianą w zakrwawioną rękawiczkę, i cieszę się, że tu jest, ale nie jestem w stanie spojrzeć jej w oczy. Tim opuszcza miejsce przy pompie i podbiega, żeby pomóc mi się podnieść. W końcu udaje mi się wstać, ale on mnie nie wypuszcza.

– Nic mi nie jest. Serio – zapewniam.

Ale to nieprawda. Ledwie trzymam się w pionie, chwieję się bezwiednie niczym rozbitek miotany przez wiatr.

Wysiłek, jaki wkładam w to, by stać, zmusza mój umysł do skupienia. Przypominam sobie o rzeczach, które mam do zrobienia, o pacjentach, których muszę przyjąć.

– Hm, bajpas Williamsona? – pytam szorstkim głosem. Gardło mam ściśnięte i suche.

– Przełożony – szepcze Madison. – Doktor Seldon się tym zajął. Niczym się nie martw.

Kiwam głową. Seldon nie będzie miał pretensji. Nadzorował mój staż. Większości tego, co umiem, nauczyłam się od niego. Mój pacjent jest w dobrych rękach. *Inny pacjent... ten, który żyje.*

Wpatruję się w ciało Caleba Donaghy'ego, choć boję się na niego patrzeć, a jeszcze bardziej boję się spojrzeć w głąb siebie.

Madison delikatnie dotyka mojej ręki.

– Chodźmy, powinnaś jechać do domu.

Kręcę głową, nie odrywając wzroku od ciała mojego pacjenta, przyciągana przez niewidzialną siłę, której nie mogę pokonać.

Małymi krokami podchodzę, wstrzymując oddech. Nie potrafię uciec. Wbrew zdrowemu rozsądkowi spodziewam się, że się obudzi i wyceluje we mnie przebarwiony od tytoniu palec, oskarżając mnie.

Leży jednak bez ruchu pod hałdą chirurgicznych zakrwawionych tamponów, z sercem zupełnie nieruchomym w otwartej klatce piersiowej. Moje dłonie zaledwie kilka minut temu wysilały się, żeby przywrócić je do życia, starały się, żeby zaczęło bić. Dawałam z siebie wszystko.

Dopóki nie ujrzałam jego twarzy.

W oszołomieniu powtarzam swoje wcześniejsze kroki – przechodzę za zasłonę chirurgiczną, która oddziela głowę od reszty ciała.

Czerwona plama na białym czole przyciąga mój wzrok niczym magnes. Charakterystyczne znamię, które rozpoznałam w chwili, gdy je zobaczyłam, kiedy jeszcze liczyłam na to, że przywrócę życie Calebowi Donaghy'emu. Plama w kolorze wina, która przez lata nawiedzała mnie w koszmarach.

Jak to możliwe, że widziałam tego pacjenta dwa razy i nie zorientowałam się, kim jest?

Zaciskam powieki i obiema dłońmi chwytam się krawędzi stołu operacyjnego. Sala wokół mnie wiruje coraz szybciej, a ja rozpaczliwie usiłuję utrzymać równowagę. W końcu dociera do mnie, że tracę oddech, zatrzymując powietrze w płucach i nie chcąc go wypuścić, jakby zamarło we mnie niekończące się westchnienie.

Muszę użyć całej siły woli, żeby kilka razy nabrać powietrza do płuc i je wypuścić, aż sala nieruchomieje, a osłabione kończyny odzyskują siły. Otwieram oczy i pierwszym, co widzę, jest znamię w kolorze wina na czole pacjenta. Działa na mnie tak jak wcześniej.

Paraliżująco. Przyprawia mnie o dreszcz nie do opisanego. Mrozi krew w żyłach. Z medycznego punktu widzenia to niemożliwe, ale

czuję się tak, jakbym miała we krwi zimne kryształki lodu, ostre jak stal, które kaleczą mnie od środka.

Jak mogłam go nie rozpoznać?

Na każdej wizycie był w tej cholernej bejsbolówce. Nie poprosiłam, żeby ją zdjął. Nie miałam powodu. I broda – ukrywająca rysy mężczyzny, którego widziałam raz i miałam nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczę przynajmniej raz.

Wielu pacjentów nosi brodę i nie ma w tym nic złego.

Na ogół.

Przysuwam się bliżej i dokładnie przyglądam znamieniu. *Może biorę Caleba Donaghy'ego za kogoś, kim nie jest?*

Mimowolnie kręcę głową, nie odrywając wzroku od fragmentu czerwonej skóry.

– Chodźmy stąd – szepcze Madison.

Unoszę dłoń, w milczeniu prosząc o chwilę czasu. Po drugiej stronie stołu operacyjnego Tim wyłącza pompę, a jej cichnący szmer jest jedynym odgłosem, jaki słyszę oprócz łomotu własnego serca. Nie będzie pobrania narządów. Mój pacjent nie wyraził zgody.

Mam wrażenie, że to wszystko wydarzyło się wiele lat temu.

Słusznie.

To bordowe znamię rozpoznałabym nawet za sto lat. Widziałam je w myślach wiele razy, zawsze wyraźnie, i jego kształt nie zatarł się w mojej pamięci: duży, nieregularny, przypominający nieco napisane odręcznie ozdobne R, i trzy mniejsze plamki, jakby z lewej krawędzi litery skapnęły kropelki wina, tuż nad brwią.

Znów zamykam oczy i wyobrażam go sobie dokładnie. Wczoraj miał na głowie czapkę nisko nasuniętą na czoło, tak że daszek za-

słaniał mu oczy, jakby stał w jaskrawym wiosennym słońcu, a nie w ciemnym szpitalnym gabinecie.

Muszę zadać sobie pytanie, nabierając do płuc haust zimnego powietrza:

Czy świadomość tego, kim jest, wpłynęła na wydarzenia na sali operacyjnej?

Odpowiedź, brutalnie szczerą, wybrzmiewa głośno w moich myślach. Rzucam Madison zmartwione spojrzenie, jakbym się bała, że słyszy moje myśli i na ich podstawie mnie ocenia. Że jest nimi przerażona. Ale w jej oczach widzę tylko dobroć, są pełne zrozumienia.

Gdybym wiedziała przed operacją, kim jest Caleb Donaghy, poprosiłabym któregoś z kolegów, by wykonał ją za mnie. Nikt nie ma pretensji o coś takiego; to standardowa procedura – nie operuje się przyjaciół, rodziny ani innych znanych sobie osób; mogłoby to mieć negatywny wpływ na zręczność chirurga podczas zabiegu. Sprawa byłaby prosta. A gdyby Caleb przeżył, mogłabym...

Nie wiem, co bym zrobiła.

Nie miałam jednak pojęcia, kim jest, zanim nie otworzyłam jego klatki piersiowej i nie trzymałam w dłoni jego serca.

Zawahałam się? Popełniłam błąd?

Nerwowo marszcząc czoło, zdzieram rękawiczki i wrzucam je do kosza na odpady medyczne, a później odwracam się do Madison.

– Poproszę nowe rękawiczki.

Nie rusza się.

– Anne, podaj... Proszę – powtarzam z większą stanowczością w głosie.

Najpierw sama zmienia rękawiczki, a później przynosi parę nowych dla mnie, co do joty przestrzegając procedury, tak jakby pacjent wciąż żył. Pomaga mi założyć rękawiczki, a ja wpatruję się w klatkę piersiową mężczyzny.

Szybko sprawdzam wykonaną pracę, wypatruję nacięć, uszkodzonej tkanki, czegokolwiek, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego serce odmówiło podjęcia pracy. Niczego nie znajduję. Trwam bez ruchu z dłońmi wiszącymi w powietrzu nad otwartą klatką piersiową pacjenta i nie mogę odpowiedzieć sobie na jedno kluczowe pytanie:

Czy jego serce po zabiegu było zdolne do funkcjonowania i to ja zadałam ostateczny cios, kiedy się dowiedziałam, kogo operuję?

Stoję ze zwieszoną głową, przytłoczona ciężarem implikacji.

Zanim spojrzałam na jego twarz po zakończeniu zszywania i użyciu ciepłej soli fizjologicznej, usiłowałam go reanimować przez ponad piętnaście minut.

To udokumentowany fakt.

Uważnym spojrzeniem obejmuję kamery nad głową. Obecnie wszystkie zabiegi rejestruje się z wielu ujęć, a nagrania są zsynchronizowane z kluczowymi danymi, takimi jak kody czasowe i parametry życiowe pacjenta. Jeśli mam jakiegokolwiek wątpliwości, zawsze mogę obejrzeć nagranie.

Nie zmienia to jednak faktu, że gdy się dowiedziałam, kim jest mój pacjent, chciałam jego śmierci.

CZTERY

DROGA

Bezradnie patrzę, jak dwóch sanitariuszy odsuwa stół z ciałem Caleba Donaghy'ego, ukrytym pod świeżym niebieskim prześcieradłem, które przed chwilą rozłożyła Madison. Młodzi, beztroscy Charonowie ubrani w granatowe uniformy szybko wykonują swoje zadanie, nie odzywając się do mnie; rzucają mi jedynie pełne współczucia spojrzenie i szybko odwracają wzrok. Jeden z nich ma na uszach słuchawki, prawdopodobnie słucha muzyki albo relacji z meczu. Dla niego to zwykły dzień pracy.

Nie mnie pierwszej wywożą pacjenta z sali operacyjnej do kostnicy. I zapewne nie ostatniej. Będzie cud, jeśli dziś skończy się na mnie. Szpital, w którym pracuję, jest jednym z największych w kraju i cieszy się doskonałą renomą, ale i tutaj ludzie umierają. Z moich ust wydobywa się pełen gorzkości, cichy śmiech, gdy przypominam sobie, że niedawno wyróżniono mnie za to, że w kluczowy sposób przyczyniłam się do zyskania tej renomy, a pacjenci wymagający operacji serca wybierali nasz szpital dzięki результатам przeprowadzanych przeze mnie zabiegów. Najniższy wskaźnik śmiertelności po operacjach kardiochirurgicznych w całym stanie i jeden z dziesięciu najniższych w kraju, po klinikach takich jak Stanford, Mass General i Mayo.

Do tej pory miałam swój udział w tym sukcesie. Teraz patrzę na dwóch sanitariuszy, którzy wiozą mojego martwego pacjenta do windy technicznej, a stamtąd do kostnicy w podziemiu. Szybka akcja, nikt nie chce, żeby nieszczęśnika oglądało zbyt wiele oczu. Nic dobrego z tego nie wynika.

Jeden zgon pośród wielu historii dzięki mojej pracy zakończonych sukcesem – rodzin w komplecie i spełnionych marzeń.

Tylko jeden zgon. A jednak tak bardzo mi ciąży.

– Jedziesz do domu – oznajmia Madison, chwytając mnie za łokieć, i wyprowadza z sali.

Bez słowa sprzeciwu wykonuję jej polecenie. Skoro ciało Caleba Donaghy'ego znikło, nie mam powodu, by siedzieć w zimnej opustoszałej sali operacyjnej. Unosi się w niej zapach śmierci, krwi i plastiku. Jednym szybkim ruchem zdejmuję najpierw rękawiczki i maskę, a później jednorazowy fartuch, zwijam wszystko w kulkę i wyrzucam do dużego kosza przy drzwiach. Dobrze znam ten gest, jest dla mnie tak naturalny jak zapach mydła dezynfekującego i dotyk nitrylowych rękawiczek na skórze. Uspokaja mnie, pomaga wykonywać kolejne czynności, bez zastanowienia przejść sekwencję dobrze wyćwiczonych ruchów.

– Wezwę ci ubera – proponuje Madison, gdy docieramy do mojego gabinetu.

Spokój dobrze znanego pokoju z półkami pełnymi czasopism medycznych i opracowań z dziedziny chirurgii, z wielkim biurkiem przy oknie i skórzanym fotelem, który witał mnie niezliczoną ilość razy po długich operacjach, oraz dużą sofą, na której czasami drzemie podczas siedemdziesięciogodzinnego dyżuru, jest tym, czego potrzebuję. Podchodzę do sofy z półprzymkniętymi pow-

iekami, bezgranicznie wyczerpana. Marzę o miękkim kocu, który wisi na jej oparciu, starannie złożony, gotowy do użycia. Jest we wzór szczeniaków rasy golden retriever, żółtych i miłych. Chciałabym się nim owinać i ukryć w nim twarz, żeby zapomnieć o wszystkim choć na kilka minut.

Madison powstrzymuje mnie silnym uściskiem.

– Nie. Jedziesz do domu. Podziękujesz mi jutro.

Tym razem stawiam opór, a przynajmniej próbuję. Odsuwam się, lekko marszcząc brwi. Ten prosty gest wymaga mnóstwa energii.

– Chociaż na chwilę, Maddie, proszę. Chciałabym się położyć na moment...

Ona zachowuje się jak rodzic, a ja jak uparte dziecko i dziś dobrze się czuję w tej roli, bo potrzebuję kogoś, kto wszystkim pokieruje; wiem, że mogłabym się odezwać stanowczym tonem, rzucić jej surowe spojrzenie, a ona czmychnęłaby stąd i dała mi spokój, ale nie jestem pewna, że stać mnie na taką decyzję.

Raz kiedyś można pozwolić decydować komuś innemu.

Kręci głową.

– Znasz procedurę, Anne. Musisz się dostosować dla własnego dobra. Wracasz do domu, a jutro masz wolne. Takie są zasady.

Na myśl o konflikcie z dyrektorką szpitala, rygorystyczną, bezkompromisową i ambitną Jody Meriwether, lub M, jak nazywają ją prawie wszyscy, dostaję napadu migrenowego bólu w samym środku głowy. Nie pamiętam, kto nadał jej takie przydomki: pojawiło się podczas mojej rezydentury, bo już wtedy słynęła ze swoich cech. Pseudonim zaczerpnięty z filmów o Jamesie Bondzie, w których M musi trzymać w ryzach niepokromionego agenta 007, przyjął się na dobre.

Jej nazwisko znają nawet niedawno zatrudnieni absolwenci – boją się jej bardziej niż opiekunów stażu.

Nie jestem wyjątkiem, choć w szpitalu, którym M kieruje niczym białobrody admirał małym pancernikiem, pracuję już czternaście lat. Nadal boję się przed nią stanąć. Jedno spojrzenie i od razu wiedziałaby, że coś jest nie tak. Coś więcej niż to, że pacjent zmarł pod moim skalpelem.

Dzięki Madison nie muszę mieć z nią dzisiaj do czynienia. Ogarnia mnie nagła obawa, że dyrektorka wejdzie do mojego gabinetu i zacznie mnie przesłuchiwać, aż w końcu wyznam, co zrobiłam. Chwytam torebkę oraz kurtkę i mijam swoją asystentkę. Obserwuje mnie z lekko rozchyłonymi wargami i szeroko otwartymi oczami, prawdopodobnie zastanawiając się, dlaczego wygrała tę rundę tak szybko. Raczej nie słyne z tego, że łatwo się poddaję.

Najwyraźniej mi nie ufa, bo odprowadza mnie do windy.

– Myślisz, że powinnaś prowadzić? – pyta, jakbym była po alkoholu.

Nie czuję się dobrze. Jest mi źle, odkąd zobaczyłam twarz pacjenta i charakterystyczną bordową plamę na jego czole. Jednak myśl o przebywaniu w samochodzie z nieznanym przez dwadzieścia pięć minut wydaje się nie do zniesienia. Mam nadzieję, że z jazdą do domu będzie jak ze ściąganiem chirurgicznego fartucha, którego mogłabym się pozbyć z zamkniętymi oczami. Że będzie czymś rutynowym. Łatwym. Wracam do domu tą samą drogą od lat, odkąd skończyłam studia medyczne. Kiwam więc głową i zbieram wszystkie siły, by posłać Madison uspokajające spojrzenie, któremu chyba wierzy. Obejmuje mnie, gdy drzwi windy się otwierają.

Zostaję sama. Nareszcie.

Parking jest opustoszały i niemal całkiem ciemny, a nieliczne i oddalone od siebie lampy świecą zbyt słabo, by pokonać wczesny zmierzch marcowego wieczoru. Mało kto kończy dyżur o siedemnastej trzydzieści, więc po drodze do auta na szczęście nie muszę z nikim rozmawiać.

Z ulgą oddycham jednak dopiero, gdy zamykam drzwi samochodu i odcinam się od świata. Uruchamiam silnik i natychmiast przekręcam pokrętko ogrzewania do samego końca, a drżące, zmarznięte palce przesuwam nad otwory wentylacyjne na desce rozdzielczej.

Wreszcie jestem sama i mogę zrzucić maskę. Z oczu ciekną mi łzy, a usta rozchylają się krzywo w niemym krzyku. Rozcieram dłonie nad strumieniem ciepłego powietrza, chcąc je rozgrzać, ale potem zaczynam obsesyjnie je zaciskać i rozluźniać, szlochając w cichym aucie.

Dlaczego?

To proste pytanie dręczy mój umysł. Nie ma na nie odpowiedzi, jest tylko udręka i smutek. Dlaczego musiał wylądować na moim stole? Dlaczego musiałam zobaczyć jego twarz? Przecież nigdy nie wchodzę poza kotarę. Nigdy. Tym razem to zrobiłam. Dlaczego? Czy to było przeznaczenie? Nie wierzę w przeznaczenie. Nigdy nie wierzyłam. Ale może zacznę po tym, co się stało. Dlaczego akurat ja spośród wszystkich kardiochirurgów w tym mieście?

Dobiegają mnie odgłosy ożywionej rozmowy. Od strony windy idą dwie pielęgniarki, które nie od razu rozpoznaję. Możliwe, że mnie znają; jeśli zobaczą, jak się rozklejam w samochodzie, jutro dowiedzą się o tym wszyscy w szpitalu, od sprzątaczek z nocnej zmi-

any po samą M. Wrzucam bieg i ruszam, zanim zobaczą moją zalaną łzami twarz.

Zatrzymuję się przy wyjeździe z parkingu, by ustąpić pierwszeństwa, i grzbietem dłoni przecieram oczy. Pada deszcz i wieje wiatr, rozszalałe niebo z wściekłością smaga przednią szybę dużymi kroplami. Drugiego dnia marca wiosenne obrazki widuje się jedynie w kalendarzu; do astronomicznej wiosny brakuje jeszcze niemal trzech tygodni. Pogoda jest bezwzględna, jakby chciała pokazać, kto tu rządzi.

Włączam się do ruchu i skręcam przy wtórze wycieraczek poruszających się rytmicznie i hipnotyzująco na przedniej szybie. Widok, niewyraźny z powodu łez, jeszcze bardziej rozmywa się w kroplach deszczu w świetle reflektorów. Mimo to jadę dalej, bo wiem, że od domu dzieli mnie tylko kilka minut drogi. Ogrzewanie jest włączone, ale wciąż nie czuję ciepła. Zupełnie jakby widok nieogolonej twarzy Caleba zmroził mi krew w żyłach na zawsze.

Jego serce powinno podjąć pracę samoistnie, lecz tak się nie stało. Dlaczego?

Nie powinnam była stawać przed koniecznością podjęcia takiej decyzji. A jednak musiałam ją podjąć. Wydaje mi się to niesprawiedliwe, ale życie rzadko bywa sprawiedliwe.

Fakt jest taki, że całkiem zdrowe serce odmówiło podjęcia pracy po operacji zakończonej sukcesem.

Jestem dokładna, wiem to. Nie idę na skróty. Zabiegi przeprowadzam powoli, nawet jeśli palce sztywnieją mi od szycia albo bolą mnie plecy od wielogodzinnego pochylania się nad stołem operacyjnym.

Tym razem postarałam się jeszcze bardziej... Obejrzałam efekty swojej pracy, zanim ciało Caleba Donaghy'ego zabrano do kostnicy. Nie zauważyłam niczego, co mogłoby sprawić, że serce pozostało nieruchome po ogrzaniu solą fizjologiczną i przywróceniu przepływu krwi. Na ogół to wystarcza. Rozgrzewa się wtedy, napełnia krwią i zaczyna pracować. Bije. To jest zapisane w jego DNA.

Z tym sercem było inaczej. Nawet nie drgnęło, nie pojawił się najmniejszy ślad migotania komór. Nic. Trwało w kompletnym bezruchu, jakby wciąż było sparaliżowane zimnym roztworem potasu. A przecież przepłukałam je ciepłą solą fizjologiczną, aż temperatura osiągnęła normalny poziom niezbędny do rytmu zatokowego. Aż serce zrobiło się dość ciepłe, by bić.

Powraca obsesyjne pytanie: dlaczego?

Mój pacjent nie miał cukrzycy. Przed operacją dwukrotnie wykonałam stosowne badania krwi. Ostatni raz wczoraj i potem dokładnie przeanalizowałam, czy coś się zmieniło przez kilka dni. Wyniki świadczyły o tym, że w jego przypadku operacja wiąże się z niskim ryzykiem.

Fakt, pił i wątroba wykazywała pewne oznaki nadużywania alkoholu, ale serce było w porządku z wyjątkiem tętniaka, który usunęłam, i lekko powiększonej zastawki aortalnej. Żadnej arytmii w wywiadzie, żadnych omdleń, nic, co mogłoby zwiastować, że serce po prostu odmówi podjęcia pracy.

Jadąc, odtwarzam w myślach zabieg, krok po kroku, po raz czwarty lub piąty, odkąd go zakończyłam. Nawet gdybym zrobiła to jeszcze pięćdziesiąt razy, rezultat byłby ten sam. Nie widziałam żadnych znaków ostrzegawczych. Operacja przebiegała prawidłowo.

Do chwili, gdy weszłam za zasłonę i go rozpoznałam.

Wtedy wszystko się zmieniło.

Nikt nigdy nie może się dowiedzieć, kim był dla mnie Caleb Donaghy.

Pokonuję ostatni zakręt i widzę swój dom. Tak naprawdę należy do mojej matki, ale znam go i kocham od zawsze. Mogłabym mieszkać, gdzie mi się zamarzy, i mój mąż pewnie byłby szczęśliwszy, gdybyśmy się przeprowadzili, jednakże nie potrafiłabym opuścić tego domu. Tyle wspomnień kryją mury z czerwonej cegły. Wciąż słyszę tu śmiech Melanie za każdym razem, gdy wychodzę do ogrodu i świeci słońce.

Przestronny dom, realizacja wizji mojego nieżyjącego już ojca o wygodnym gniazdku dla całej rodziny, powstał w czasach, gdy ojciec był wschodzącą gwiazdą chirurgii w tym samym szpitalu, w którym pracuję teraz ja. Marzył, że doczeka się w tym domu gromadki wnuków, a nawet prawnuków, jeśli dopisze mu szczęście i trochę pożyje. Nie pożył. Zmarł, gdy miałam rozpocząć pierwszy rok studiów medycznych. Czasami, kiedy bardzo za nim tęsknię, dotykam szyby w oknie salonu, na której opierał czoło, żeby popatrzeć na zewnątrz. Przysięgam, że czuję wtedy, jak jego dusza dotyka mojej przez ściany, przez szybę, jakby wciąż tam był obok mnie.

Trzypoziomowy dom stoi niedaleko ogrodu botanicznego Lincoln Park Conservatory, na wąskiej działce, prawdopodobnie jednej z ostatnich dostępnych w dzielnicy Mid-North w czasach młodości taty. Dwustanowiskowy garaż, którego drzwi otwierają się po naciśnięciu przycisku pilota, jest w tej okolicy rzadkością.

Wjeżdżam do garażu, wyłączam silnik i znów naciskam przycisk. W miarę jak bezgłośnie zamyka się brama, zapada ciemność. Mogłabym zostawić włączone światła, żeby ją rozpraszały, mogłabym nie zamykać garażu, ale cieszę się z tej ciemności i ze spokoju, jaki przynosi. Pasują do mojego nastroju. Zamykam oczy i wpuszczam mrok do umysłu, aby wyciszyć okropne przeżycia tego dnia, by je wymazać.

Jestem w domu. Jestem bezpieczna.

Na razie.

Dopóki nie przyjdą mnie aresztować za to, co zrobiłam.

Łza spływa mi po policzku, później kolejna, bezwiednie. Gdzieś, zaledwie kilka kilometrów na południe stąd, w kostnicy leży ciało mężczyzny.

Trafiło tam przeze mnie?

PIĘĆ

POKÓJ HOTELOWY

Ten mężczyzna uwielbiał być dosiadany.

Dość nietypowo jak na żadnego władzy kandydata na burmistrza. Paula spodziewała się, że okaże się maniakiem dominacji, może nawet kochankiem dość brutalnym czy bezwzględny, a tymczasem on wolał leżeć na plecach, z rękami splecionymi pod głową, i pozwalać jej robić ze swoim ciałem to, na co miała ochotę.

Nie wyłączał się i nie był bierny. Co to, to nie. Obserwował ją spod półprzymkniętych powiek z lekkim uśmiechem na ustach, a jego niebieskie tęczówki śledziły każdy jej ruch z nieskrywanym podnieceniem. Był także cierpliwy, ten przyszły burmistrz Chicago, w nieegoistyczny sposób, ale starała się nie ulegać jego czarowi. Czekał, aż będzie gotowa, poddawał się jej prowadzeniu, idealnie zgrywając moment ich kulminacji.

To zdawało się niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. I właściwie tak było.

Skromna złota obrączka na jego palcu przypominała jej, jak wygląda brutalna rzeczywistość ich związku. O tym, że nie należał do niej, lecz do kogoś innego.

Jeszcze.

Odpędziła od siebie tę bolesną myśl i zaczęła się poruszać coraz szybciej, opierając dłonie o jego wyrzeźbioną klatkę piersiową. Gdyby mieszkańcy Chicago zobaczyli go nago, zagłosowaliby na niego bez namysłu. Może nie wszyscy, ale na pewno większość.

Wbiła paznokcie w jego skórę i jęknęła. Wypreżył się pod nią, a wszystkie jego mięśnie napięły się pod wpływem żądy. Kilka sekund później padła obok niego zdyszana, z rozchyłonymi wargami, uśmiechnięta.

– Niezły jesteś, burmistrzu, serio. – Zaśmiała się.

Zadowolony, pocałował ją delikatnie w usta i objął. Wyglądał, jakby chciał się zdrzemnąć, ale ona miała inne plany.

Na jakieś trzydzieści sekund pozwoliła sobie odpłynąć, zanurzyć się w błogim stanie półświadomości i udawała, że to rzeczywistość, wierzyła, że może stać się rzeczywistością. Budzić się tak każdego ranka... to musiało być niezwykle.

W końcu przesunęła się w jego ramionach i spojrzała mu w twarz. Mocno zarysowana szczęka, siwiejące włosy, wciąż jeszcze z przewagą czarnych, i szaroniebieskie oczy, które przypominały jej Ocean Spokojny przed zmierzchem. Wydatny nos, prosty i zgrabny, zmysłowe wargi, które pod wpływem uśmiechu tworzyły w policzkach maleńkie dołki. Skrywał obietnicę. Dla nich obojga.

Sięgnęła ponad nim do butelki w wiaderku z lodem, ociekającym wodą na nocnym stoliku, i powoli otarła się o ciało kochanka, przygryzając dolną wargę.

– Chce mi się pić – wyszeptała, choć nie mogła znieść myśli o kolejnym kieliszku szampana. – A tobie?

Uśmiechając się, wsparł się o poduszki, wziął ze stolika dwie niemal puste szampanki i nalał do nich Veuve Clicquot Brut. Płyn się

spenił.

– To twoje święto. Ty dyktujesz warunki.

Wzięła kieliszek z jego ręki, uniosła go lekko, aż z radosnym brzękiem stuknął o drugi.

– Zgadza się, gratulacje dla mnie. – Roześmiała się, a on jej zawtórował. – Zyskałam więcej władzy – dodała, oblizując wargi. Szampan był wyśmienity, ale dość mocny. A może po prostu za dużo już wypiała. – Będę wiedziała o aresztowaniu w każdej sprawie kryminalnej, kiedy do niego dojdzie i gdzie. – Wypiała kolejny łyk i odstawiła kieliszek na stolik. – A skoro ja będę o tym wiedziała, to ty również. – Swoje stwierdzenie podkreśliła, dotykając jego klatki piersiowej palcem wskazującym, którym zaczęła wodzić po zarysie mięśni, aż doszła do miejsca, gdzie drogę blokowała satynowa pościel.

– Interesujące – odparł, odstawiając pustą szampankę przy jej kieliszku, i wsunął ręce pod głowę z wyraźnym zaciekawieniem w niebieskich oczach. – A dlaczego miałoby mnie to obchodzić? – Drażnił się z nią leniwym, zmysłowym głosem.

Szturchnęła go żartobliwie w ramię i położyła się z powrotem.

– Pomyśl tylko, co moglibyśmy wspólnie osiągnąć. – Jej ton był rzeczowy, może trochę ostrzejszy, niżby chciała. – Dzięki mnie mógłbyś być obecny przy wszystkich głośnych aresztowaniach i przedstawiać dziennikarzom swoje kategoryczne stanowisko w kwestii przestępczości w mieście. A twoich wyborców najbardziej martwi przestępczość.

– Czy to przypadkiem nie są też twoi wyborcy?

Roześmiała się.

– Jeszcze nie. Muszę przepracować kilka lat na stanowisku szefowej wydziału kryminalnego. Wtedy ty będziesz burmistrzem

i w wyborach będziesz mógł poprzeć moją kandydaturę na stanowisko prokuratora stanowego.

– Dobrze to wszystko obmyśliłaś, co? – Wciąż się uśmiechał, ale przy jego nosie pojawiły się pionowe zmarszczki.

– A ty nie?

Nie odpowiedział od razu. Dała mu czas, bo wiedziała, że nie może wywierać na niego presji – powinien być przekonany, że wszystkie genialne pomysły zrodziły się w jego głowie. I rzeczywiście na niektóre wpadł on – w końcu na tym opierała się ich współpraca. Łączył ich sojusz, a nie romans, przypominała sobie, ilekroć zaczynały się w niej budzić uczucia do niewiarygodnie atrakcyjnego mężczyzny leżącego w łóżku obok niej. Nie miała jednak pewności, czy nie okłamuje samej siebie. Tak łatwo można było się w nim zakochać. Tak łatwo. Może już się w nim zakochała, troszeczkę. Miłość oznaczała jednakże kłopoty, a na kłopoty nie mogła sobie pozwolić.

Bezwiednie kreśląc małe koła na jego klatce piersiowej miękkimi opuszkami wypielęgowanych palców, rozejrzała się po luksusowym pokoju hotelowym. Mogłaby do tego przywyknąć. Z sięgającego od podłogi do sufitu okna za dnia roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na jezioro Michigan i rzekę Chicago. Teraz widziała fragment nocnej panoramy miasta z miriadami świateł i czerwono-białymi wstęgami samochodowych błysków na zatłoczonych jezdniach osiem pięter pod nimi. Przy oknie stał skórzany fotel, na którym miała ochotę usiąść i poczytać książkę, choć wiedziała, że nie będzie na to czasu. Łóżko z lekką satynową pościelą, nic nieważącą kołdrą i miękkimi puchowymi poduszkami samo w sobie dostarczało wyjątkowych wrażeń.

Kusiło ją, by podejść do okna, stanąć w nim nago i prezentując się wszystkim w wieżowcu po przeciwnej stronie ulicy, obserwować niekończący się sznur aut w dole, czując dotyk zasłon na rozgrzanej skórze. Może kiedyś wynajmie tu pokój i sprawi sobie tę przyjemność. A może już za kilka lat zastąpi Michaela Hobbsa na stanowisku prokuratora stanowego hrabstwa Cook i będzie miała stałą rezerwację w Travelle oraz kelnera obsługującego wyłącznie ją. Może byłby to Willie. Może by ją pamiętał.

– Wiesz, z tym szampanem wiąże się pewna historia. – Jego głos sprowadził ją na ziemię. Wyczuł to i ją objął, przyciągnął do siebie i zaczął pieścić pod kołdrą jej plecy. – Wybrałem go nie bez powodu. – Zaśmiał się. – Nie chodziło mi o to, żeby zaimponować ci wszystko jedno jak drogim szampanem.

Uśmiechnęła się, powątpiewając w jego słowa.

– Więc o co? Chciałeś się pochwalić doskonałą znajomością francuskich win?

Zaśmiał się pod nosem, wyraźnie zdenerwowany.

– Była sobie francuska winnica, produkowała przeciętne wino, nic wielkiego, bo właściciel skupiał się na prowadzeniu firmy tekstylnej i kilku innych, z tego, co czytałem. Nazywał się, zgadłaś, Clicquot. Jego syn się ożenił, przejął winiarnię i pchnął ją na tory, które doprowadziły ją tu, gdzie znajduje się dziś. Zmarł nagle, bardzo młodo, z powodu jakiejś choroby, nie pamiętam jakiej. Wszyscy myśleli, że winiarnia zostanie sprzedana, ale wdowa postanowiła ją zatrzymać. Unowocześniła sposób funkcjonowania firmy i stała się jedną z pierwszych kobiet kierujących interesami na międzynarodową skalę. W XIX wieku, wyobrażasz sobie? – Zagwizdał z podzi-

wem. – Nie miała trzydziestki, kiedy straciła męża. Veuve to po francusku ‘wdowa’, ta marka zapewniła jej sławę na wieki.

Podniósł jej kieliszek, ponownie go napełnił i podał. Wzięła od niego szampankę, podciągając się w łóżku, i oparła się na poduszkach.

– Za silną młodą kobietę, która pnie się po szczeblach kariery. – Uniósł kieliszek i spojrzał jej w oczy. – Masz u stóp cały świat, Paula. Jest na wyciągnięcie ręki.

Oszołomiona, w zamyśleniu wypila łyk musującego wina i pozwoliła podniebieniu rozkoszować się nim przez chwilę. Było znakomite, wykwiłtne.

– Dziękuję. Nie przestajesz mnie zadziwiać, burmistrzu. Snujesz takie ciekawe opowieści do poduszki. – Na krótką chwilę znalazła się w pułapce pragnienia, by przy niej został, pragnienia, by ich sojusz stał się czymś więcej.

– Jakiego szampana lubisz najbardziej? – zapytał, przepędzając z jej umysłu wszystkie bezsensowne, zakazane pomysły. – Trafiłem?

Roześmiała się z ulgą, że została uratowana przed samą sobą.

– Nie, mój szef też nie trafił z Krug Grande Cuvée.

– No tak, on ma nieograniczony fundusz reprezentacyjny – zażartował. – Więc co to za szampan?

– Obiecujesz, że nie będziesz się śmiał?

Kiwnął głową, a w jego policzkach znów pojawiły się dołeczki.

– Z ręką na sercu.

– Tanie wino musujące, Martini Asti. Do kupienia w zwykłym sklepie spożywczym za dwanaście czy piętnaście dolarów. Jest słodsze niż te drogie, lżejsze. Lubię nazywać je szampanem, tak dla żartu, chociaż wiem, że nim nie jest.

Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– Serio?

Przyciągnęła do siebie kołdrę, żeby zakryć piersi, i na chwilę spuściła wzrok zakłopotana. Może nie powinna była tego wyjawiać.

– Wychowałam się w biedzie, nie będę ukrywać. Ale naprawdę jest niezłe. Powinieneś spróbować.

– Już się robi – rzucił, sięgając po telefon. – Na pewno je tu mają albo mogą je dla mnie szybko zdobyć.

Pochyliła się i złożyła długi pocałunek na jego wargach.

– Nie dziś. Więcej szampana już dziś nie wypiję. Ale następnym razem jesteśmy umówieni.

Przez jego twarz przemknął cień żalu, a ona poczuła pokusę, by zmienić zdanie. Nie mogła jednak się jej poddać: jeśli zacznie zmieniać plany, by go uszczęśliwić, ich sojusz może zmienić się w relację zupełnie innej natury. Po co niszczyć coś, co jest idealne?

Spotykali się kilka razy w tygodniu, zawsze w hotelach, za każdym razem w innym, zachowując dyskrecję dla dobra obojga. Ona też musiała uważać, by nie wydać się z tym, że ma romans, zwłaszcza teraz, gdy jej kariera nabierała rozpędu i mogła być obiektem zainteresowania mediów. Nowe stanowisko miało pozwolić jej wybierać dla siebie najlepsze, głośne sprawy, a te rutynowe oddawać w ręce innych prokuratorów, tak jak robił to prokurator stanowy Mitchell Hobbs.

Mitch. Jeszcze nie teraz, dopiero od maja. Na wspomnienie tego komentarza zachichotała. Ten człowiek był lekkim dziwakiem.

– Zastanawiam się, co Hobbsowi chodzi po głowie.

Paula zmarszczyła brwi. Miała wrażenie, że kochanek czyta w jej myślach.

– Jest śmiertelnie chory czy coś takiego? To samobójstwo z punktu widzenia kariery.

– Dlaczego pytasz?

– Jeśli lubi pracę prokuratora stanowego hrabstwa Cook, powinien być zarzucić cię papierkową robotą i nigdy nie dopuścić do tego, żebyś się z niej wygrzebała. Na pewno wie, że będziesz dążyć do zajęcia jego stanowiska.

– Nie ma nic przeciwko temu – odparła, zastanawiając się, czy to stwierdzenie jest prawdziwe. – Tak przynajmniej powiedział.

– Na twoim miejscu byłbym ostrożny. – Poruszył się, by rozlać resztę szampana, ale Paula powstrzymała go kiwnięciem dłoni. – Może wychodzi z założenia, że najlepiej trzymać wrogów blisko.

– Możliwe, ale po co w takim razie miałby mnie awansować? Tym posunięciem otwiera mi drogę do tego stanowiska. – Zastanawiała się chwilę. – Wierzę mu. Może chce zostać gubernatorem i na fotelu prokuratora stanowego chciałby mieć kogoś, komu ufa.

Zawahał się na ułamek sekundy.

– Tak czy inaczej, jestem mu wdzięczny i wiem, że pewnego dnia będziesz piekielnie dobrą prokurator stanową. Z dumą będę cię wspierał na tej drodze. Jako burmistrz naszego wspaniałego miasta.

Kiwnęła głową.

– *Quid pro quo*, prawda?

– *Quid pro quo*, pani prokurator – odpowiedział aksamitnym głosem, powoli zsuwając się z poduszek i odrzucając kołdrę z ciała. – Przypieczętujemy naszą umowę.

Opieranie się stawało się coraz trudniejsze.

– Bardzo bym chciała, ale muszę lecieć. – Odsunęła się, cały czas zwrócona do niego tyłem z obawy, że się ugnie, jeśli będzie nalegał.

Szybko weszła do łazienki, nie zwracając uwagi na lśniące podłogi z białego marmuru i kuszący prysznic z deszczownicą.

Seks z nim był uzależniający, niebezpieczny. Musiała uciec, zanim będzie za późno.

Spryskanie twarzy zimną wodą pomogło jej zapanować nad rozszalałymi zmysłami. Siedziała na brzegu wanny, dopóki nie odzyskała jasności umysłu, dopóki nie przypomniała sobie, co jest naprawdę ważne.

Kilka chwil później kompletnie ubrana zbierała się do wyjścia. On nadal leżał w łóżku pod cienkim wierzchnim prześcieradłem, które w niewielkim stopniu zakrywało jego ciało.

– Jesteś pewna, że nie zmienisz zdania? – Jego głos przepełniony pożądaniem był namiętny i natarczywy.

Włożyła czółtenka na wysokim obcasie.

– Nie mogę. Napiszę do ciebie.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem, gdy poprawiała żakiet.

– Chyba już cię w nim widziałem?

Nic dziwnego, że pamiętał.

– Podczas naszego pierwszego spotkania, na wieczorze charytatywnym. – Podeszła do niego, pochyliła się i dotknęła ustami jego warg. Jedwabna kokarda musnęła jego skórę. Jęknął pod wpływem pocałunku.

– Byłam niezapomniana, prawda?

Chwycił ją mocno za biodra.

Wyswobodziła się i ruszyła w stronę drzwi, zabierając po drodze torebkę.

– Napisz do mnie – rzuciła, zanim zamknęły się za nią drzwi.

Zawsze pozostawiaj niedosyt. Taką zasadą się kierowała. Odnosiła się ona do wszystkiego i wszystkich, od ławników sądowych przez szefów po kochanków. Nie zamierzała jej łamać, ale *niech to szlag.*

SZEŚĆ

DOM

Drzwi samochodu się otwierają, a ja przytomnieję. To nie pobudka, bo przecież nie spałam. Pozwoliłam sobie popaść w przyjemne odrętwienie, odcięłam się od rzeczywistości, z którą jeszcze nie potrafię się uporać. W garażu wciąż jest ciemno, jedyne słabe światło wpada przez uchylone drzwi do pralni. Nie wiem, jak dawno wróciłam do domu. Nie pamiętam. I nie chcę pamiętać.

– Oj, córeńko. – Mama kuca przy mnie i chwyta moją dłoń. Ścisną ją mocno. Jej skóra jest ciepła i sucha, a w dotyku czuć dobroć i szczerą miłość. – Zmarzłaś. – Rozciera moją dłoń swoimi, a później delikatnie ciągnie mnie za rękę. – Chodźmy do środka.

Nie chcę iść do domu, ale robię to ze względu na nią. Ma prawie siedemdziesiąt lat i zmaga się z artretyzmem. Po operacji wymiany stawu biodrowego nie odzyskała pełnej sprawności i ledwo może utrzymać ciężar ciała na lewej stopie. Nie powinna siedzieć w kucki w zimnie i wilgoci tylko po to, by trzymać mnie za rękę. Biorę ją pod łokieć, a ona powoli idzie przez garaż, a później wspina się po dwóch stopniach do pralni, przytrzymując się futryny. Muszę porozmawiać z Derreckiem o zamontowaniu poręczy. Tutaj i może jeszcze w łazience. Myśl o starzejącej się matce, która potrzebuje poręczy, łamie mi serce. Szloch podchodzi mi do gardła, dusi mnie.

Matka to wyczuwa i zerka na mnie.

- Tak mi przykro, kochanie - szepcze, gdy przechodzimy przez kuchnię. Wciąż pod rękę prowadzi mnie do mojego ulubionego miejsca na sofie przy kominku.

W palenisku płonie żywy ogień. Polana leżały w nim od jakiegoś czasu, od kilku wieczorów - mój mąż i ja zamierzaliśmy spędzić miłą niedzielę w domowych pieleszach, ale jeden z moich pacjentów doznał zatrzymania akcji serca i musiałam natychmiast jechać do szpitala.

W przeciwieństwie do Caleba Donaghy'ego tamten pacjent przeżył.

Drewno leżało w kominku aż do dziś. Mama raczej nie rozpałała ognia dla siebie. Okraszona smutkiem życzliwość w jej oczach mówi mi, że wie, co się stało.

- Tak mi przykro, kochanie - powtarza. - Ginny dzwoniła. - Odpowiada na pytanie, którego nie zadałam. - Powiedziała mi, że straciłaś dziś pacjenta. Usiądź, przyniosę ci filiżankę herbaty.

Zdejmuję buty i zwijam się na sofie w kłębek, opierając głowę na poręczu. Wciąż czuję chłód i dreszcze. Należało przypuszczać, że Ginny zadzwoni do mamy. Instrumentariuszka, ta, która ma za sobą trudny rozwód, pracowała w zespole z moją mamą. Mama jest już na emeryturze, z zawodu była pielęgniarką operacyjną; tak poznała mojego tatę. Tworzyli razem piekielnie zgrany zespół zarówno w pracy, jak i w życiu.

Ginny była jedną z podwładnych mamy. Wiedziałam, że utrzymują kontakt. Kiedy zaczęłam pracę, zastanawiałam się, czy rozmawiają o mnie i o tym, jak mi idzie. Czułam się tak, jakbym wyjechała na obóz z jednym z rodziców... To było upokarzające.

Podobnie jak wielu lekarzom świeżo po studiach, brakowało mi pewności siebie. Sytuacja zmieniła się już w pierwszym roku rezydentury, miałam za dużo zajęć, by przejmować się bzdurami.

Dziś czuję się jednak inaczej, powraca dawny niepokój.

– Co ci powiedziała? – pytam, podnosząc głowę z poręczy na tyle, by widzieć jej twarz.

– Tylko to, że zmarł ci pacjent i bardzo cię to zdołowało. Napaliłam w kominku. Nic innego nie przyszło mi do głowy. – Dodaje miodu do herbaty i przynosi mi ją w filiżance na spodeczku.

Czuję przyływ miłości do matki. Jestem szczęściarą, że ją mam. Zawsze doceniałam szczęście, jakim są tacy rodzice jak moi. Biorę filiżankę, obejmuję palcami i upajam się ciepłem.

– Dziękuję.

Matka siada obok mnie z cichym jękiem. Mroźna chicagowska zima daje się we znaki jej stawom. W milczeniu wpatrujemy się w ogień, ja popijam herbatę. Gorący rumianek parzy mi język i gardło, ale nie mogę się doczekać, by poczuć ciepło rozchodzące się od żołądka do reszty ciała.

– Ludzie umierają, Anne. Zdarza się, że serce nie chce podjąć pracy. Znasz ryzyko – tłumaczy cicho, delikatnie ściskając moją rękę.

– To nie miało prawa się wydarzyć, mamo. Nie znasz całej sprawy. Ten pacjent, ten mężczyzna... – Przerrywam, słowa więzną mi w ściśniętym gardle, nie potrafię ich wypowiedzieć. Jak mam to wyznać matce?

Uważnie patrzy mi w oczy z cieniem niepokoją w pełnym miłości spojrzeniu.

– Operacje na otwartym sercu przeprowadzasz od lat i do tej pory nikt nie zmarł ci na stole. To cud, bo statystycznie rzecz biorąc, mi-

ałaś fart. Jaki jest obecnie wskaźnik umieralności w przypadku operacji tętniaków aorty? Nadal wynosi piętnaście procent?

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Za moich czasów tak właśnie było. Twój ojciec miał na punkcie liczb obsesję jeszcze większą niż ty. „Każda liczba oznacza, że czyjeś dziecko nie wróci do domu” – mawiał.

W milczeniu popijam herbatę rumiankową. Myślałam, że przez te sześć lat, odkąd jest na emeryturze, zdystansowała się od szpitala, od pracy. Nigdy nie zauważyłam, żeby jakoś szczególnie interesowała ją statystyki.

Spoglądam z troską na jej sękaty palec. Może powinniśmy się przeprowadzić gdzieś, gdzie jest ciepło, gdzie czułaby się lepiej. Ta myśl umiera, nim ją wypowiem, pod wpływem wizji tego, że musielibyśmy zostawić dom oraz pracę – i ja, i Derreck.

Matka podąża wzrokiem za moim spojrzeniem, rozcierając dłonie wyraźnie sztywnymi palcami.

– Tym się dla ciebie skończy sala operacyjna, jeśli nie będziesz uważać – mówi z nutą smutku w głosie. – Dbaj o dłonie, Anne. Trzymaj je w ciepłe.

Muszę jej powiedzieć, co zrobiłam. Jeśli tego z siebie nie wyrzucę, prawda mnie zmiążdży. Zmieni. Już mnie zmieniła. Ale rozmowa na temat mojego pacjenta oznacza mówienie o Melanie, a to otworzy bolesne rany. Biorę głęboki oddech.

– Mamo, ja...

– To musiało się stać prędzej czy później. – Poprawia fryzurę, jakby szykowała się na przyjęcie gości lub na wyjście. Włosy nadal nosi długie, farbuje je na złotawy odcień. Z natury jest brunetką, ale niemal zupełnie osiwiła i lubi siebie w wersji blond. Ten kolor roz-

jaśnia cerę, dzięki niemu wygląda młodziej. – Masz wrodzony talent. Chirurgia była ci pisana od urodzenia. – Uśmiecha się, jakby pod wpływem miłego wspomnienia, i odwraca wzrok od mojej twarzy. – Pamiętasz, co zrobiłaś z tą dużą lalką, którą dostałaś ode mnie na szóste urodziny?

Ożywają wspomnienia i nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Z tą wysoką, z kręconymi brązowymi włosami?

– Tak, z księżniczką. – Śmiejąc się, klepie się w kolano. – Była taka piękna.

Mój uśmiech blednie.

– Zdarzają się piękni pacjenci. – Mój komentarz miał być żartem, ale zabrzmiał dziwnie. Znów myślę o Calebie Donaghym. O Melanie.

Mama wpatruje się we mnie pytająco przez moment, jakby wiedziała, że coś jest nie tak. W takich chwilach budzi lęk.

– Rozciąłaś ją, pamiętasz?

Spuszczam głowę, żeby ukryć niepokój.

– Na swoją obronę powiem, że nie pamiętam. – Spoglądam na nią przelotnie i wypijam ostatni łyk herbaty. – Za to pamiętam, że próbowałam ją zszyć. I to powinno się liczyć. – Odstawiam pustą filiżankę na stół i wzdycham. Nie pozwoliła mi powiedzieć, co zrobiłam. Jest prawdziwą mistrzynią w zmienianiu tematu w odpowiednim momencie.

Śmieje się tak serdecznie, że w oczach ma łzy. Jakby wiedziała, co chcę powiedzieć, i nie pozwalała mi tego wyartykułować, żeby słowa nie zamieniły się w rzeczywistość. Jakby chciała, żeby jej śmiech i nasze wspólne wspomnienia wymazały wszystkie okropności tego dnia.

– Na pewno to pamiętasz. Wróciliśmy do domu ze szpitala i zastaliśmy cię z zakrwawionymi od igły palcami, z twarzą i ubraniem umazanymi krwią. Twoja niania była przerażona. Próbowłaś zszyć brzuch księżniczki moim zestawem do szycia.

Drży mi broda, próbuję powstrzymać łzy.

– A wtedy tata...

Zakrywa usta, by stłumić łkanie. Obie bardzo za nim tęsknimy. Tę historię słyszałam wiele razy na przyjęciach i zjazdach rodzinnych. A jednak zawsze, gdy mama ją opowiada, czuję się inaczej.

– Zszedł na dół, przyniósł swój zestaw do szycia i pokazał ci, jak prawidłowo zszyć gumowy brzuch.

Na to wspomnienie robi mi się ciepło na sercu.

– Szkoda, że nie pamiętam, co było nie tak z księżniczką.

Mama ściska mnie czule za ramię.

– Coś w niej grzechotało, urządzenie, dzięki któremu płakała, mówiła „mamo” i inne takie. Chciałaś ją naprawić.

– Świetnie – kwituję z lekkim sarkazmem, upajając się wspomnieniem tych bez troskich czasów, kiedy wydawało mi się, że wszystko jest możliwe. – Tylko tę jedną lalkę rozciąłam, prawda?

– Tak. Przestało cię ciągnąć do lalek, kiedy tata pokazał ci, jak zszyć prawdziwą skórę, a to było kilka tygodni później, w...

– W Święto Dziękczynienia – wchodzę jej w słowo. – Pamiętam.

W pokoju znów rozbrzmiewa jej śmiech. Przez krótką chwilę wydaje mi się czymś niestosownym tak szybko po śmierci Caleba Donaghy’ego. Jakbym powinna go opłakiwać.

Nie zamierzam tego robić.

– Wyobraź to sobie: zesłałam na dół w Święto Dziękczynienia nastawiona na wielogodzinne gotowanie, bo mieliśmy mieć gości. Przylatywali twoi kuzynowie z Seattle, miał przyjść doktor Seldon z żoną i hm... kto jeszcze? – Marszczy brwi, usiłując sobie przypomnieć. – W tej chwili nie pamiętam. W każdym razie wszystko musiało wypaść idealnie.

Słucham, jakbym nie znała tej historii. Twarz mamy promienieje podczas opowieści, jak zawsze, gdy mówi o tacie. Albo o mnie.

– I zastałam was oboje z łokciami w moim indyku, którego zszywaliście. Mięśnie, więzadła, skórę... Pokazywał ci wszystko, a ty w mig się uczyłaś. Na stole leżał zestaw chirurgiczny, operowałaś igłotrzymaczem jak zawodowiec.

Wpatruje się przez chwilę w płomienie, oderwana od rzeczywistości, jakby w palenisku, które ojciec zbudował niemal pięćdziesiąt lat temu, ożywała jego twarz. Uwielbiał siedzieć przy kominku, w tym samym miejscu, w którym teraz siedzę ja. Zapach palącego się drewna sosnowego wyzwała wiele wspomnień z nim związanych, naszych wspólnych. Całej naszej czwórki.

– Chciałam usunąć wszystkie szwy przed upieczeniem mięsa. Pamiętam, że przeklinałam; zgadza się, nigdy tego nie robię, ale tamtego dnia trochę klęłam. Zagroziłam twojemu ojcu, że jeśli nie kupi nowego indyka, Święto Dziękczynienia spędzi sam. Nie ugiął się. Oznajmił, że wysoka temperatura w piekarniku pozwoli na symulację procesu gojenia, zespoi krawędzie ran, a gdy ptak się upiecze, okaże się, czy szwy zostały wykonane prawidłowo. Byłaś taka dumna, że z przyjemnością na ciebie patrzyłam. A on... wręcz promieniał. – Kręci głową i ociera łzę z kącika oka. – Nie mogłam się nie zgodzić. Uświadomiłam sobie, że czuję czyste, bezgraniczne

szczęście. Wstyd na myśl o podawaniu poharatanego indyka lub oferowaniu gościom nożyczek, żeby usunęli sobie szwy ze świątecznego posiłku, przestał się liczyć. Wszystko to nie miało znaczenia. Moja córeczka ucząca się fachu od najbardziej utalentowanego chirurga, jakiego w życiu poznałam, to była pełnia szczęścia.

Czuję ukłucie w sercu. Co powiedziałyby tata, gdyby się dowiedział o tym, co się dziś wydarzyło? Byłoby mu za mnie wstyd? Chciałby spojrzeć mi w oczy, gdyby żył? A może czułby ogromne rozczarowanie i żałował dnia, w którym uczył mnie zszywać indyczą skórę, mięśnie i ścięgna?

Przez chwilę nie mogę oddychać, muszę się wysilić, żeby nabrać powietrza do płuc. Nie mogę znieść myśli, że tata miałby się dowiedzieć, co zrobiłam.

Po raz pierwszy w życiu jestem wdzięczna, że zmarł.

Mama rzuca mi kolejne zatroskane spojrzenie, ale o nic nie pyta. Dalej opowiada historię, którą słyszałam już wiele razy.

– Twoja ciocia Millie nie tknęła indyka. Nienawidziła, jak przy stole rozmawiało się o pracy, pamiętasz?

Kiwam głową i uśmiecham się, bo dociera do mnie, co robi mama. Przypomina mi, kim jestem – o moim dziedzictwie, o sile, którą mam we krwi. Mówi o rodzinie, ciepłe i miłości, abym nie zapomniała o tym wszystkim pod ciężarem smutku.

– Kocham cię, mamo. – Ściskam jej dłoń i zanurzam się w poduszkach na sofie, zamykając oczy na minutę, aby pobyć sam na sam z moimi potworami, tak by mama tego nie zauważyła.

Nie jestem winna tego, że serce Caleba Donaghy'ego odmówiło podjęcia pracy, ani tego, że nie udało się go rozruszać w ciągu pierwszych piętnastu minut wysiłków reanimacyjnych, ale to ja ponoszę

odpowiedzialność za jego śmierć. Mogłam kontynuować. Był podłączony do pompy; mogłam próbować dalej, przez wiele godzin. Mogłam podać mu kolejną dawkę adrenaliny, zrobić zastrzyk prosto w serce. Mogłam walczyć o jego życie na wiele sposobów, ale odpuściłam.

Z rozmysłem. Po tym, jak zobaczyłam jego twarz.

Nie dziwię się, że doktor Bolger z pogardą przyjął tak szybką kapitulację. I jestem gotowa się założyć, że swojego zdania nie zachował dla siebie.

Przeszywający dźwięk zbliżającej się syreny policyjnej rozdziera ciszę w salonie. Przestraszona, zrywam się z kanapy i pędzę do okna. Serce łomocze mi w piersi, a krew odpływa z twarzy. Paraliżuje mnie lęk. Czekam, aż radiowóz z piskiem zatrzyma się przed domem. Nastawiam się na to, że policjanci wyprowadzą mnie w kajdankach. Wstrzymuję oddech i wpatruję się w pustą ulicę, licząc się z tym, co nieuniknione.

Mama uważnie mnie obserwuje, ale nie odzywa się ani słowem. Syrena wyje coraz głośniejsze, aż nagle zaczyna cichnąć – radiowóz jedzie dalej i nawet nie skręca w naszą ulicę. Do cna wyczerpana, wracam na sofę i się kładę.

Wkrótce po mnie przyjdą. Tym razem mi się upiekło, ale na pewno mnie to czeka. Wkrótce.

Zabiłam pacjenta.

SIEDEM

WYZNANIE

Do stołu usiądą tylko trzy osoby. Puste krzesła prześladują mnie dziś bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, gdy nakrywam do stołu. Mama przygotowuje piezzonego kurczaka z tuczonymi ziemniakami, jedno z moich ulubionych dań na poprawę nastroju, z sosem i tak dalej, jakby to nie był dzień szkoły.

Dzieci nie zasiadają przy tym stole od wielu lat, ale my wciąż nazywamy dni powszednie dniami szkoły.

Mama stara się jak może, a ja niewiele jej pomagam. Gdy otwiera piekarnik, dolatuje mnie smakowity zapach piezzonego kurczaka w ziołach; niepostrzeżenie rozchodzi się w powietrzu, pobudzając apetyt. To doznanie natychmiast przeradza się w inne, nieprzyjemne. Pędzę do łazienki i wymiotuję, trzymając się krawędzi muszli klozetowej. Dręczą mnie odruchy wymiotne, gdy przychodzi mama. Odgarnia mi włosy i kładzie ciepłą dłoń na moim czole, tak jak w dzieciństwie.

Bez słowa parzy kolejną filizankę rumianku i stawia ją na stoliku obok mnie, z kilkoma słonymi krakersami na spodku. Znikają w ciągu kilku minut, a mój żołądek się uspokaja, przynajmniej na chwilę.

Pomagam mamie dokończyć nakrywanie do stołu, wciąż zamroczona i słaba, ale wiem, że powinnam się ruszyć, zanurzyć w przyziemności. Nie spieszymy się; mój mąż jeszcze nie wrócił.

Derreck.

Myśl o tym, że mam mu spojrzeć w twarz, wywołuje ukłucie niepokoju. Co mu powiem? Co *powinnam* mu powiedzieć?

Nie poślubiłam lekarza – wbrew oczekiwaniom rodziców i wbrew zwyczajom środowiska lekarskiego. Zakochałam się w studencie prawa, który odwiedził nasz kampus podczas imprezy bractwa, kiedy byłam na drugim roku medycyny. On studiował na ostatnim. Wciąż nie mogę uwierzyć, że zdał egzamin adwokacki. Zupełnie nie pasuje do mojego wyobrażenia o prawnikach. Nie ma w sobie tej wrodzonej agresji, której potrzebują adwokaci, by przez cały dzień toczyć spory sądowe, przesłuchiwać wrogo nastawionych świadków przeciwnej strony, dopóki nie złamią się podczas zeznań. Nie jest „agresywnym adwokatem kryminalnym”, ale nie jest też mięczakiem. Z determinacją dąży także do odniesienia sukcesu w innej dziedzinie, innymi metodami. Przez jakiś czas rozważał pomysł zajęcia się prawem ochrony środowiska; chciał walczyć po stronie dobrych ludzi, ponieważ jest wyjątkowo dobrym człowiekiem. Dobrym na wskroś.

Jednak to nie jego mózg zwrócił moją uwagę tego wieczoru, kiedy odbywała się impreza bractwa. Przyciągnęły mnie iskierki w jego oczach i zniewalający uśmiech, to one sprawiły, że zapragnęłam go poznać. Byłam mocno rozczarowana, gdy się dowiedziałam, że studiuje prawo, a nie medycynę, ale po kilku wolnych tańcach byłam zakochana i zdumiona, że przytrafiło mi się coś takiego, i to tak nagle.

Do miłości zawsze miałam podejście kliniczne, a nawet cyniczne, bo wiedziałam, co kryje się za tym mechanizmem – hormony i genetycznie zdeterminowany pęd do przedłużenia gatunku poprzez reprodukcję. Mogłabym w nieskończoność opowiadać o tym, jak rodzi się między ludźmi chemia i uzależnienie takie jak to, które połączyło nas.

Moja wiedza przestała mieć znaczenie, gdy go poznałam.

Byłam w euforii, naukowo rzecz ujmując: w stanie wyjątkowego samopoczucia z powodu działania dopaminy i oksytocyny, niezdolna do myślenia o czymkolwiek i kimkolwiek innym poza Derreckiem. Miesiącami żyłam tym nowym romanssem ze świadomością, że wkrótce się skończy. Nie miał prawa trwać: to było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Sześć miesięcy później, kiedy mi się oświadczył, kategorycznie odmówiłam. Zawód medyka jest bardzo wymagający. Lekarzy nigdy nie ma w domu, pełnią siedemdziesięcigodzinne dyżury, aż w końcu umieją spać na stojąco i tracą zainteresowanie czymkolwiek poza pracą. Złamałabym mu serce, bo nie mogłabym towarzyszyć mu w życiu tak, jak na to zasługiwał. Moją odpowiedź przyjął ze smutkiem w oczach i zrezygnowanym skinieniem głowy, po czym wyszedł.

Przeplakałam całą noc, przekonana, że to koniec. To nie był koniec.

Następnego dnia nasz związek trwał jakby nigdy nic. Kiedy zapytałam Derrecka, dlaczego mnie nie zostawił, skoro go odrzuciłam, odpowiedział po prostu: „Kocham cię, Anne. To się nie zmieniło tylko dlatego, że nie potrafisz w nas uwierzyć. Udowodnię ci, że twoje trzydniowe dyżury można pogodzić z moim osiemdziesię-

ciogodzinnym tygodniem pracy”. Pocałował mnie w usta i dodał: „Ale będziemy potrzebować gosposi. Mam już kogoś na oku”. Następnie wręczył mi klucz do swojego mieszkania.

Trzy dni później wprowadził się do mnie i mamy. To był ostateczny test – zgodzić się na zamieszkanie z moją matką i dostosować się do niej. Nie sądzę, by wielu mężczyzn było na to gotowych, choć mama jest uprzejma i gościnna. Większość ponad wszystko ceniłaby swoją prywatność i nie byłaby skłonna do kompromisów, bo nie widziałyby ku nim powodów.

Zajmowaliśmy pokój gościnny na dole i nie mieliśmy ochoty przenosić się na górę. Niepokoiły mnie cienkie ściany naszego domu i nie czułam się zbyt dobrze z myślą, że mielibyśmy się kochać zaledwie kilka metrów od sypialni mamy. Poczucie skrępowania szybko ustąpiło, bo Derreck zaczął się czuć jak u siebie w domu, a mama pokochała go jak syna. Wciąż jednak śpimy na dole; przez szesnaście lat wspólnego życia nie przyszło mi do głowy, by przeprowadzić się na górę do głównej sypialni. Ona zawsze będzie pokojem rodziców, mimo że mama oferowała nam ją niezliczoną ilość razy.

Zaletą pokoju gościnnego na parterze jest nie tylko prywatność. Ma odpowiednie rozmiary, własną łazienkę z prysznicem i jacuzzi oraz szafy na ubrania. Znajduje się blisko salonu, co jest wygodne, gdy dokucza mi bezsenność i chcę oglądać telewizję. Mogę też wymknąć się po cichu, jeśli nagły przypadek w szpitalu wyciągnie mnie z łóżka w środku nocy.

Gdy kroję chleb na stole, słyszę odgłosy beemki na krótkim podjeździe. Odkładam nóż, podchodzę do okna i patrzę, jak mój mąż zabiera kurtkę i teczkę z tylnego siedzenia. Macham do niego, kiedy

na mnie spogląda – taki mamy zwyczaj, to jeden z drobnych gestów przywiązania, które stały się częścią naszego wspólnego życia.

Tym razem przeszywa mnie dreszcz niepokoju. *Będę musiała mu powiedzieć, co zrobiłam.*

Witam go w progu i ustami dotykam jego warg. Obejmuje mnie na chwilę i szepcze mi do ucha:

– Hej, skarbie.

Mogłabym zostać w tych ramionach na zawsze. Pachnie dezodorantem i żelem pod prysznic, wydaje się świeży, jakby nie chodził w jednym ubraniu od siódmej rano.

– Hej. – Uśmiecham się, odsuwając się od niego. – Umyj ręce, kolacja gotowa.

Tak wygląda początek rutyny. Derreck zdejmuje krawat i odkłada go na oparcie sofy, na marynarkę. Podwija rękawy i myje ręce przy kuchennym zlewie, a mama w tym czasie cierpliwie czeka na swoją kolej. Potem wyręcza mamę w opłukiwaniu talerzy, wdając się w pogawędkę.

Pomagam mamie nalać zupę i stawiam na stole napełnione talerze. Kiedy w końcu siadam, czuję się tak, jakbym stała całe wieki. Moje głębokie westchnienie zwraca uwagę Derrecka.

– Co się stało?

Kręcę głową.

– Właściwie... nic. Jestem bardzo zmęczona. To był ciężki dzień. Smacznego.

Na jego czole pojawia się zmarszczka.

Krótkie zdania nie są w moim stylu; wie, że coś jest nie tak. Odwracam od niego wzrok i jem zupę, a później pomagam mamie podać kurczaka. Derreck odkorkowuje butelkę Pinot Gris.

W mojej głowie kłębią się wspomnienia, te dobre, jak nasz ślub jakieś półtora roku po tym, jak Derreck się do nas wprowadził. I te bolesne, tak bardzo bolesne, że aż się wzdrygam, błędząc myślami z dala od spokojnej pogawędki przy stole. Przesuwam kawałki kurczaka na talerzu, bo wiem, że nie zdołam dużo zjeść. Nabieram na widelec odrobinę purée ziemniaczanego, maczam je w sosie, a później pozwalam mu rozplynać się w ustach. Po prawej stronie Derreck pochłania posiłek jak zwycięzca ważnego meczu, zachłannie, z entuzjazmem, prowadząc beztroską rozmowę. Mimowolnie wpatruję się w puste miejsce naprzeciw mnie, które kiedyś zajmowała Melanie.

Melanie.

Odsuwam krzesło i wstaję, wciąż lekko oszołomiona.

– Nie przeszkadzajcie sobie – szepczę. – Zaraz wracam. – Głos mi się łamie i odwracam się, by ukryć łzy.

Kieruję się na górę, przytrzymując się lśniącej dębowej poręczy, i powoli pokonuję schody, przyciskając swobodną dłoń do piersi. To niesamowite, jak intensywnie odczuwają nasze serca. Czy rzeczywiście? Serce to tylko mięsień, pompa, która wykonuje pracę polegającą na tłoczeniu krwi. Trzymałam w dłoni wiele serc i to naprawdę tylko mięśnie, ścięgna i tkanka włóknista oraz impulsy elektryczne, które mówią im, kiedy i jak mają bić. Wiemy, że ból powstaje w mózgu, ale przypisywany jest sercu, ponieważ to w nim go odczuwamy. Istnieje naukowe wytłumaczenie tego zjawiska, związane z adrenaliną, kortyzolem i noradrenaliną oraz tym, jak te hormony wpływają na pracę serca, ale nikt nie chce takich wyjaśnień, gdy jest w żałobie. Człowieka cierpiącego nie obchodzi, dlaczego serce mu pęka; on po prostu czuje, że tak jest.

Ja też nie chcę takich wyjaśnień.

Wolę usłyszeć, że ból się kiedyś skończy. Ale to nie nastąpi. Po prostu nauczę się znosić go trochę lepiej. Jedynie na to mogę liczyć.

Docieram na piętro i powoli idę w kierunku drugiej sypialni po prawej stronie. Masywne dębowe drzwi są zamknięte. Dotykam dłonią lakierowanego drewna, z mojej piersi wydobywa się szloch. Zamykam oczy i nasłuchuję uważnie, aż od wewnątrz dobiega mnie śmiech Melanie. Nie jest prawdziwy; to tylko wspomnienie, które przywróciłam do życia siłą woli.

Okłamuję samą siebie. Melanie już nigdy się nie roześmieje.

Rozdzierający pierś ból ustępuje miejsca gniewowi. To dziwne: minęło tyle lat, a ja wciąż zmagam się z tym etapem żałoby. Świadomość, czym on jest i jak przebiega, wcale mi tego nie ułatwia.

Melanie była małą dziewczynką, której nie było dane dorosnąć, zakochać się, żyć. Moja słodka młodsza siostrzyczka.

Chwytam za klamkę, ale dłoń odmawia posłuszeństwa. Nie mogę jej nacisnąć. Wciąż nie jestem w stanie tam wejść. Nawet dziś, kiedy tak bardzo tego potrzebuję. W przypiływie wściekłości wywołanej własną słabością uderzam otwartą dłonią w drewno. Niech to szlag.

– Wszystko w porządku? – woła z jadalni Derreck.

Głęboko oddycham.

– Tak, zaraz schodzę. – Wycieram oczy rękawem i wracam na dół. Siadam przy stole i wpatruję się w talerz. Podnoszę widelec, nabieram purée ziemniaczane i maczam je w sosie, tak jak wcześniej. Mięsa z piersi kurczaka nie potrafię tknąć. Przypomina mi o indyku z dzieciństwa, o moim ojcu, o pierwszym kawałku prawdziwej skóry,

który zszyłam. O otwartych klatkach piersiowych i rozciętych kościach mostka. O Calebie Donaghym.

Matka rzuca mi badawcze spojrzenie, które bardziej wyczuwam, niż zauważam, o nic jednak nie pyta. Wie, gdzie byłam i co próbowałam zrobić, i wie również, że znów poniosłam porażkę. Nie padną żadne słowa na ten temat ani dziś, ani nigdy.

Mama wstaje od stołu, Derreck również.

- Załaduję zmywarkę - oznajmia mój mąż, całując dłoń mamy niczym średniowieczny rycerz. - Dziękuję za pyszną kolację.

Mama uśmiecha się do niego lekko, a później, mijając mnie, głaszcze mnie po głowie i po policzku. Wtulam się w jej dłoń i zamykam oczy. Po mojej twarzy spływa łza. W końcu mama idzie w stronę schodów, na które z trudem się wspina.

- Dobra, co jest grane? - pyta Derreck, gdy słyszemy zamykające się na górze drzwi sypialni. Odsuwa krzesło na bok, by mi się przyjrzeć, i chwyta mnie za rękę. Nogi mebla na znak protestu zgrzytają na kafelkach, ale dźwięk jest tak odległy, że wydaje się nierealny. - Anne? Co się stało? - Jego kciuk z czułością ociera łzę z mojej twarzy.

Jak mam w ogóle zacząć?

- Straciłam dziś pacjenta. To był... - Dusi mnie szloch, nie mogę oddychać, wypowiedzieć słów.

- Strasznie mi przykro - szepcze, ściskając moje dłonie. - Na pewno słyszałaś to nieskończoną ilość razy, ale ludzie umierają, Anne. Wykonujesz operacje, które wiążą się z ryzykiem. Wiesz o tym.

Mechanicznie kręcę głową, żałuję, że nie pozwolił mi mówić dalej.

– Nie rozumiesz, Derreck. To nie był zwykły pacjent. Ten mężczyzna... Znałam go.

Marszczy brwi.

– Co masz na myśli? Był twoim znajomym? Zdawało mi się, że chirurdzy nie operują ludzi, których znają.

– Bo tak jest – wyjaśniam pośpiesznie, chwytając go za podwinieęty rękaw koszuli, jakbym chciała go zatrzymać. – Nie wiedziałam, kim jest, na początku. A jak go rozpoznałam, było już za późno. Może... nie wiem.

Wpatruje się we mnie przez chwilę, wyraźnie zdezorientowany. Nie mówię składnie. Słowa wylatują z moich ust w szaleńczym rytmie, moje sekrety chcą się uwolnić. Pragnę mu o wszystkim powiedzieć, ale jednocześnie bardzo się tego boję. Paraliżuje mnie myśl, że to mogłoby na zawsze zmienić nasz związek, zniszczyć jego miłość do mnie. Ale jeśli mam mu wyznać prawdę, muszę to zrobić teraz, a nie dopiero wtedy, gdy policja zacznie dobijać się do drzwi, by mnie aresztować.

Wypija odrobinę pinota i spogląda na mnie krzepiącym wzrokiem.

– Okej, czyli straciłaś pacjenta, tak?

Kiwam głową, bo nie mogę wydusić słowa. Zupełnie zaschło mi w gardle. Ręce trzęsą mi się tak bardzo, że nie mam odwagi chwycić kieliszka.

– Zrobiłaś coś nie tak?

– No właśnie w tym... – Znów kręcę głową i ją spuszczam, a kilka luźnych, długich kosmyków opada mi na twarz. Podnoszę wzrok i spoglądam na niego z niemym błaganiem. – Nie wiem, Derreck.

Jego serce nie podjęło pracy po operacji, nawet po intensywnej reanimacji.

Przechyliła głowę na bok z wyraźną ulgą.

– Wygląda na to, że to nie twoja wina. Nie ma znaczenia, kim był...

– Przedwcześnie stwierdziłam zgon. Pośpieszyłam się, przyznaję, ale jego serce nie chciało podjąć pracy. Tylko że... przestałam próbować po tym, jak go rozpoznałam.

Derreck odsuwa się lekko, a z każdym centymetrem krew stygnie mi w żyłach.

– Chcesz powiedzieć, że mogłaś uratować tego człowieka, ale tego nie zrobiłaś?

Tak.

Chcę wykrzyczeć to słowo, lecz nie mogę. Moje wargi się rozchylają, ale z krtani wydobywa się tylko gorzki szloch. Derreck przyciska moją głowę do swojej piersi, mocno mnie tuli i delikatnie pieści moje włosy. Nie płaczę z powodu Caleba Donaghy'ego. Płaczę z powodu Melanie i naszego życia, które po dzisiejszym dniu już nigdy nie będzie takie samo.

Po chwili, gdy w końcu łapię oddech, odsuwam się, boleśnie świadoma tego, że nie wyznałam całej prawdy. Jednak po tym, jak Derreck na mnie patrzy, domyślam się, że już wie. Widocznie sam na to wpadł. W przeciwnym razie zapytałby o powód. Jest wstrząśnięty. Widzę to po jego szeroko otwartych oczach, po opuszczonych kącikach ust. Świadomość, że go rozczarowałam, sprawia mi piekielny ból.

– To może być koniec nas obojga. Naszej kariery, życia, jakie znamy. Kto jeszcze o tym wie? – W jego głosie, cichym, ale zimnym

i rzeczowym, słycać prawniczą beznamiętność. Dreszcz przeszywa mnie do szpiku kości.

Energicznie kręcę głową.

– Nikt.

– A ludzie, z którymi pracujesz? Nie są idiotami... Mogą coś podejrzewać?

Unoszę dłoń do ust i zasłaniam je na chwilę. Myślę o anestezjologu, doktorze Bolgerze, żywiącym do mnie nienawiść.

– Mogą się pojawić jakieś pytania, ale... ja mam... – dukam żałośnie. – Mam nieposzlakowaną opinię.

– Powiedziałaś, że znasz tego mężczyznę, tego pacjenta? – Jego głos jest szorstki, profesjonalny, a ja czuję się tak, jakbym korzystała z porady prawniczej przed składaniem zeznań. Jestem Derreckowi wdzięczna za jego przytomny umysł. – Czy ktoś może odkryć, że go znałaś?

– Nie.

– To dobrze. – Wstaje i zaczyna się przechadzać po pokoju. – I niech tak zostanie. Żadnych zwierzeń. Żadnych luźnych komentarzy w szpitalnej stołówce. Żadnych odpowiedzi na pytania, chyba że w sądzie w obecności adwokata. – Spaceruje jeszcze przez minutę, a ja wstrzymuję oddech w obawie przed tym, co nastąpi. W końcu zatrzymuje się za moim krzesłem, kładzie dłonie na moich sztywnych ramionach i lekko je masuje. Ciepło jego dłoni przenika do mojego ciała.

– Chodź do łóżka, kochanie.

OSIEM

SZEŚĆ

Derreck daje dobre rady. Zupełnie nieprzystające do szpitalnych okoliczności, ale dobre.

Przynajmniej będę lepiej przygotowana na powrót do pracy w poniedziałek. Nie mogę po prostu nie zgodzić się na omówienie przypadku, jeśli ktoś chciałby na jego temat rozmawiać. Szpital to nie komisariat policji, gdzie można odmówić odpowiedzi na wszelkie pytania, zanim pojawi się adwokat w ponurym, cuchnącym pokoju trzy metry na trzy, z odrapanymi ścianami i koślawymi, poplamionymi meblami.

Nigdy nie byłam na policji, komisariaty widywałam jedynie w telewizji. I mam nadzieję, że tam nigdy nie trafię. Lęki zamieniają się w moim umyśle w potwory i koszmary, kiedy siedzę na kanapie i obserwując dogasające w kominku płomienie, czekam, aż Derreck skończy zapełniać zmywarkę.

Odgłosy pobrząkujących naczyń są irytujące, wkurzające, ale nie mogę zwrócić mu uwagi. Jestem bezgranicznie wdzięczna mojemu mężowi za miłość i zrozumienie, jednakże marzę, żeby przestał już hałasować albo to mnie pozwolił powkładać naczynia do zmywarki. Może jeśli sama będę robić hałas, mniej mi będzie przeszkadzał.

Wstaję i idę do kuchni boso po zimnych kafelkach.

– Ja się tym zajmę. – Zerkam na niego, ale zaraz odwracam wzrok, wciąż obawiając się spojrzeć mu w oczy po krzywdzie, jaką wyrządziłam, i szkodach, jakich narobiłam.

– Nie, zaraz kończę – odpowiada i całuje mnie w czoło. – Może pójdziesz już do łazienki? Odpręż się pod prysznicem albo zrób sobie kąpiel, a ja tymczasem dokończę sprzątanie. Hm? Co ty na to?

Sięgam po kieliszek, który zostawiłam na stole. Na dnie pozostała resztką wina. Wypijam je. Jest zimne. Smakuje niedorzecznie, jest gorzkie, kwaśne. Dlaczego ludzie piją takie świństwo? Do wczoraj lubiłam Pinot Gris. Może ta butelka jest jakaś nieudana.

– Ty pierwszy – szepczę, boleśnie świadoma tego, że nie mam siły się z nim kłócić, marząc, by nie protestował. Nie nalega. Po chwili ciszy zakłócaną jedynie pobrzękiwaniem bezceremonialnie wsadzanych do zmywarki sztućców oddycham z ulgą i wracam na sofę.

Przystaję przed kominkiem, by poczuć jego ciepło na lodowatej skórze. Płomienie zgasły, pozostał jedynie tłący się żar rzucający pomarańczowe cienie na podłogę, na białe ściany i moje dłonie, które przysuwam do kominkowej szyby.

Przy palenisku nie ma już drewna. Zapas leży w garażu, ale nie czuję się na siłach, by po nie pójść, a nie chcę prosić Derrecka. Nie chcę, żeby musiał dziś cokolwiek dla mnie robić. Biorę ze stojaka po-grzebacz i rozniecam żar, aż w końcu bucha jeden mały płomień, a później kolejny. Zwijam się w kłębek na sofie i z westchnieniem upajam się odgłosami zmywarki pobierającej wodę.

Wkrótce zrobi się cicho.

– Nie siedź za długo, dobrze? – prosi Derreck, ruszając w kierunku sypialni. Posyła mi pełen czułości uśmiech, ale nadal jest spięty, widać to w dwóch pionowych liniach po obu stronach nosa,

w zaciśniętej szczęce i sztywnych ramionach. Mam nadzieję, że prysznic choć w części uwolni go od tego napięcia. Reszta minie z czasem.

Po co mu o tym powiedziałam? Pomogło mi to na minutę czy dwie, miałam komu wypłakać się w ramię, poczułam wsparcie i miłość, ale za jaką cenę?

Uspokajam go skinieniem głowy i chwilą kontaktu wzrokowego, a później znów wracam do wpatrywania się w maleńkie płomyki. Zabawne, że wciąż płoną, wątle, ale wytrwale, sięgają zaledwie trzech centymetrów, może nawet nie, bo nie mają czego spalać. Ogień jednak nie gaśnie – trzaska i syczy, dając ciepło. Może to nie ludzie stworzyli nadzieję i wytrwałość. Być może na długo przed nami, śmiertelnikami, odkrył je ogień.

Zawiodłam wszystkich. Rodzinę. Swój zespół. Pacjentów – tych, których miałam operować dzisiaj i jutro, bo spędzę ten czas w domu zgodnie ze specjalnymi zaleceniami M. Tych, których operowałam wczoraj i przedwczoraj, bo powinnam opiekować się nimi podczas rekonwalescencji. Co sobie pomyślą? Że ich porzuciłam, gdy najbardziej mnie potrzebowali. A jednak lepiej, żeby tak sobie pomyśleli i mnie za to znienawidzili, niż żeby do nich dotarło, że mogą umrzeć na moim stole, pod moim skalpelem. Ja sobie to właśnie uświadomiłam i wciąż nie mogę się z tym uporać. Mało tego, boję się, że kiedyś nie będzie to już tak druzgocące, że się do tego przyzwyczaję, jak zapewnił doktor Seldon, po kolejnych dziesięciu, piętnastu latach pracy na sali operacyjnej. Jak mam sobie wyobrazić świat, w którym spowszednieje mi śmierć? Przekazywanie złych wieści załamany rodzinom, niszczenie ich nadziei jednym słowem? Liczę na to, że nigdy nie przejdę nad tym

do porządku dziennego. Śmierć nie może sprowadzać się do statystyk. Nie na moim stole.

Dzisiejszy dzień był wyjątkiem. Tak nazywamy przypadki, które nie mieszczą się w normie, nie podlegają zasadom; przypadki, które przeczą logice, wzorcom i rokowaniom. Śmierć śmieje mi się w twarz i przypomina, kto tu rządzi. I o tym, jak niewiele trzeba, bym zmieniła front.

Słyszę otwierające się drzwi do łazienki w apartamencie gościnnym, a później szelest pościeli. Derreck zostawił uchylone drzwi do sypialni, z jej wnętrza sączy się jasne światło, obietnica ciepła, komfortu i spokoju.

Nie jestem jednak na to wszystko gotowa. Niespokojna i spięta, z zaciśniętą do bólu szczęką bez słowa wchodzę do sypialni i kieruję się wprost do łazienki. Kątem oka widzę Derrecka, jego szeroką klatkę piersiową powyżej krawędzi kołdry, okulary do czytania w cienkich oprawkach nisko na nosie. Oparty na poduszkach, z grymasem na twarzy czyta jakieś czasopismo. Nie zatrzymuję się, by zapytać, co to za dziennikarz go zbulwersował i czym. Wbiegam do zaparowanej łazienki, zamykam za sobą drzwi i przez chwilę się o nie opieram. I tylko oddycham.

Łzy napływają mi do oczu, a z piersi wyrywa się szloch. Przyciskam dłoń do otwartych ust i udaje mi się go stłumić, ale na wszelki wypadek uruchamiam prysznic. W stanie granicznym ze wstrząsem, zgarbiona, z drżącymi, lodowatymi dłońmi, pozwalam ubraniom opaść na podłogę i wchodzę do kabiny. W spływających z góry strugach trudno odróżnić słodycz od soli, wodę od łez.

Cieszę się z pieczenia na skórze i liczę na to, że woda oczyści nie tylko ciało, ale także umysł, lecz tak się nie dzieje. Napięcie gwałtownie narasta, wzbudzając uczucia, których nie potrafię nazwać. Pod zamkniętymi powiekami widzę fragmenty twarzy Melanie śmiejącej się ze mnie i wystawiającej język. Jej szczupłe, wątłe ciało, drżące i kulące się tamtego dnia w parku. Siniaki i ledwo zagojone rany. Jej pełne smutku i przerażenia zawstydzienie.

Myję się szybkimi, ale niezdarnymi ruchami, jakbym wykonywała ciężkie roboty nakazane wyrokiem, z nadzieją, że zdołam skończyć, zanim cała moja energia się wyczerpie. Wciąż się trzęsę, gdy wychodzę spod prysznicza.

Patrzę na siebie w lustrze jak na obcą osobę. Zdaje mi się, że nagie ciało, które widzę w zaparowanej szybie, nie należy do mnie. Jest odległe, obce, odrętwiałe. Owijam je dużym ręcznikiem, nie przestając się gapić, i zaczynam suszyć włosy.

Kilka minut później wychodzę z łazienki z umyтыми zębami, suchymi włosami luźno splecionymi na noc, odziana jedynie w białą jedwabną koszulę na ramiączkach. Wciąż jestem spięta; ciepło prysznicza szybko ulatuje, pozbawiając mnie sił.

Zatrzymuję się u stóp łóżka i patrzę na Derrecka. Właściwie nie zwraca na mnie uwagi. Jest przykryty kołdrą po płaski brzuch, nogi krzyżuje w kostkach. Trzymane w pionie czasopismo opiera o uda i rozpościera palce na okładce. Czyta „Time” z tego miesiąca i najwyraźniej nie jest zachwycony prezentowanymi w nim treściami.

– Ciekawe, komu trzeba wejść w tyłek, żeby się znaleźć na okładce – zastanawia się ponuro, muskając paznokciem zewnętrzną stronę z czerwonym obramowaniem.

Przez chwilę cieszę się, że jego umysł jest w innym miejscu niż mój. Stoję u stóp łóżka i czekam, nie bardzo wiedząc na co. Napięcie zaczyna się wzmacniać, potęgowane pragnieniem i tęsknotą. Powoli, niepewnie drżącymi palcami zsuwam prawe ramiączko koszuli nocnej.

Derreck, prawdopodobnie zaintrygowany ciszą, spogląda na mnie. W jego źrenicach migocze coś nieodgadnionego. Czasopismo z cichym szelestem ląduje na podłodze, okulary trafiają na nocny stolik.

Drugie ramiączko zsuwa się powoli z mojego lewego ramienia, a ja patrzę mężowi w oczy, gotowa przestać, jeśli zauważę, że mnie nie chce. Ale on się nie waha. Czekają na mnie cierpliwie, w jego źrenicach widzę pożądanie. Jedwabna koszula nocna opada na podłogę, a ja nadal stoję naga, zupełnie nieruchoma i milcząca. Bardzo tego potrzebuję. Muszę poczuć, że żyję, zatracić się w chwili, oderwać od mrocznych myśli i po prostu żyć.

Mój mąż przechyla lekko głowę i podnosi kołdrę, zapraszając mnie do siebie, do łóżka. Kręcę powoli głową, wpatrując się w podłogę, w moje stopy, w białą pofałdowaną plamę jedwabiu. Wiem, że marszczy czoło, nie muszę nawet na niego zerkać, bo na pewno zdążył się już domyślić, czego potrzebuję.

Spoglądam na krzesło, na którym zostawił ubranie. Mój wzrok zatrzymuje się na pasku w spodniach, z elegancką srebrną klamrą przewieszającą się na bok. Jak prosić go, najmilszego mężczyznę, jakiego znam, by zrobił to, czego potrzebuję? Jak mam mu powiedzieć, że kupiłam ten pasek ze świadomością, że nadejdzie dzień, w którym zapragnę, by pokaleczył moją skórę i posiniaczył uda? Tego właśnie potrzebuję, intensywnego bólu, poczucia obezwładni-

enia, żebym nigdy nie zapomniała, jakie to uczucie. Dziś pragnę tego bardziej niż kiedykolwiek.

Przełykam z trudem ślinę, niepewnie chwytam pasek, wysuwam go ze spodni i składam w dłoni. Kładę go ostrożnie obok Derrecka i wracam do stóp łóżka. Czekam w coraz większym, trudnym do zniesienia napięciu.

W jego oczach pojawia się mrok. Nie pyta o powody i wiem, że nie podoba mu się to, o co go proszę, ale mimo wszystko spełnia moją prośbę. Kiedy w końcu chwytą za pasek, biorę głęboki oddech i przysuwam się do łóżka, niespokojna i spragniona tego, co ma nadejść.

- Ile? - szepcze.

- Sześć.

DZIEWIĘĆ

WIZYTA

Od kilku dni znów pracuję. W poniedziałkowy poranek szpitalne życie wciągnęło mnie z powrotem w swój bezwzględny rytm. Nie mam za dużo czasu na myślenie i cieszę się z tego powodu.

Koszmary jednak nie znikły, nadal się krzywię na dźwięk każdego przejeżdżającego w pobliżu radiowozu i nie mogę się uwolnić od wizji nieuchronnej zagłady. Z początku miałam problem z zachowaniem trzeźwego spojrzenia na to, co się stało, dręczyła mnie obsesja na punkcie śmierci Caleba Donaghy'ego. Dyrektorka szpitala, M, kazała mi asystować przy kilku operacjach, „żeby ułatwić mi powrót do gry”, jak to określiła. Dołączyła mnie do doktora Seldona przy paru zabiegach wszczepienia bajpasów i do ordynatora oddziału kardiochirurgii, doktora Fitzpatricka, przy naprawie zastawki mitralnej.

Co ciekawe, obaj lekarze byli skłonni odsunąć się od zabiegu i jego przeprowadzenie powierzyć mnie. Przypuszczam, że wzięto mnie pod nadzór; podejrzewam, że obaj doświadczeni chirurdzy zostali poproszeni o sprawdzenie, czy jestem gotowa do powrotu do pracy po incydencie z Calebem Donaghyem.

Incydent... tak to wszyscy nazywają. To na pewno nie był incydent. Incydent ma miejsce wtedy, gdy podczas seansu

w miejscowym kinie ktoś doznaje ataku serca. Incydem jest brak prądu w czasie burzy. Nie poprawiam ich jednak; nie miałyby to sensu i jest niepotrzebne, byłby to strategiczny błąd. Mógłby mnie zdradzić.

Lekarze najwyraźniej potwierdzili moją gotowość do wykonywania obowiązków zawodowych po incydencie, ponieważ dziś, w środę rano, tuż przed ósmą Madison przynosi mi gorącą filiżankę kawy i plan dnia do przejrzenia, widnieje w nim operacja.

Biorę kubek z jej dłoni, dziękując spojrzeniem, i stawiam go na biurku, na utrzymującej ciepło podstawce zawsze podłączonej do prądu.

- Dzięki, Maddie.

Wygląda na nieco zmęczoną, pośpiesznie wykonany makijaż nie tuszuje bladości. Nie pytam jej o nic; nie powinna czuć się zmuszona do opowiadania o tym, o czym niekoniecznie chce mówić.

Skupiam uwagę na kolorowych wydrukach, które przede mną rozkłada.

- Nie było wczoraj dużo czasu na przygotowania, więc dziś masz tylko jeden zabieg: stent wieńcowy u czterdziestoletniego niepalącego mężczyzny. To pacjent doktora Seldona. O drugiej. Trzy konsultacje z rządu, a później zebranie z zespołem przed jutrzejszymi operacjami.

Marszczę brwi, gdy rozpoznaję nazwiska z harmonogramu na kolejny dzień. Poznałam wczoraj obie pacjentki. Jedna wymaga takiej samej operacji jak Caleb Donaghy.

- Jutro mamy wymianę zastawki mitralnej u pani Heimbach - ciągnie niezrażona. Od omówienia harmonogramu rozpoczyna każdy dzień. - Potem pan Molinari z TAW.

Aha. Zerkam na nią, a ona uśmiecha się skrępowana. Nie wypowiedziała pełnej nazwy: tętniak aorty wstępującej... Teraz to TAW. Pewnie jestem przewrażliwiona, sprawa jest jeszcze świeża, zbyt ją roztrząsam. Mogę się założyć o duże pieniądze, że już wcześniej używała tego akronimu. Wszyscy się nim pewnie posługiwaliśmy, choć teraz sobie tego nie przypominam. Jest krótszy, łatwiejszy.

– Potrzebuję trzydziestu minut więcej na przygotowanie się z zespołem do TAW ze względu na to, co wydarzyło się ostatnim razem. Powinniśmy omówić ewentualne obawy. – Wypijam łyk kawy, krzepiąco mocnej i gorzkiej; daje niezłego kopniaka. – Kto jest anesteziologiem?

Krzywię się, gdy szpera w papierach.

– Doktor Barrymore.

Czuję przyływ tak wielkiej ulgi, że mam ochotę ją uściskać. Uśmiecha się, jak zwykle niezawodna w odczytywaniu moich myśli. Jej nieśmiały uśmiech w końcu jednak znika, ustępując miejsca zatroskanemu spojrzeniu. – Chyba nie powinnam ci tego mówić, ale krążą plotki, że doktor Bolger poszedł do M i poprosił, żeby nigdy więcej nie przydzielano go do twojego zespołu.

Tak? Niczego innego się po Bolgerze nie spodziewałam. A jednak ta wiadomość na nowo budzi we mnie niepokój, nerwowość i wizję katastrofy, trawiącą mnie od środka niczym ogień. Kto wie, co powiedział dyrektorze? Oddycham głęboko i powoli, żeby się uspokoić, i przypominam sobie, że ja też nie lubiłam z nim pracować, więc cała ta nieciekawa sytuacja może mieć jakieś plusy.

– Przepraszam, Anne – szepcze Madison, zerkając na otwarte drzwi gabinetu. – Wiesz, jakim potrafi być dupkiem, nie musi się nawet starać.

Uśmiecham się nerwowo.

– Nic się nie stało. Nie przejmuj się. – Przygryzam dolną wargę, myśląc intensywnie, czuję presję i desperacko pragnę podjąć właściwą decyzję. – Może zadzwoniłabym do doktora Seldona i zapytała, czy mógłby jutro przejąć pana Molinarię. Być może jest jeszcze za wcześnie, żeby zespół operował kolejnego tętniaka aorty tak szybko po... – Słowa, które chcę wypowiedzieć, więzną mi w gardle.

Madison dotyka mojego przedramienia.

– Nie działajmy na ślepo – ścisza głos. Drzwi do mojego gabinetu wciąż są otwarte, a korytarz znajduje się zaledwie kilka metrów dalej. – Zadzwonię do jego asystentki i sprawdzę, czy to w ogóle możliwe, zanim zapytamy. Jeśli tak, wspólnie z nią ustalę harmonogram.

Wspaniała jest ta Madison. Ma więcej rozsądku, niż można by się spodziewać po trzydziestoczterolatce.

– Zrób to. – Zerkam na cyfrowy zegar ścienny. Do rozpoczęcia pierwszej konsultacji zostało niecałe czterdzieści minut. – Gdzie jest... yyy... Caleb Donaghy? Został zabrany?

Patrzy na mnie, marszcząc brwi, i zaciska wargi z dezaprobatą, zapewne niezadowolona z mojej rosnącej obsesji, której nie rozumie.

– Jeszcze nie – odpowiada z przeciągłym, bolesnym westchnieniem. – Wciąż leży w kostnicy. Podobno ma być przeprowadzona sekcja zwłok.

Wstaję i ponownie spoglądam na zegar, myśląc o tym, co zamierzam zrobić. Wiem, że to złe, ale nie mogę się powstrzymać. Muszę zobaczyć go jeszcze raz, aby się upewnić, że wzrok mnie nie mylił. Tylko jeden raz.

– Będę na dole.

– Anne...

Mijam ją na tyle szybko, by zniechęcić ją do jakiegokolwiek komentarza, bo wiem, co by powiedziała, gdyby tylko miała szansę. Co gorsza, prawdopodobnie miałyby rację.

Po wejściu do windy wciskam przycisk piwnicy. Winda zawozi mnie do niej po kilku przystankach i zabranii innych osób, które wysiadają w holu. Stoję tyłem na wypadek, gdyby był wśród nich ktoś znajomy, ale to zupełnie obcy ludzie. *Małe cuda.*

Słabo oświetlone podziemia spowija cisza. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego w piwnicach stosuje się oświetlenie słabsze niż we wszystkich innych pomieszczeniach, choć przecież one potrzebują go więcej. Prawdopodobnie to kwestia oszczędności kosztu żarówek.

W kostnicy nie ma prawie nikogo poza młodym asystentem zajęтым czyszczeniem probówek w zlewie przy tylnej ścianie. Powietrze jest zimne i suche, a warkot agregatów chłodniczych zagłusza odgłos lecącej z kranu wody. Mężczyzna wyczuwa jednak, że wchodzę przez wahadłowe drzwi, i obraca się, by na mnie spojrzeć.

Zakręca kran i szybko wyciera ręce w mały ręcznik wiszący na ścianie. Robi kilka kroków w moją stronę, uśmiechając się niepewnie, a ja uświadamiam sobie, jak bardzo jestem nieprzygotowana na takie spotkanie. Co mam powiedzieć? Jak wyjaśnię, po co tu przyszłam?

– To pani – mówi w końcu. – Dziewczyna od serca. – Robi cudzysłów w powietrzu, wyraźnie rozpromieniony.

Jego uwaga zbija mnie z tropu.

– Słucham?

Uśmiecha się szeroko, prezentując krzywe zęby, którym przydałby się aparat, i wyciąga z kieszeni telefon.

– Pokażę pani. – Przewija kilka obrazów i pokazuje mi wyświetlacz, trochę za bardzo przysuwając go do mojej twarzy. – Billboard na autostradzie. Widziała go pani?

Oczywiście, że widziałam. Byłam z niego dumna, zachwycona tym, że ja, wówczas trzydziestodziewięcioletnia lekarka, zostałam twarzą renomowanego szpitala na billboardach reklamujących oddział kardiochirurgii. Czułam się zaszczycona i upokorzona jednocześnie. Doktor Seldon czy nawet doktor Fitzpatrick, szef personelu, zasługiwali na to bardziej niż ja, a mimo to wybrano mnie. Może dlatego, że jestem kobietą, powiedziałam sobie wtedy, a czasy się zmieniają. Derreck skwitował: „Seks sprzedaje teraz samochody, pączki i operacje”. Pamiętam, że wyśmiałam go za ten komentarz, uparcie wierząc, że zaszczytu dostąpiłam wyłącznie dzięki sukcesom zawodowym. Zapytałam o to nawet M, tak bardzo byłam pewna siebie. Spojrzała na mnie znad krawędzi oprawek okularów, zapewne zachodząc w głowę, jak taka idiotka jak ja może być w miarę przyzwoitym chirurgiem, i powiedziała: „Pani doskonałe wyniki w niemałym stopniu przyczyniają się do sukcesu naszej placówki. Ale nie bez znaczenia jest fakt, że jest pani piękną blondynką z długimi, gęstymi włosami, niebieskimi oczami, wydatnymi kośćmi policzkowymi i idealną figurą”. Nie pamiętam, jak na to zareagowałam, ale następnego dnia, oszołomiona, podpisałam umowę. Później Derreck przypomniał mi kilka razy, że mówił, co jest powo-

dem tego sukcesu, ale zachęcił, abym dostrzegła w tym dobro, uznanie i wyróżnienie. Szansę.

Billboardy postawiono jakieś półtora roku temu. Jest ich pięć, są bardzo duże, widoczne z najbardziej ruchliwych autostrad i z międzystanówki. Przedstawiają uśmiechniętego mężczyznę z siwymi włosami, leżącego na szpitalnym łóżku, podłączonego do monitorów, i mnie w białym wykrochmalonym fartuchu szpitalnym, stojącą obok niego, również uśmiechniętą, z dłońmi przy piersi ułożonymi w kształt serca. Poniżej widnieje niebieski, pogrubiony napis: „Życie. Prosto z serca dla Ciebie”. Jeszcze niżej mniejszą czcionką: „Poznaj dr Anne Wiley, kardiochirurg ze Szpitala Uniwersyteckiego Josepha Listera”.

Po roku agencja reklamowa przeanalizowała wyniki i zdecydowała, że billboardy pozostaną niezmienione przez co najmniej kolejny rok. Wyglądało na to, że ludzie pozytywnie zareagowali na mój wizerunek i sam przekaz. Skłamałabym, gdybym nie przyznała, że mnie to polechtało. Byłam gwiazdą... przez chwilę odczuwałam ekscytację, ale w końcu o tym zapomniałam.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby ktoś nazwał mnie „dziewczyną od serca”. A przynajmniej nie powiedział tego w twarz. To nowość.

Uśmiecham się do pracownika kostnicy i cofam o krok.

– Oczywiście, tylko o tym zapomniałam.

– Pochwalę się wszystkim, że poznałem panią osobiście. – Spaceruje podekscytowany. – Co mogę dla pani zrobić?

Mój uśmiech blednie. Wsuwam dłonie głęboko do kieszeni i podchodzę do regałów chłodniczych, w których przechowywane są ciała.

– W zeszłym tygodniu na stole zmarł mi pacjent. Chciałabym go zobaczyć.

– Nie ma sprawy – oznajmia wesoło, z entuzjazmem niepasującym do miejsca, w którym się znajdujemy. Bez wahania otwiera drzwi i wysuwa półkę, po czym mruży oczy, przypatrując się tabliczce z nazwiskiem. – Caleb Donaghy, prawda? – Widocznie miejsce każdego ze swoich gości zna na pamięć, bez sprawdzania. A może ten osobliwy hotel jest prawie pusty.

Kiwam głową, podchodząc powoli, a on zsuwa prześcieradło z głowy i tułowia Donaghy'ego. Drzę na widok twarzy, którą znam, odbarwionej pod wpływem livor mortis; bordowa plama jest jeszcze bardziej wyraźna, niż mi się zdawało.

– Dam pani trochę czasu. – Podchodzi do zlewu. – Ale nie musi pani mieć wyrzutów. To nie pani wina. Jest pani naszym sercem i panią kochamy. – Rozpostartą dłońią uderza się dwa razy w pierś i chichocze z zakłopotaniem, po czym wraca do mycia probówek pod strumieniem gorącej wody, od której w powietrzu tworzy się lekka mgiełka.

Czekam, aż zajęcie pochłonie go na tyle, by przestał zwracać na mnie uwagę, po czym wyjmuję telefon i fotografuję twarz Caleba. Światło jest słabe, a mnie lekko drży ręka, ale po dwóch czy trzech próbach udaje mi się zrobić przyzwoite zdjęcie. Donaghy'ego nie będą przetrzymywać w kostnicy wiecznie, nie będę go mogła odwiedzić, gdy zacznę powątpiewać w swoje zdrowie psychiczne. Albo w swoją pamięć.

Wsuwam telefon do kieszeni i podchodzę bliżej, przyglądając się znamieniu. Tak, jest takie samo jak to, które widziałam tamtego dnia w parku. Mam stuprocentową pewność. Twarz, na którą patrzę, za-

czyna przeobrażać się we wspomnienie z czasów, gdy miałam czternaście lat i prowadziłam moją młodszą, zaledwie dziewięcioletnią siostrę przez park Lincolna do zoo. Byłam taka dumna i szczęśliwa, że teraz wydaje mi się to surrealistyczne. Wciąż pamiętam, jak wpatrywałam się w przechodniów, próbując sprawdzić, czy dostrzegają, jak piękna jest Melanie, jak ładnie wygląda w różowej sukience i w kucyku z niebieską kokardą. Podekscytowana i roześmiana głośno śpiewała, fałszując, dziecięcą piosenkę o zoo. Nigdy wcześniej w nim nie była. Pękałam z dumy, że mi zaufano i puszczono z nią samą, jakbym była dorosła.

Znajdowałyśmy się niemal przy bramie, gdy nagle głos jej zadźwięczał, a dłoń rozpaczliwie ścisnęła moją. Z jękiem schowała się za moimi nogami, drugą dłonią chwytając materiał dzinsów i mocno go ściskając. Odwróciłam się, próbując na nią spojrzeć, wołając ją po imieniu, usiłując zrozumieć, co się stało. Skręciła kostkę? Ale ona kryła twarz, błagając i szlochając.

– Chodźmy do domu – łkała, wtulając buzię w moją nogę, choć zaledwie chwilę temu wyśpiewywała na całe gardło słowa improwizowanej piosenki „Chodźmy do zoo”. Oczywiście zaprotestowałam. Czyżby nagle wystraszyła się zwierząt, których jeszcze nie widziała? Zaopiekuję się nią, zapewnię jej bezpieczeństwo.

Przykucnęłam przy niej i ją przytuliłam. Jej szczupłe ciało drżało w moich objęciach, a szeroko otwarte ze strachu oczy wpatrywały się w mężczyznę, który siedział na ławce w parku jakieś dziesięć, piętnaście metrów ode mnie. Na jego spoconym czole widniała czerwona plama – wtedy nie wiedziałam, że jest znamieniem – częściowo zasłonięta przez włosy tuż przy granicy zakoli. Charak-

terystyczny bordowy kleks był tak niezwykły i rozpoznawalny, że na zawsze utkwiał w mojej pamięci. Mężczyzna miał około trzydziestu pięciu lat i czytał gazetę, nieświadomy naszej obecności. Był w poplamionych dżinsach i koszuli w kratę z rozpiętymi dwoma górnymi guzikami, ukazującej fragment owłosionej klatki piersiowej.

– Nie pozwól, żeby mnie znowu skrzywdził – wyszeptała Melanie, głośno szlochając. – Proszę, nie pozwól, żeby mnie zabrał.

Obiecałam, że nie pozwolę mu się do niej zbliżyć, i pognałyśmy do domu – była to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie przyszło mi w życiu zrobić. Wciąż pamiętam, jak bardzo chciałam podejść do tego mężczyzny i uderzyć go w twarz – ja, nastolatka z urojeniami, lekkomyślnie odważna – i zapytać, co zrobił mojej słodkiej siostrzyczce.

Ale już wiedziałam... Widziałam ślady na jej ciele w dniu, w którym pojawiła się w domu.

Nie muszę go pytać, co zrobił Melanie. Muszę mu to powiedzieć.

– Zabiłeś ją, pieprzony sukinsynu – cedzę szeptem przez zaciśnięte zęby tuż przy jego uchu, bo nie mogę się powstrzymać. – Teraz za to płacisz. Mam nadzieję, że zgnijesz w piekle.

– Ja też z nimi rozmawiam. – Głos asystenta mnie zaskakuje. Odsuwam się od zwłok i patrzę mu w twarz. Wydaje się tak samo jowialny jak wtedy, gdy weszłam do środka; stoi kilka metrów ode mnie, prawdopodobnie poza zasięgiem słuchu. – Nie cały czas, ale w chwilach, kiedy się nudzę... – Wzrusza ramionami i uśmiecha się krzywo. – Jeszcze pani potrzebny? Musimy go trzymać w chłodzie.

Kręcę głową, gotowa do ucieczki. Serce w mojej piersi bije gniewnie, rozdarte, obolałe, na nowo przeżywając bolesne momenty tamtego dnia w parku.

Co powinnam była wtedy zrobić?

Co powinnam była powiedzieć? Może gdybym nie pognąła do domu, Melanie nadal by żyła.

DZIESIĘĆ

PYTANIA

Trzy zaplanowane na przedpołudnie konsultacje trwają dłużej, niż zakładał harmonogram. Dwóch pacjentów to starsi ludzie zmagający się z dolegliwościami sercowymi i z paraliżującym strachem. Trzeci badany, młodszy mężczyzna z poważniejszym problemem, cynicznie wszystko neguje i żartuje sobie ze spraw związanych ze śmiercią – zapewnia mnie, że i tak żył wystarczająco długo.

A jednak zjawił się w szpitalu i ponad godzinę czekał na wizytę, choć według swoich odważnych deklaracji tak naprawdę wcale jej nie potrzebuje.

Po powrocie do gabinetu stawiam filiżankę herbaty rumiankowej na podgrzewanej podkładce. Obok leży teczka, o której przygotowanie poprosiłam Madison, bez standardowej karteczki samo-przylepnej ze szczegółami dotyczącymi pacjenta, takimi jak data operacji i numer sali. Tym razem jej nie potrzebuję.

Siadam i otwieram czerwony skoroszyt, wiedząc, czego się spodziewać. Poprosiłam asystentkę, by zgromadziła wszystkie informacje na temat Caleba Donaghy'ego. Wyniki badań, tomografii, ustalenia konsultacji przedoperacyjnej, wszystko. Chcę mieć kopię dla siebie, by móc przejrzeć dokumentację ponownie, gdy sprawa nieco ucichnie. Brakuje jednej rzeczy. Wyciągam telefon i wybieram

najlepsze zdjęcia, które zrobiłam w kostnicy, a następnie jednym dotknięciem palca wysyłam je do kolorowej drukarki.

Madison dociera do drukarki przede mną. Zdejmuje kartkę z tacy i przygląda jej się uważnie, a później spogląda na mnie z pytającą miną i wyraźną dezaprobatą. Nie mogę niczego wyjaśnić. Lepiej, żeby myślała, że przesadnie przeżywam śmierć pacjenta.

Wracam na swoje miejsce, a ona kładzie wydruk na otwartej teczce. Opiera dłonie na biurku i patrzy mi prosto w oczy.

– To się zdarza każdemu, Anne. Powinnaś odpuścić. To nic dobrego.

Zerkam na twarz ze zdjęcia i krew ścina mi się w żyłach. *Donaghy nie żyje. Co się stało, to się nie odstanie.* Powoli zamykam czerwoną teczkę ze zdjęciem na wierzchu.

Madison wyciąga rękę po skoroszyt. Do jej obowiązków należy archiwizowanie dokumentów po wypisaniu pacjentów lub, jak w tym przypadku, po śmierci.

Ale nie mogę odpuścić. Jeszcze nie teraz.

Kładę dłoń na dokumentacji, jakbym ją chroniła.

– Będę jej potrzebować do oficjalnej analizy.

Przygląda mi się, unosząc brwi, jakby dawała do zrozumienia, że wygaduję bzdury. Kładzie dłonie na biodrach i wzdycha.

– Powinnaś się martwić o żywych pacjentów. O drugiej wracasz na salę operacyjną, czasu starczy ci ledwie na zjedzenie lunchu i przygotowanie się do zabiegu. – Z dezaprobatą wpatruje się w czerwoną teczkę. – Muszę mówić coś więcej?

Nie potrzebuję lunchu, a na salę operacyjną jestem gotowa wejść, jak tylko zostanę wezwana. Lekka wściekłość podnosi mi ciśnienie. Potrzebuję spokoju, a nie tego, by traktowano mnie jak pięciolatkę.

Madison wyczuwa, że już nie jest mile widziana, i wychodzi. Z ulgą, ale wciąż nieco wzburzona z powodu jej nieustannego marudzenia, ponownie otwieram teczkę i folguję obsesyjnemu pragnieniu wpatrywania się w twarz mężczyzny, nie zwracając uwagi na dźwięk telefonu w oddali.

Chwilę później Madison oznajmia swój powrót stuknięciem w szklane drzwi oddzielające jej gabinet od mojego.

Ledwie udaje mi się zamknąć teczkę. Pośpieszny, banalny gest wzbudza we mnie jeszcze większą złość. Dlaczego się przed nią ukrywam? Może podświadomie wiem, że nie powinnam patrzeć na martwą twarz Caleba? Unoszę dłonie nad czerwonym skoroszytem i surowym wzrokiem patrzę na Madison.

– Słucham?

– M chce cię zobaczyć.

No tak. Zaciskam zęby, choć dobrze wiedziałam, że mnie to czeka.

– Kiedy?

– Natychmiast. Właśnie dzwoniła. – Bez słowa wraca do swojego gabinetu. Zerkam na dokumentację, zastanawiając się, czy zabrać ją ze sobą, ale rezygnuję z tego pomysłu. Mijam Madison, która w swoim zwykłym tempie pięćdziesięciu słów na minutę wystukuje na klawiaturze notatki dotyczące pacjenta.

W porze obiadowej szpital tętni życiem. Zgiełku nie można porównać do tego z początku dnia, kiedy o ósmej rano przez obrotowe drzwi wlewają się do szpitala hordy nowych pacjentów, ale w południe korytarze zwykle nadal są zatłoczone. Przedzieram się wśród ludzi i kilka minut czekam na windę, a następnie zjeżdżam na pierwsze piętro, gdzie obok działu rozliczeń mieści się gabinet M.

Inaczej niż wcześniej idę wyprostowana, swobodnie trzymając dłonie w kieszeniach fartucha.

Pokój M jest oznaczony tabliczką z napisem „Dyrektor” i jest dużo większy od mojego, ale ma podobny układ – muszę minąć biurko asystentki, żeby się dostać do gabinetu M. Asystentka od razu wskazuje, że mam wejść, ale zatrzymuję się na krótką chwilę i zaglądam do gabinetu przez szklane ściany osłonięte otwartymi żaluzjami w kolorze drewna.

M stoi i gestykułuje, prowadząc ożywioną rozmowę z doktorem Fitzpatrickiem, kierownikiem personelu oddziału kardiochirurgii. Zasadniczo to mój szef. Odpowiada za cały personel medyczny na naszym oddziale. Jeśli dobrze odczytuję mowę jego ciała, przeprasza M z jakiegoś powodu. Ona wydaje się rozgorączkowana. Przechadza się po pokoju w czółenkach na wysokim obcasie i w dopasowanej biznesowej garsonce, z żakiem zapiętym na tyle, by odsłaniał fragment dekoltu, nie za duży. Jej ciemne kręcone włosy podskakują tuż nad ramionami, a energiczne ruchy napędza zapał, który uczynił ją sławną.

Szklane ściany są grube i nie jestem w stanie wyłapać ani słowa z tego, co mówią. Świadoma tego, że asystentka M prawdopodobnie na mnie patrzy, pukam dwa razy, po czym otwieram drzwi i wchodzę.

– Chciała mnie pani widzieć?

– Tak – odpowiada, natychmiast się do mnie odwracając. – Proszę wejść, zapraszamy. – Gestem wskazuje ławę, wokół której stoi kilka małych foteli, prowadzi mnie do niej, siada i zakłada nogę na nogę. Lekko porusza w powietrzu lewą stopą, co jest jedyną oznaką jej zniecierpliwienia.

Doktor Fitzpatrick rzuca mi przelotne spojrzenie i zajmuje miejsce. Ze ściśniętym z niepokoju żołądkiem decyduję się usiąść naprzeciwko M.

– W sprawie Donaghy’ego odbędzie się postępowanie wyjaśniające – informuje M. Jej głos jest szorstki, ale nie bardziej niż zwykle. Słowa wypowiada pośpiesznie i z emfazą, jakby chciała je szybko z siebie wyrzucić. – Na pewno się pani tego spodziewała.

– Tak – odpowiadam krótko, jak zawsze, gdy brakuje mi pewności siebie. Tego nauczył mnie Derreck.

– To rutyna – dodaje uspokajająco M. Jej wyjaśnienie napawa mnie większym strachem, niż gdyby zaczęła na mnie krzyczeć. – Zna pani procedurę.

Marszczę brwi, nieco skołowana, i wiem, że jeśli chodzi o M, niczego nie można być pewnym. Jej stopa niecierpliwie podskakuje w powietrzu.

– A może i nie, w końcu to pierwszy pacjent, który pani zmarł. – Mówi to tak, jakby robiła mi zarzut, że nie miałam do czynienia ze śmiercią pacjentów. Ignoruję jej ton i cierpliwie czekam. – Może zatem odświeżę pani pamięć – rzuca. – Proszę nie rozmawiać z nikim na temat tej sprawy. Ani z dziennikarzami, ani z członkami rodziny, z nikim poza osobami obecnymi w tym pokoju. – Dłonie trzyma na kolanach i odlicza na palcach podczas mówienia. – Jeśli ktoś ma pytania, proszę go kierować do szpitalnego radcy prawnego.

Potakuję, myśląc, że to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję: szpitalny radca prawny zarzucający mnie pytaniami, na które nie chcę odpowiadać.

– Zrozumiałam.

– W porządku, to wszystko – oznajmia, wstając niepodziewanie. Doktor Fitzpatrick idzie w jej ślady, więc ja robię to samo. Uśmiecha się do mnie lekko, uspokajająco. Fakt, że jej zdaniem tego potrzebuję, jest przerażający.

Czego mi nie mówią?

Co im powiedział Bolger? Madison wspomniała, że zwrócił się do M z sugestią, że nie chce więcej ze mną pracować. To na pewno źle wpłynie na moją karierę. Kierownik personelu czy dyrektor szpitala z całą pewnością nie chcą słyszeć od szanowanego anestezjologa, że nie będzie współpracował z jednym z chirurgów. *Jak poważna jest sytuacja?*

W jednej chwili wszystkie moje obawy odżywają. Cały weekend poświęciłam na wzmacnianie pewności siebie, uspokajana przez Derrecka, że wszystko będzie dobrze, jeśli odpowiednio rozegram sprawę i będę trzymać język za zębami. Teraz już sama nie wiem. Może powiedzieli mi o postępowaniu, żeby mnie zająć i uspokoić, dopóki nie ustalą, co ze mną zrobić. Jak się mnie pozbyć. Albo... czy powinni zgłosić ten „incydent” władzom. Jak mnie aresztować, nie niszcząc przy tym reputacji szpitala.

Bo właśnie na tym zależy M: na szpitalu. Słyszałam, jak podkreślała to kilka razy. Lekarze przychodzą i odchodzą, pacjenci przychodzą i odchodzą, ale jej szpital będzie najlepszy, a każdy, kto stanie temu na przeszkodzie, pożałuje, że nie wybrał kariery sprzedawcy hamburgerów.

– Jakies pytania, pani doktor? – zwraca się do mnie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że stoję bez ruchu, walcząc z niepokojem.

– N...nie – udaje mi się wyartykułować, po czym energicznym krokiem opuszczam jej gabinet z wysoko podniesioną głową i spokojną twarzą, choć jestem roztrzęsiona.

Wychodząc, oglądam się przez ramię i widzę, że mój przełożony kontynuuje rozmowę ze swoją szefową, jakbym nigdy im jej nie przerwała.

Droga do mojego gabinetu trwa całą wieczność, a przynajmniej tak mi się wydaje, choć w szybkim tempie przedzieram się przez typowe dla wczesnopopołudniowych godzin tłupy, od czasu do czasu mamrocząc „przepraszam”. Kiedy docieram do swojego pokoju, kolana mam miękkie i marzę o odrobinie ciszy, by móc zebrać myśli i odzyskać pewność, że wszystko będzie dobrze.

To, czego chcę, nie zawsze ma znaczenie. Na jednym z dwóch krzeseł dla gości, które stoją u Madison przy szklanej ścianie graniczącej z korytarzem, czeka na mnie kobieta. Jest około czterdziestki, elegancko ubrana w grafitowy garnitur z białą jedwabną koszulą i czarnymi czółenkami z naturalnej skóry. Kiedy wchodzę, szybko wstaje z aktówką w lewej dłoni i rusza za mną, zanim Madison zdąży ją powstrzymać.

– Paula Fuselier z biura prokuratora stanowego – przedstawia się. Na moim biurku ląduje jej wizytówka.

Jest prokurator stanową.

Oskarżycielem.

Krew zastyga mi w żyłach. Zaczyna się, a ja nie jestem gotowa.

Odwracam się do niej i wsuwam dłonie do kieszeni, żeby nie widziała, że drżą.

– Co mogę dla pani zrobić? – Mój głos brzmi pewnie i słychać w nim odpowiednią dozę pośpiechu. Wcielam się w M najlepiej, jak

potrafię.

Nie czekając na zaproszenie, zajmuje miejsce przy moim biurku, kładzie aktówkę na kolanach i odblokowuje zapięcia. Nie otwiera jej jednak.

– Mamy kilka pytań dotyczących pani pacjenta, pana Caleba Donaghy’ego.

Stoję w nadziei, że uzna to za znak, że nie jest mile widziana, i sobie pójdzie.

– Jakie pytania?

– Co może nam pani powiedzieć na temat jego śmierci?

Marszczę brwi. W mojej głowie pojawia się rada Derrecka, a zaraz po niej prośba M, by z nikim nie rozmawiać.

Nie mogę jednak tak zwyczajnie odmówić odpowiedzi bez wzbudzania podejrzeń.

– Gdy podczas operacji lub bezpośrednio po niej dojdzie do zgonu pacjenta, przeprowadzane jest formalne postępowanie, które ma wykazać, co poszło nie tak i czy śmierci można było zapobiec lub ją przewidzieć – recytuję spokojnie, ciesząc się, że przez kilka lat musiałam szkolić rezydentów. Informacje, których udzielam, w ogóle nie dotyczą Caleba Donaghy’ego i nie mogą zostać wykorzystane przeciwko mnie w sądzie ani gdziekolwiek indziej. Wolałabym nie mieszać w to radcy prawnego szpitala.

Na ustach kobiety pojawia się krzywy uśmiech.

– Unika pani odpowiedzi na moje pytanie, pani doktor.

Robię krok w stronę drzwi.

– Obawiam się, że nie mam teraz czasu. Zaraz mam operację. – Przytrzymuję otwarte drzwi, by ją wypuścić. Madison czeka po dru-

giej stronie szklanej szyby, gotowa ją wyprowadzić. Brwi ma ściągnięte, a jej zacięte wargi nie zwiastują niczego dobrego.

Paula Fuselier powoli zamyka teczkę i wstaje. Przed drzwiami zatrzymuje się i spogląda mi prosto w oczy.

– Czy spotkała się pani z panem Donaghym przed zeszłym czwartkiem?

Mało się nie zakrztuszę.

– Tak. – Mój głos brzmi spokojnie, zdecydowanie. – Widziałam się z nim dwa razy. Na konsultacji wstępnej i później w czasie wizyty przedoperacyjnej. – Uśmiecham się zniecierpliwiona. – Proszę mi wybaczyć. Jestem spóźniona.

– Mam jeszcze pytania, pani doktor. – Jej wzrok zatrzymuje się na mojej twarzy na długą, pełną napięcia chwilę, sondując, polując na najmniejszy grymas.

– Nie możemy trzymać pacjentów w ciężkim stanie w sedacji z powodu osób, które nie umawiają się na wizyty. Przepraszam panią. – Moje spojrzenie wwierca się bezlitośnie w jej oczy. Przeraża mnie to, co w nich widzę.

Determinację. Nienawiść.

W końcu rusza się z miejsca.

– Moje biuro będzie z panią w kontakcie – rzuca przez ramię.

Puszczam drzwi. Zamykają się, odcinając mnie od otaczającego świata, ale nie od kotłujących się w głowie myśli. Chwytam się krawędzi biurka, by się podeprzeć, czuję się zbyt słaba i roztrzęsiona, by stać.

Do środka wpada Madison i zerka na zatłoczony korytarz, na którym znika Paula Fuselier.

– Co tu jest grane, do cholery?

JEDENAŚCIE

LEKCJE

Nie mogę jej odpowiedzieć. Gdybym znała odpowiedź, pewnie bym się nią podzieliła. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego prokuratura zajmuje się śmiercią ciężko chorego pacjenta, który zmarł podczas operacji. Nic z tego nie rozumiem. Wszystkie operacje są obarczone ryzykiem śmiertelności i nie mogę sobie przypomnieć ani jednego przypadku, w który zaangażowana byłaby prokuratura stanowa.

Powstrzymuję się od zadzwonienia do Derrecka, aby spytać, czy orientuje się, o co chodzi: skoro prokuratura zadaje pytania, nie wiadomo, do czego jest gotowa się posunąć. Może gabinet jest na podsłuchu?

Odchodzę od zmysłów. Liczyłam się z tym, że zjawi się u mnie policja. Ale prokurator?

Spoglądam na cyfrowy zegar ścienny i zastygam w bezruchu. Za niecałe trzydzieści minut powinnam być gotowa do przeprowadzenia zabiegu wszczepienia stentu wieńcowego pacjentce doktora Seldona. Nie ma mowy, żebym zdołała go przeprowadzić... Przerażliwie trzęsą mi się ręce. Niechętnie puszczam blat biurka i przyglądam się swojej dłoni, jakbym nigdy wcześniej jej nie widziała. Pod wpływem adrenaliny moje palce lekko drżą. Osłabione mięśnie domagają się, bym usiadła, ale nie mogę. Nie mam czasu.

- Sprawdź grafik doktora Seldona i napisz mi, gdzie jest - rzucam do Madison, wybiegając z gabinetu. Najpierw sprawdzę u niego. Jego pokój, na szczęście, mieści się na tym samym piętrze co mój.

Jego asystentka informuje mnie, że doktor właśnie się przebiera i znajdę go w sali operacyjnej numer 5. W tym samym czasie dostaję od Madison wiadomość wskazującą również tę lokalizację. Lekkim truchtem przemierzam niekończące się korytarze prowadzące do sal operacyjnych oddziału kardiochirurgii i zastaję go przy zlewie, szorującego ręce w asyście dwóch pielęgniarek.

Stoję i patrzę, zdyszana i spocona, i brakuje mi słów. Zabieg wszczepienia stentu zlecił mi sam doktor Seldon. Poprosił mnie o przysługę, co rzadko mu się zdarza, a ja się zgodziłam. I teraz nie mam pojęcia, jak mu powiedzieć, że znów potrzebuję ratunku.

Jego ruchy stają się wolniejsze, gdy mnie dostrzega. Wyglądam zapewne osobliwie... Cała czerwona, z kosmykami włosów opadającymi na twarz i kropelkami potu na czole. Patrzy na mnie krytycznie, ale w jego spojrzeniu widzę cień empatii. W końcu skupia się na paznokciach i wznawia energiczne szorowanie.

Wie, o co przyszłam zapytać.

- Jezu, Anne... - Płucze dłonie pod strumieniem wody, a następnie osusza je sterylnymi ręcznikami podanymi przez pielęgniarkę. - Dobrze, zaraz po tym założę stent. Najpóźniej o czwartej.

Spogląda na mnie ponownie, a ja stoję z gardłem ściśniętym ze wstydu. Oczy pieką mnie od łez, spuszczam głowę, by je ukryć.

- Dziękuję - szepczę.

Odwraca się, by wejść do sali operacyjnej, ale zatrzymuje się i ponownie do mnie odwraca. Tym razem w jego oczach widać

smutek, i to boli najbardziej.

– Pozwalasz, by jedno krnąbrne, zmęczone serce zrujnowało twoją karierę. Pacjenci wymagają od nas niezawodności. Mamy być sumienni, odpowiedzialni i silni, kiedy najbardziej nas potrzebują. Na tym polega bycie dobrym chirurgiem. Pewna ręka i czysta głowa w najtrudniejszych okolicznościach. A gdybyś operowała pod ostrzałem wroga albo podczas klęski żywiołowej?

Zawstydzona przyglądam się, jak znika na sali, i żałuję, że tu przyszłam. Ma rację. Powinnam była wziąć się w garść i wykonać zadanie, a nie biec po pomoc. Wiem, że jestem dobrym chirurgiem, jestem silna i zachowuję zimną krew bez względu na okoliczności. Ci wszyscy, którzy we mnie wierzą, między innymi doktor Seldon, nie mogą się mylić.

Jestem też głęboko zraniona, złamana, i to zaczyna dawać się we znaki.

Asystentka doktora Seldona patrzy na mnie z lekceważeniem, stukając w tablet.

– Więc pani zabieg z czternastej przekazujemy zespołowi doktora Seldona na szesnastą, tak? – Jej ton jest oficjalny, ale chłodny.

Przez szklane drzwi obserwuję plecy Seldona pochylonego nad klatką piersiową pacjenta. Czegoś mnie nauczył.

– Nie – odpowiadam spokojnie, marszcząc brwi i spoglądając na zegarek. – Przeprowadzę operację. Proszę podziękować doktorowi Seldonowi w moim imieniu.

Uśmiecha się. Nikt nie lubi nadgodzin i nieoczekiwanych zmian w harmonogramie.

– Jasne.

Energicznym krokiem wracam do gabinetu i po drodze wysyłam wiadomość do Madison, aby poinformować, że zespół powinien rozpocząć przygotowania zgodnie z planem. Madison natychmiast to potwierdza.

Gdy skręcam i w zasięgu wzroku pojawia się mój pokój, nieruchomieję przerażona. Naprzeciwko drzwi stoi policjant – opiera się o ścianę i zerka w telefon. Ma na sobie mundur chicagowskiej policji i jest uzbrojony.

Wygląda na to, że jednak nie wykonam zabiegu wszczepienia stentu. Nie zdążę.

Nie mam zamiaru stać i się gapić, choć czuję się tak, jakbym lada moment miała zemdleć. Zamierzam załatwić sprawę w skupieniu i z godnością.

Spokojnym, zdeterminowanym krokiem podchodzę do policjanta.

Reaguje dopiero, gdy znajduję się w odległości metra. Jest umięśnionym, przysadzistym, gładko ogolonym, także na głowie, mężczyzną. Rękawy koszuli opinają jego bicepsy, a przymocowane do kołnierzyka radio szumi od czasu do czasu.

– Doktor Wiley – przedstawiam się nieco zdławionym głosem. – Pan do mnie?

Odrywa wzrok od telefonu, marszcząc czoło.

– Mam czekać na informacje o moim partnerze. Podwójna rana postrzałowa w klatkę piersiową.

Patrzę na niego zdezorientowana; nie dociera do mnie, o jakiej ranie postrzałowej mówi, umysł mam zaprzątnięty wyłącznie własnymi problemami. Uświadamiam sobie w końcu, że nie jest tu z mojego powodu, i czuję przyływ ulgi.

Odkasłuję.

– Nie ja go operuję, prawda? – Co za idiotyczne pytanie.

Jego uniesione brwi przyznają mi rację.

– N...nie, doktor Fitz-cośtam.

– Fitzpatrick. Moja asystentka może zapytać o jego stan, jeśli pan chce.

Wchodzi za mną do gabinetu Madison, uśmiechając się z wdzięcznością. Po minucie, gdy Madison wskazuje mu właściwy kierunek, znika. Jego partner walczy o życie na sali operacyjnej numer 3.

Zabieg wszczepienia stentu trwa krócej, niż przewidywano, i kończy się sukcesem. Wstydzę się przyznać przed sobą, że czuję ulgę, jakbym wciąż była na pierwszym roku rezydentury.

Nieco ponad godzinę później siedzę w gabinecie z dużym kubkiem kawy na podgrzewanej podkładce, a Madison obsesyjnie przeżywa to, że nie zjadłam obiadu.

Idzie do kafejki, by mi coś kupić, a do mnie na komórkę w tym czasie dzwoni M. Potrzebuje niecałych trzydziestu sekund, by zrugać mnie za to, że nie wzięłam się w garść. Ktoś z zespołu doktora Seldona na mnie doniósł.

– Nie może pani być chwiejna w kwestii zabiegów – mówi w typowym dla siebie tempie karabinu maszynowego. – Albo wykonuje pani pracę tak, jak tego od pani oczekujemy, albo nie przychodzi pani do pracy, dopóki nie będzie pani gotowa. Pacjenci to nie pionki, które można podrzucić komuś innemu, jeśli nie ma się ochoty na grę.

- Rozumiem - udaje mi się odezwać, gdy milknie, by zaczerpnąć tchu.

- Proszę wziąć więcej wolnego, jeśli pani tego potrzebuje. Przekraczając próg szpitala, powinna pani być zaangażowana w stu procentach. Jasne?

Nie mam szansy odpowiedzieć.

- Dobrze - mówi, po czym się rozłącza.

Zasłużyłam na to. W pełni.

Nie mogę przestać myśleć o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd zobaczyłam znamię Caleba Donaghy'ego. Siadam przy biurku i wypijam łyk kawy. Gorący, gorzki napój spływa na dno pustego żołądka. Nie zwracam na to uwagi, mój wzrok przyciąga czerwona teczka z dokumentacją Donaghy'ego.

Otwieram ją powoli i wpatruję się w przebarwioną twarz mężczyzny. Nic nie czuję. Ani żalu, ani wyrzutów sumienia. Donaghy był potworem, który zasłużył na śmierć. Czy to miało jakieś znaczenie, gdy trzymałam skalpel przy jego sercu? Czyżbym wyczuła, kim jest?

Madison przynosi mi małą porcję sałatki Cezar i zapakowany w celofan widelec. Dziękuję jej, nie odrywając wzroku od teczki. Numer pacjenta z jednego z wyników badań pozwoli mi odnaleźć na serwerze nagranie wideo z operacji. Chwilę później, chrupiąc sałatkę, oglądam nagranie z wielu kamer, zsynchronizowane z parametrami życiowymi pacjenta.

Postępowałam zgodnie z protokołem. Jestem tego pewna. Stosowałam się do zasad, dopóki nie zobaczyłam jego twarzy i go nie rozpoznałam.

Czy mógł przeżyć? Czy żyłby dzisiaj, gdyby operował go inny chirurg? Oglądam wideo na okrągło: fragment, odkąd weszłam za przesłonę, do momentu, w którym stwierdziłam zgon. Szukam odpowiedzi. Nie ma oczywistych. A może nie chcę przyznać, że są.

Może dałby radę. Inny chirurg podałby mu epinefrynę bezpośrednio do serca i przywrócił rytm zatokowy. Masowałby serce jeszcze chwilę, żeby nie pozostawić miejsca na wątpliwości.

A wtedy potwór mógłby żyć.

Kiedy się dowiedziałam, kim jest, nie mogłam ryzykować.

Nie żałuję tego, co zrobiłam. Pogodziłam się z tym, choć jestem przerażona, co to oznacza.

Że jestem morderczynią.

Nie daje mi spokoju myśl, że jego serce nie podjęło pracy po operacji. Dlaczego w ogóle pojawiła się sposobność stwierdzenia zgonu? To nie powinno było się zdarzyć. Wszystko zostało zrobione, jak należy, a mimo to serce nie chciało bić. *Zanim* stanęłam za przesłoną i zobaczyłam, kim on jest. *Zanim* dotarło do mnie, że serce należy do wynaturzonego, zdegenerowanego zwierzęcia, które nie zasługuje na to, by oddychać.

Dlaczego?

Głos Madison przywołuje mnie do rzeczywistości. Jest z nią Lee Chen, który nie wygląda na zachwyconego.

– Powiedz to, co powiedziałaś mnie. – Nie wypuszcza jego ręki, jakby musiała go tu przyciągnąć.

Lee się waha. Oczy ma zmrużone, a twarz bladą. Uśmiecham się do niego, zachęcając, żeby się odezwał. Oblizuje wargi i przez chwilę, wyraźnie zdenerwowany, stoi w miejscu.

- Po prostu... hm... pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, że po korytarzach buszuje prokurator stanowa, zadaje rozmaite pytania. Wygląda na to, że sporo wie. Nie pisałem słowa, przysięgam.

DWANAŚCIE

OBSŁUGA HOTELOWA

– Ooo, burmistrzu, pamiętałeś – szepnęła Paula, sięgając po kieliszek tak zwanego szampana, który jej zaoferowano.

Na czarnym marmurowym blacie stała samotnie butelka jej ulubionej marki: Martini Asti.

– A jakże by inaczej. – Kieliszki zadźwięczały w powietrzu, a ona podniosła się i złożyła długi pocałunek na wargach kochanka. – Tanie wino nie jest mi obce. – Roześmiał się.

Odsunęła się i rzuciła mu długie drwiące spojrzenie.

– Czy ja cię w ogóle znam, burmistrzu? Byłam przekonana, że pochodzisz z bogatego domu. I to bardzo. – Zrobiła rozeznanie i dowiedziała się, z jakiej rodziny się wywodzi, ale on nie musiał o tym wiedzieć.

Na hotelach na popołudniowe randki z całą pewnością nie oszczędzał. Tym razem wybrał London House, najwyższe piętro, z oszłamiającym widokiem na rzekę i liczne mosty. Niczego nie lubiła bardziej od stania nago przy oknie, przed setkami okien w wieżowcach po drugiej stronie rzeki, osłonięta jedynie białym welonem firany. O takiej sukni ślubnej marzyła... śnieżnobiałej, prześwitującej. Nie pragnęła małżeństwa jak inne młode kobiety. Miała kilka okazji do zamążpójścia, trafiło jej się parę dobrych partii. W wieku trzydzi-

estu dziewięciu lat nie żałowała, że się nie zdecydowała. Wciąż prowadziła własną grę, mogła swobodnie osiągać swoje cele zawodowe, mieć romanse i robić, co tylko zapragnie. Chciała mieć córkę, ale nie wyobrażała sobie, że miałyby sprowadzić na świat bezbronną istotę – zbyt dobrze wiedziała, że wystarczy jedno potknięcie losu, jeden głupi wypadek lub nieprzewidziana choroba, by dziecko zostało samo zdane na łaskę obcych. Nie zamierzała podejmować takiego ryzyka.

Wypiła kolejny łyk ulubionego wina musującego.

– Nie mów, że już go próbowałeś. Myślałam, że uznajesz tylko wyjątkowe wina.

Wzruszył ramionami z wymuszonym uśmiechem, którego nie było widać w jego oczach.

– Nie jestem tak bogaty, jak bym chciał. – Jego spojrzenie spochmurniało. – Owszem, piłem już asti i nie jest takie złe. – Podeszedł do niej do okna, najwyraźniej nie przejmując się tym, że prezentuje się nago przy szybie sięgającej od podłogi do sufitu. – To miasto może być nasze. – Objął ją.

– To miasto *będzie* nasze, burmistrzu. – Gdy wypowiadała te słowa, mając go u boku i spoglądając na rzekę w dole, brzmiały przekonująco. Wszystko wydawało się realne. Osiągalne.

– Chcesz jeszcze? – szepnął, przygryzając jej ucho.

Wyciągnęła kieliszek, udając, że nie rozumie prawdziwego znaczenia tego pytania. Uwielbiał bawić się aluzjami.

– Jasne.

Zacisnął dłonie wokół jej talii.

– Już się robi. – Uśmiechnął się, podniósł ją i zaniósł na łóżko. Jej pusty kieliszek upadł na podłogę i potoczył się bezgłośnie po

mięśnistym pluszowym dywanie.

Zmierzyła go od stóp do głów i oblizała wargi.

- Jestem głodna. - Sięgnęła po jego kieliszek i wlała do niego resztę musującego wina z butelki. - I spragniona.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, kobieto - wyszeptał z nieskrywanym pożądaniem, patrząc na jej nagie ciało w satynowej pościeli. - Nie mogę się tobą nasycić.

Wypiła łyk szampana i uśmiechnęła się z odpowiednią dozą smutku w oczach.

- Szkoda, że nie mogę zostać dłużej. - Podała mu kieliszek, ale pokręcił głową. Cień w jego oczach powrócił. - Dlaczego jej nie zostawisz? - zapytała, uznając, że lepiej nie zwlekać z tym pytaniem. Chciała, żeby zostawił żonę. Nie... Ona tego *potrzebowała*. Może to właściwy moment, kiedy nienasycony wpatrywał się w jej ciało, z którym miał się pożegnać.

Odskoczył od niej.

- Wiesz, że nie mogę. Całkowicie przekreśliłbym swoje szanse na stanowisko burmistrza. Rozwód i skandal wysłałyby mnie na bezrobocie. - Jego słaby głos brzmiał nieprzekonująco. Musiało powstrzymywać go coś jeszcze.

- Jesteś ze mną szczerzy, Derreck? - wyszeptała.

Spojrzał na nią przelotnie i odwrócił wzrok.

- Po wygranych wyborach jestem cały twój, Paula. Jeśli mnie zechcesz. Będę mógł robić, na co tylko będę miał ochotę.

Kłamca.

Rozpoznawała, gdy ktoś kłamie. Derreck nie różnił się od hord przestępców i podejrzanych o morderstwa, których przesłuchiwała w sali sądowej. Wszyscy winni mężczyźni kłamią w ten sam sposób.

Przesunął dłoń, by naciągnąć kołdrę na pośladki, i w promieniach zachodzącego słońca zalśniła jego obrączka. Paula dotknęła jej delikatnie, a on cofnął dłoń.

Nosił to cholerstwo, gdy był z nią w łóżku.

– Zawsze mnie ciekawiło, jak to się stało, że mieszkasz w rodzinnym domu swojej żony z jej matką. To nie może być łatwe.

– Sprawdziłaś mnie, co? – Zmarszczył brwi. – Ale chyba nie mogę mieć do ciebie pretensji. – Odwrócił się do niej, położył dłoń na jej nodze i delikatnie ją ścisnął. – Wierz mi, wolałbym mieszkać gdzie indziej. Zostaliśmy tam, ponieważ Anne jest przywiązana do tego domu, do swojej matki. Tak jest po prostu łatwiej. Blisko stamtąd do szpitala, do mojej kancelarii. Ale właściwie dlaczego rozmawiamy o niej? – Jego dłoń powoli wędrowała w górę, rozpalając płomień w dole jej brzucha.

– Bo nie chcę dziś spać sama – odparła chłodno stłumionym szeptem, w którym pobrzmiwała nuta groźby. – Ale najwyraźniej cię to nie obchodzi. – Przeniosła wzrok na okno, za którym o zmierzchu miasto zaczynał spowijać całun świateł. – Muszę iść. – Usiadła na brzegu łóżka, zwrócona do niego plecami.

– Dziś mogę zostać dłużej. – Jego słowa padły szybko, a w głosie było słycać natarczywość. – Anne ma sprawy do załatwienia w szpitalu. Nie wróci szybko.

Pozwoliła, by kilka sekund surowej ciszy mówiło za nią.

– Dlaczego? Co się stało? – zapytała w końcu.

Westchnął sfrustrowany.

– Mówiłem ci. Straciła pacjenta. Jakiś facet zmarł na stole. Nie ma się czym przejmować.

– Te problemy twojej żony nie wpłyną na twoją karierę? Jeśli media...

Przyglądał się swoim dłoniom.

– Nie... to nic takiego. Chirurdzy po prostu bardzo przeżywają śmierć pacjentów. Ale to nic nadzwyczajnego, takie rzeczy się zdarzają.

Pauli przyszła do głowy pewna myśl. Derreck prawdopodobnie dlatego nie odejdzie od żony, bo żona jest zamożna, poszła w ślady bogatego ojca. On się majątku nie dorobił, on się w niego wzenił. To dlatego nieobce mu było tanie wino. Dlatego był skłonny mieszkać z teściową.

– Kim był ten pacjent? – spytała jakby od niechcienia, choć doskonale wiedziała. – Znała go czy może...

Wzruszenie jednym ramieniem ostrzegło Paulę, że kochanek znów zamierza kłamać.

– Nie mam pojęcia. Mogę zostać, jeśli chcesz. Pokój mamy do jutra.

Ta deklaracja zasługiwała na uśmiech. Przysunęła się do niego i musnęła palcem jego pierś.

– Możesz zostać do rana? – Jej głos niósł obietnicę.

Chwycił jej dłoń, przerywając podróż przesuwających się w dół palców, i podniósł ją do ust.

– Mogę zostać na wieczór, powiedzmy, do jedenastej. Jutro czeka mnie ciężki dzień.

– Aha. – Wstała i poszła do łazienki owinięta jedwabistym prześcieradłem. Kiedy zamknęła drzwi i spojrzała w lustro, jej uśmiech znikł, a okrycie opadło na czarne sześciokątne kafelki. – Niech szlag trafi tę sukę – mruknęła, przeglądając się w lustrze. Myśl o żonie

kochanka sprawiała, że krew się w niej burzyła. Zawsze stała pomiędzy nimi, nawet gdy leżeli nadszy w łóżku. Wciąż miała nad nim władzę, co podsycalo wściekłość Pauli, która obejmowała również Derrecka. – Panie burmistrzu, koniec na dziś. Musisz ustalić priorytety.

Spryskała twarz zimną wodą i napiła się jej z kranu, rozkoszując się chłodzącym, orzeźwiająjącym uczuciem po szampanie. Wystarczająco złe było to, że miała ochotę wrócić do łóżka i kochać się z tym mężczyzną do utraty tchu. A jeszcze gorsze to, że on wciąż kierował się lojalnością wobec żony, choć co najmniej raz w tygodniu wylegiwał się z nią w łóżkach drogich hoteli. *Co za lojalność...* Cóż, był politykiem. Czego się spodziewała?

Większość ludzi – także polityków – można jednak wyszkolić i Derreck Bourke nie był wyjątkiem pomimo charyzmy, niebieskich oczu i powodzenia u kobiet. Można go było nauczyć wierności i lojalności wobec właściwej osoby, nawet jeśli wymagało to kilku smagnień batem.

Wyszła z łazienki z figlarnym błyskiem w oczach, ciągnąc za sobą prześcieradło i kołysząc biodrami. Zastała go w łóżku, z rękami pod głową, czekającego na nią. Udając, że nie widzi jego podniecenia, owinęła się prześcieradłem, usiadła w fotelu przy oknie i patrzyła przed siebie.

– Zamówisz jakieś przekąski? Nie zostanę długo.

Usiadł na brzegu łóżka, wyraźnie rozczarowany, i zadzwonił do recepcji w trybie głośnomówiącym.

– I jeszcze jedną butelkę szampana – poprosiła, gdy połączył się z recepcją. Wysłuchiwała jego szczegółowych życzeń dotyczących szampana.

Rozłączył się z uśmiechem.

– Zadowolona?

Oblizwała wargi.

– Tak.

Rooftop Lounge miał im dostarczyć zestaw najlepszych przekąsek: przegrzebki karmelizowane w maśle i sałatkę z grillowanej ośmiornicy. Derreck gustował w owocach morza, dość nietypowo jak na kandydata na burmistrza miasta leżącego w głębi lądu.

Sięgnął po ubranie, ale powstrzymała go kiwnięciem palca.

– Nie. Jeszcze nie. Chyba że ja też mam się ubrać.

– Zaraz się zjawi obsługa.

Obojętnie wzruszyła ramionami.

– I co z tego? Na pewno widzieli już nagich ludzi.

Zaśmiał się i podszedł do niej. Skierowała wzrok na panoramę miasta.

– Ja też mam problemy w pracy – wyznała szeptem, powoli, czekając na jego zainteresowanie.

– Co się stało? – Usiadł na podłodze u jej stóp, na zmiętym prześcieradle, oparł się o jej nogi, a głowę wsparł na jej kolanach. Nienawidziła go za to. Wszystko wydawało się możliwe, domowe. Jakby naprawdę ją kochał. Jakby nie wracał dziś do żony.

Odepchnęła od siebie myśl o doktor Anne Wiley, wybitnej lekarce, którą niedawno poznała. Samo przebywanie z nią w jednym pomieszczeniu wystarczyło, by Paula poczuła się mała i nic niewarta, brzydka i niewiele znacząca. Ona miała wszystko. Urodę, bogactwo, męża, władzę. *Do diabła z tą suką.*

Zacząła się zastanawiać, dlaczego Anne nie przyjęła nazwiska Bourke po mężu. Prawdopodobnie dlatego, że nazwisko Wiley wciąż się liczyło w medycznych kręgach Chicago, a ona zamierzała w pełni wykorzystywać swoje dziedzictwo.

– Jestem rozdarta – powiedziała w końcu. – Pewien jedenastoletni chłopiec był świadkiem strzelaniny w centrum miasta. Potrzebuję jego zeznań. Ale jego ojciec się nie godzi. – Zamilkła na chwilę i delikatnie pieściła włosy Derrecka. – Wychowuje go samotnie, ma potworne obawy. Rozumiem go.

– Odpuścisz?

– I co? Mam pozwolić, żeby przestępstwo uszło zabójcy płazem? Nie mogę. Niestety. Od zawsze pasjonuje mnie obrona praw nieuprzywilejowanych. Dlatego ta sprawa nie daje mi spokoju.

– Wiem – powiedział Derreck, spoglądając na nią. – Angażujesz się w całe mnóstwo programów pomocy prawnej. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego tak ci leżą na sercu. Chodzi o kwestie osobiste? – Uśmiechnął się jak kot obserwujący sójkę szykującą się do lądowania. – Czy ma to związek z tym, że lubisz taniego szampana?

Cholera... Zadawał zbyt wiele pytań. I za dużo wiedział.

Usłyszeli pośpieszne stukanie do drzwi i męski głos.

– Obsługa hotelowa.

– Cholera – mruknął Derreck, zrywając się na równe nogi i szukając czegoś, czym mógłby się zakryć. Sięgnął po koldrę, ale była zbyt wielka.

Paula się roześmiała, widząc jego zdenerwowanie.

– W łazience.

Zniknął w niej i po chwili wyłonił się owinięty we frotowy szlafrok z wyhaftowanym hotelowym logo. Otworzył drzwi i potwierdził odbiór posiłku.

Do czasu, gdy przyniósł go na biurko, zdążył zapomnieć o swoim niewygodnym pytaniu.

Wzięła przegrzebek, włożyła go sobie do ust i zaczęła powoli przeżuwać, delektując się wyśmienitym smakiem i konsystencją.

– Mam dylemat – kontynuowała wcześniejszy wątek. – Czy powinnam odpuścić, nawet jeśli oznacza to, że morderca wróci na ulice? A może jednak naciskać i zmusić dzieciaka do zeznawania bez względu na konsekwencje? – Poczekała, aż Derreck otworzy nową butelkę i napełni kieliszki. – Co byś zrobił na moim miejscu, burmistrzu? Co leży w interesie obywateli?

Łał szampana powoli, uważając, by go nie porozlewać.

– Prawo jasno rozstrzyga tego rodzaju sytuacje. Świadek musi zeznawać. Możesz go objąć programem ochrony świadków, jeśli obawiasz się o jego bezpieczeństwo. Ponieważ jest nieletni, musi być z nim ojciec. Właściwie nie masz wyboru. Jeśli odmówisz, prokurator stanowy przydzieli sprawę komu innemu.

Nadziała na widelec kawałek ośmiornicy i spróbowała mięsa. Było nad wyraz smaczne, z przepysznyim majonezowym sosem ziołowym i z przyprawami tworzyło symfonię smaku.

– Chyba masz rację. Bez sensu łamać sobie głowę z powodu czegoś, na co nie ma się wpływu. – Rzuciła mu przelotne spojrzenie. – Zastanawiam się, czy Anne zmaga się z tym samym. – Wydawał się zdezorientowany i wyraźnie niezadowolony, że znów wspomniała o jego żonie. – Wiesz, przez tego pacjenta, którego straciła.

TRZYNAŚCIE

SEJF

W domu jest cicho i ciemno. Lubię to, zwłaszcza kiedy czuję awersję do światła i wolę unikać jasności. Dziś tej ciemności pragnę jeszcze bardziej niż zwykle – jakbym chciała, by cienie zaczęły się do mnie zakradać, wylaniały się z pamięci i tkanki czasu w powolnej, przerażającej inwazji. W gabinecie siedziałam przy zasłoniętych żaluzjach, wzbudzając zdziwienie Madison. Teraz, w domu, gdy otacza mnie mrok, wystarczy, bym nie walczyła z szarówką kończącego się dnia.

Jest środa i mama, jak co tydzień, gra w brydża u swojej przyjaciółki. Zamierzała zrezygnować dziś z tej przyjemności i pobyć ze mną, ale zapewniłam ją, że będę pracować do późna.

Niezgodnie z prawdą.

Chciałam mieć dom tylko dla siebie. Derreck zwykle kończy pracę późnym wieczorem, rzadko wraca do domu przed siódmą. Dziś napisał esemes, że czeka go specjalne spotkanie komitetu wyborczego. Takie zebrania trwają zwykle do dziewiątej, a nawet dłużej, jeśli uczestnicy nie mogą dojść do porozumienia i debatują nad każdym punktem porządku obrad. Szczerze mówiąc, nie mogę pojąć, jak on wytrzymuje coś takiego.

Przez chwilę spaceruję bez celu po salonie i zastanawiam się, co zjeść na kolację. Żołądek nie zsynchronizował się z moim ponurym nastrojem i domaga się pożywienia, w końcu przez cały dzień go ignorowałam. Przygotowanie kolacji wymaga jednak wysiłku, którego nie chcę wkładać w coś tak błahego. Jedzenie to paliwo, potrzebuję szybkiego zastrzyku energii, a nie wymyślnych rytuałów.

Kilka słonych krakersów posmarowanych masłem orzechowym schrupanych pomiędzy wyspą kuchenną a lodówką w zupełności mi wystarcza. Nie trzeba wiele, by uczucie głodu zastąpić mdłościami. Zakręcam słoik ze smarowidłem, a moją uwagę zwraca towarzyszący temu głośny dźwięk, który odbija się echem od ścian. Chowam słoik do lodówki i z półki na drzwiach wyciągam otwartą butelkę wina. To Pinot Gris, jedno z moich ulubionych. Może zadziała jak zwykle i uwolni mnie od poczucia ściśniętego gardła. Wlewam pozostały płyn do kieliszka i marszczę brwi, widząc, że wypełnia go tylko w jednej trzeciej.

Pierwszy łyk wydaje się gorzki i zbyt zimny. Mimo to zabieram kieliszek i idę do gabinetu. To mały pokój ze starym orzechowym biurkiem i pasującą do niego biblioteczką, która należała do mojego ojca. Perski dywan w głębokich odcieniach burgunda i czerwieni jest dość wysłużony, a jego frędzle miejscami postrzępione. Wszystko w tym pokoju wybrał on, wszystkiego dotykał. Mój jest jedynie laptop i biały szal na oparciu wykończonego gwoździami tapicerskimi holenderskiego skórzanego fotela z XX wieku.

Przesuwam dłonią po powierzchni biurka, wiedząc, że ojciec dotykał jej wiele razy. Siadał w tym fotelu każdego wieczoru – pracował, analizował dokumentację pacjentów, uczył się i szkolił innych. Jego wciąż silna obecność uczy pokory i rozgrzewa serce. Pot-

wornie żałuję, że nie znalazłam czasu, aby spytać go o wszystko, co chciałam wiedzieć, kiedy był tu jeszcze z nami.

Zawsze nam się zdaje, że mamy czas.

Czasu nie ma nigdy. Każdy dzień życia jest pożyczony pod zastaw nieprzewidzianych okoliczności.

Tak wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Pytań o Melanie. O dzień, w którym przywieźliśmy ją do domu. O to, co zrobiłam w dniu jej śmierci. Wiedziałyby, co powiedzieć. Jego słowa uleczyłyby ranę w moim sercu. Prawdopodobnie wybaczyłyby mi, choć ja sama nie potrafię sobie wybaczyć.

Stawiam kieliszek na parapecie i przez chwilę wyglądam przez okno. Mieszkamy przy ślepej uliczce, wieczorami praktycznie nie ma tu ruchu. W oddali gwarne miasto tętni życiem przez całą dobę, ale stąd, gdzie stoję, widzę tylko zachmurzone czarne niebo odbijające światła śródmieścia, słyszę jedynie sporadyczne odgłosy policyjnej syreny, które wciąż przypominają mi o dreszcz, na tle wyciszonego z powodu odległości szumu mnóstwa samochodów przemieszczających się w oddali.

Mam wrażenie, że ostatni łyk wina smakuje lepiej i lekko mnie rozgrzewa. Odstawiam pusty kieliszek na parapet i podchodzę do regału. Kucam przed nim, obiema dłońmi chwytam dolny rząd książek i przesuwam go na bok, jakbym miała do czynienia z drzwiczkami szafki. To ruchoma osłona mojego sejfu, ukryta za dwoma rzędami książek.

Przez chwilę wpatruję się w sejf i choć doskonale wiem, co się w nim znajduje, chcę go zobaczyć. Kodem jest data pojawienia się Melanie.

Drzwi skrytki się otwierają i pokój wypełnia się lekkim zapachem stęchlizny. Do sejfów czasem dostaje się wilgoć, dlatego wszystkie dokumenty przechowywane przez długi czas należy zabezpieczyć wodoodpornymi kopertami. Jedna z takich przezroczystych hermetycznych kopert znajduje się pod wszystkim innym, co ukryłam w schowku – aktem własności domu i niewielką ilością mojej biżuterii. Ma jasnoniebieski kolor, a jej powierzchnia jest gładka i wilgotna w dotyku. Kilka chwil później leży na biurku, na miejscu odsuniętego na bok laptopa.

Mój umysł zalewają wspomnienia, gdy siadam w starym holenderskim fotelu, który jęczy na znak protestu, przysuwany do biurka. Niebieska koperta wciąż jest zapieczętowana, a ja się waham. W trakcie pierwszego roku rezydentury w Joseph Lister w końcu zebrałam się na odwagę i zaczęłam szukać dokumentacji Melanie. Myśl o tym, by spróbować znaleźć odpowiedzi, zaświtała mi w głowie tego samego dnia, gdy otrzymałam dostęp do szpitalnego systemu komputerowego, ale przez kilka miesięcy coś mnie powstrzymywało. Wiedziałam, że niezależnie od tego, na co natrafie, jej i tak już nie ma i nic nie przywróci jej życia. Miałam wrażenie, że to w pewnym sensie brak szacunku dla tej pamięci, dla mojego ojca pozwolić na to, by zwyciężyła ciekawość a jednak musiałam wiedzieć. Musiałam mieć pewność...

Na temat życia Melanie z czasów, zanim u nas zamieszkała, mogłam tylko spekulować i snuć domysły. Potrzebowałam pewności jak powietrza.

Odczekałam kilka miesięcy – rozdarta pomiędzy pragnieniem a sumieniem – i zaczęłam przeszukiwać zarchiwizowaną dokumentację medyczną, gdy tylko trafiała się okazja dostępu do kom-

putera bez świadków. Znalazłam bardzo niewiele. Głównie dokumentację szczepień na nazwisko Melanie Wiley. Nic więcej. Nie powinno mnie to dziwić, w końcu ojciec był lekarzem i w razie choroby leczył nas w domu.

Jak się nazywała, zanim u nas zamieszkała? Tego się nie dowiedziałam.

Wciąż pamiętam dzień, w którym przywieźliśmy ją do domu. Miała dziewięć lat. Ja czternaście i byłam podekscytowana myślą o siostrze. Rodzice właściwie bez uprzedzenia zabrali mnie do niej pewnego dnia i od razu przywieźliśmy ją do domu. Domyślałam się, że odwiedziliśmy sierociniec, ponieważ oprócz Melanie przebywały tam inne dzieci. Budynek wyglądał na podupadły i śmierdziało w nim stęchlizną. Ogród był nieużytkiem, nierównym i błotnistym, ze śladami trawy tu i ówdzie. Przez wentylator w oknie dolatywał przyprawiający o mdłości zapach makaronu z serem i starego oleju.

Do placówki opiekuńczej trafiła po ucieczce z rodziny zastępczej. Dwukrotnej. Była nieśmiałą dziewczynką z długimi, brązowymi, skołtunionymi włosami, umorusaną twarzą i brudnymi dłońmi. Miała duże oczy, które jakimś sposobem przesywały duszę – od razu wiedziałam, czego chce i czego się obawia. Trochę z nią rozmawiałam i trochę się bawiłam, a rodzice w tym czasie rozmawiali z dorosłymi – jak się domyślam, finalizowali papierkowe sprawy związane z adopcją.

Kiedy szykowaliśmy się do wyjścia, Melanie zaczęła histerycznie płakać, próbując wyrwać się z rąk mojego ojca, błagając, by ją puścił. Chwyciłam ją za drugą rękę, a ona przestała płakać i ścisnęła moje palce z niezwykłą siłą, ale patrzyła na podwórko pełne dzieci, jakby nie chciała opuszczać tego okropnego miejsca. Przez całą

drogę do domu cicho pojękiwała, wciąż mocno ściskając moją dłoń na tylnym siedzeniu samochodu. Od czasu do czasu przecierała oczy ręką spodnicy w groszki, jednej z najbrzydszych, jakie w życiu widziałam. Była poplamiona jedzeniem i zwyczajnie brudna, a biała koszula wcale nie wyglądała na czystsza. Ubranie sprawiało wrażenie, jakby było po kimś – zbyt znoszone, zbyt postrzępione, żeby należało tylko do jednego dziecka. Nie przejęłam się tym jednak; wiedziałam, że rodzice zaopiekują się nią tak, jak troszczyli się o mnie, i zadbają o to, by moja nowa siostra miała wszystko, czego potrzebuje.

Gdy dojechaliśmy do domu, Melanie znów zaczęła szlochać, ponieważ na chwilę wypuściłam jej dłoń, żeby otworzyć drzwiczki samochodu. Złapała mnie obiema rękami za przedramię i błagała, bym z nią została. Zrobiłam to, w bezgranicznej naiwności ciesząc się, że się do mnie przywiązała, nie rozumiejąc, o co tak naprawdę chodzi. Ujęłam jej dłoń w swoją, spojrzałam prosto w wielkie zapłakane oczy i obiecałam, że nigdy, przenigdy jej nie opuszczę. Przysięgłam na swoje życie.

Uwierzyła mi.

Uspokojona, wysiadła ze mną z auta. Jej zniszczona spodnica zaplątała się w klamrę pasa bezpieczeństwa i odsłoniła nogi. Wpatrywałam się w nie, a później spojrzałam na matkę. Jej uśmiech znikł, była biała jak ściana. Ojciec wymruczał pod nosem przekleństwo, co rzadko mu się zdarzało. Mama wyjęła dłoń Melanie z mojej, przykucnęła przy niej i w kilku szczerych słowach powitała ją w rodzinie i w naszym domu. Obiecała, że zawsze będzie bezpieczna i nic złego jej nie spotka. Później zabrała ją do kąpieli.

Z początku myślałam, że jej nogi są brudne, ale później się dowiedziałam, że były mocno posiniaczone. Jakby ktoś pobił ją w miejscach, których nie widać, ukrytych pod ubraniem.

Tego samego dnia pokazaliśmy Melanie jej nowy pokój. Na początku była zachwycona, dotykała wszystkiego – gładkiej pościeli, przyniesionych przeze mnie pluszaków, radosnych zasłon. Zanurzyła twarz w pościeli i wdychała jej zapach, aż w końcu powiedziała, że pachnie księżniczkami z bajek.

Potem się dowiedziała, że będzie spać w tym pokoju sama, i znów zalała się łzami. Wtedy tego nie rozumiałam, teraz już wiem, co było na rzeczy. Instynktownie wyczułam, co robić. Pokazałam jej mój pokój, sąsiadujący z jej sypialnią, i zapytałam, czy chciałaby przez jakiś czas spać ze swoją nową siostrą. Nadal wyglądała na przestraszoną, ale z entuzjazmem się zgodziła.

Tej nocy spałyśmy razem u mnie. Melanie chciała, aby jej piękne nowe łóżko pozostało nietknięte tak długo, jak to możliwe. Pod tym względem była zabawna – zawsze niechętnie dotykała pięknych rzeczy, jakby na nie nie zasługiwała. Jakby jej dotyk mógł je nieodwracalnie zniszczyć lub zdegradować.

Teraz już wiem, że takie oznaki świadczą o tym, że dziecko zaznało poważnej krzywdy.

Zasnęła szybko, wtulona we mnie, a mnie dobiegł płacz matki zza ściany.

Przed tamtą nocą nie słyszałam płaczącej mamy, z wyjątkiem okresu po śmierci babci. Byłam przerażona. Jej stłumiony szloch mieszał się z pełnym napięcia szeptem – dyskutowali z tatą o czymś, co złamało jej serce. Nie kłócili się... ich głosy nie były podniesione

ani gniewne. Działo się jednak coś strasznego, a ja nie wiedziałam co.

W swej młodszej ignorancji bałam się, że mama nie lubi Melanie i że rodzice chcą ją odwieźć do tamtego strasznego miejsca. Zamiast ich o to zapytać, zamknęłam się w sobie i przez pewien czas żyłam w absurdalnym strachu. Patrząc z perspektywy, byłam bardzo naiwna jak na mój nastoletni wiek. Rodzice zrobili wszystko, co w ich mocy, by ochronić mnie przed okropnościami tego świata, ale właśnie dlatego nie byłam przygotowana na to, by zrozumieć, co przeżywa moja nowa siostra.

Teraz już znam okrucieństwa tego świata. Nieco za późno.

Otwieram plastikową kopertę leżącą na biurku, wyciągam cienką teczkę i ją rozkładam. Napis na stronie tytułowej głosi: RAPORT Z AUTOPSJI.

Na pierwszym roku rezydentury przekopałam szpitalne archiwa w poszukiwaniu dokumentacji Melanie, ale nie natrafiłam na nic istotnego. Nie uznałam jednak sprawy za zakończoną. Wtedy oboje już nie żyli – Melanie i ojciec. Nie chciałam otwierać ran mamy, poruszać bolesnych tematów, zadawać pytań. Akta adopcyjne Melanie zostały utajnione: kolejny ślepy zaułek.

Odpowiedzi szukałam więc gdzie indziej.

Przełom nastąpił na drugim roku rezydentury podczas stażu na oddziale chirurgii ogólnej, kiedy na mój stół w izbie przyjęć trafił śledczy z chicagowskiej policji z głęboką raną na ramieniu po trudnym aresztowaniu z udziałem ćpuna wymachującego maczetą. Zszywając jego rękę, zapytałam, czy członkowie rodziny mają dostęp do dokumentacji z sekcji zwłok. Powiedział, że dokumentacja formalnie jest jawna, ale sprawa może się ślimaczyć, jeśli „złożę ofic-

jalny wniosek”. zaproponował, że zadzwoni do lekarza sądowego hrabstwa Cook, a ja bardzo go o to poprosiłam. Zadzwonił ze stołu, gdy opatrywałam jego ranę.

Kilka dni później kurier dostarczył kopię dokumentacji z autopsji Melanie.

Nie mogłam przeczytać jej od razu. Musiałam poczekać, aż będę w domu sama, bo nie chciałam niepokoić mamy. Ręce trzęsły mi się za pierwszym razem tak samo jak teraz, gdy przewracam kolejne kartki. Każde słowo zapisane na tych stronach mam wyryte w pamięci, a jednak czasami zatrzymuję się nad nimi, jakbym odwiedzała grób Melanie, wstrzymując oddech, ze łzami w oczach.

Dawne złamanie żeber. Dawne złamanie spiralne prawego nadgarstka. Widoczne pourazowe kostniejące zapalenie mięśni obu ud – tkanka kostna rozwinięta w tkance miękkiej wskutek powtarzających się urazów. Dawne, zagojone, drobne rany klute na udach i brzuchu. Blizny po dawnych ranach pochwy.

Gęsto zapisana strona jest historią tortur i znęcania się nad niewinną dziewczynką przez człowieka, którego posłałam do kostnicy, Caleba Donaghy’ego.

Wciąż wydaje mi się, że to za mało, za późno. Powinien był cierpieć bardziej.

Łza plami ostatnią stronę raportu z autopsji. Pośpiesznie ją wycieram, choć nie jest to pierwsza kropla, która skapnęła na tę kartkę. Jej treść ledwo można odczytać z powodu wielu łez, które nad nią wylałam.

Nie wiem, ile czasu wpatruję się w te strony, jakby mogły w jakiś sposób zmienić rzeczywistość. Gdy w okno gabinetu świecą światła samochodu mamy, pośpiesznie zamykam raport z autopsji

w plastikowej kopercie, którą chowam w sejfie. Naciskam przycisk i skrytka zamyka się z cichym sygnałem dźwiękowym. Kiedy mama otwiera drzwi pralni i wchodzi do kuchni, przesuвам atrapy książek, aby ukryć schowek, i pędzę ją przywitać.

Od jakiegoś czasu wiem, o czym rozmawiała z tatą tamtej nocy. Cóż, zakładam, że... tak naprawdę nie mam pewności, bo mi nie powiedziała, a ja nigdy nie pytałam. Kiedy ją widzę, przytulam ją mocno i nie chcę wypuścić. Chciałabym móc jej powiedzieć, co zrobiłam.

– Cześć, mamó – szepczę, a wtulając twarz w jej włosy, czuję zapach perfum, który wypełnia mnie ciepłem, miłością i poczuciem przynależności.

Matka w końcu się odsuwa i przygląda mi się uważnie.

– Cześć, córciu, wszystko w porządku?

Milczę, bo nie potrafię odpowiedzieć na proste pytanie.

Melanie miała zaledwie dziewięć lat, kiedy została moją młodszą siostrą.

Pięć lat później odeszła.

CZTERNAŚCIE

PROBLEM

Poranny obchód zaczynam z niespokojnym umysłem. Wczoraj wieczorem zostawiłam kieliszek po winie na parapecie w gabinecie. Nie wiedzieć czemu ten nieistotny fakt nie daje o sobie zapomnieć, jakby miał jakieś znaczenie. Jego uporczywość jest prawdopodobnie reakcją na stres.

Czuję się zmęczona i zestresowana, i rzeczywiście jestem kłębkim nerwów.

W nocy nie mogłam spać – przewracałam się z boku na bok, bo nie byłam w stanie zmrużyć oka do powrotu Derrecka. Zjawił się dobrze po północy. Wszedł do sypialni na palcach, musnął wargami mój policzek i przykrył mnie kołdrą, tak jak przykrywa się dziecko. Uwielbiam, gdy to robi. Czekałam na to, udawałam, że śpię, dopóki nie zaczął się rozbierać. Wtedy się z nim przywitałam i włączyłam lampkę nocną, żeby nie musiał się męczyć w ciemności. Za ten gest dostałam kolejnego buziaka. Mój mąż pachniał niewiarygodnie świeżo po tak długim dniu. Jak on to robi? Kiedyś go zapytam. W jego oddechu było czuć wino, ale to nic dziwnego. Niekończące się spotkania przedwyborcze często oznaczają kolacje i drinki na koszt kandydata.

Powinnam była zapytać go zeszłej nocy. Obudziłam się o czwartej i myśli o tym nie pozwoliły mi już zasnąć. Jestem pewna, że wyjaśnienie jest całkiem banalne – może, na przykład, nosi w teczce dezodorant w sztyfcie i używa go w razie potrzeby. Najbardziej lubi Old Spice’a. I nim właśnie pachniał zeszłej nocy: winem i Old Spice’em. Nie usiłowałam jednak wyrzucić z głowy bezsensownych niepokojów. Lepiej było nie móc zasnąć z powodu obsesji na punkcie dezodorantu Derrecka niż nikczemnego serca Caleba Donaghy’ego.

Minął dokładnie tydzień, odkąd stwierdziłam zgon tego potwora. Dziś, po raz pierwszy od tego czasu, mam do zrealizowania pełny grafik. Obchód jest jednak krótki. Przez jakiś czas obowiązywał mnie skrócony harmonogram pracy, wczoraj wykonałam tylko jeden zabieg – stent wieńcowy u pacjenta doktora Seldona. Dzisiaj czeka mnie wymiana zastawki mitralnej, na którą zarezerwowałam większość czasu. Niewielu pacjentów muszę odwiedzić rano.

U mężczyzny ze stentem wieńcowym zastaję doktora Seldona, słuchającego jego serca przy użyciu cyfrowego stetoskopu i jednocześnie patrzącego na wyświetlacz swojego telefonu, który obrazuje rytm. Staję w progu z lekkim wahaniem, ale po chwili wchodzę.

– Dzień dobry – witam się radośnie. Na dźwięk własnych słów przychodzi mi na myśl powiedzenie: „Udawaj, aż się ziści”. Nie mam pretensji do doktora Seldona o to, że przejął swojego pacjenta po naszej wczorajszej rozmowie. Ja też bym sobie nie ufała.

– A, doktor Wiley. – Seldon wyciąga z uszu słuchawki stetoskopu i składa przewód, by zmieścić się w kieszeni. – Właśnie o pani rozmawialiśmy.

Pacjent uśmiecha się i kiwa głową.

– Odwaliła pani kawał dobrej roboty u tego młodego człowieka. Teraz przeżyje nas oboje. – Seldon w specyficzny, dość przesadny sposób dodaje pacjentom otuchy, jego metoda jednak działa. Nikomu nie szkodzi, a chorzy dzięki niej wierzą, że będą żyć długo i cieszyć się zdrowiem.

Przez kilka minut rozmawiam z pacjentem i słucham bicia jego serca. Mrowienie w klatce piersiowej ustąpiło, oddech się unormował. Podaję mu rękę na pożegnanie i wychodzę, ale nim zdążę dojść do sali pani Heimbach, dogania mnie Seldon.

Odciąga mnie z zatłoczonego korytarza na bok, pod okno. Spuszcza głowę i odzywa się ledwie słyszalnym szeptem.

– Tak między nami, Anne, sam wolę nie pamiętać, ilu pacjentów straciłem. To smutna rzeczywistość nieodłącznie związana z naszym zawodem. Ale nigdy z tego powodu nie wszczęto wobec mnie dochodzenia. Ani wewnętrznego, ani ze strony prokuratury stanowej. Odbyło się tylko zwykłe postępowanie wyjaśniające.

Na dźwięk jego słów krew zastyga mi w żyłach. Nie mogę oddychać i mam wrażenie, że zaraz zemdleję, choć napędzane paniką serce pracuje na pełnych obrotach. Jak wyjaśnić śledztwo w mojej sprawie, skoro innych chirurgów nic podobnego nie spotkało? Oniemiała wpatruję się w Seldona z otwartymi ustami.

– Musisz uzbroić się w cierpliwość, sytuacja się uspokoi. Ale bądź bardzo ostrożna. Nie wiem, o co chodzi, mam jednak wrażenie, że ktoś się na ciebie wziął. – Rozgląda się w lewo i w prawo, jakby chciał się upewnić, że nikt nie słyszy naszej rozmowy. – Ktoś, kto ma władzę i motywację. Wywiążuj się należycie ze swoich obowiązków i nie dawaj ludziom powodów, by dolewali oliwy

do ognia. – Na pokrzepienie ściska moją dłoń. – Jak z tą wczorajszą prośbą dotyczącą zabiegu wszczepienia stentu... – Kiwa głową w kierunku drzwi pacjenta, jakbym nie wiedziała, o czym mówi. – A tak w ogóle, cieszę się, że zmieniłaś zdanie. Teraz potrzebujesz przede wszystkim sukcesów. To cię podbuduje, ożywi. Postarasz się?

Kiwam głową, wciąż oszołomiona, przerażona myślą, że cały szpital mówi o mnie i o śledztwie prokuratury stanowej. O Calebie Donaghy. Myślałam, że o wczorajszej wizycie prokurator stanowej wie tylko mój zespół. Wygląda jednak na to, że się myliłam.

Seldon poklepuje mnie po ramieniu i przygarbiony, nieco krzywym chodem rusza w kierunku sal operacyjnych. Z samego rana ma zabieg, widziałam jego grafik.

Przed wizytą u pani Heimbach potrzebuję kilku minut, aby odzyskać spokój. Spędzam u niej więcej czasu, niż zakładałam. Zabieg ma się odbyć za dwie godziny, a ona do tej pory nie pomyślała o sporządzeniu oświadczenia woli i wszystkie swoje pytania zostawiła dla mnie. Tak się składa, że jestem zdecydowaną zwolenniczką takich oświadczeń. W systemie opieki zdrowotnej działającym dla zysku tylko one dają pacjentowi szansę decydowania o swoim losie, gdy dojdzie do najgorszego.

Na ratunek przychodzi Madison z formularzem do wypełnienia i przy okazji występuje w roli świadka, gdy pani Heimbach go podpisuje, zaledwie kilka minut przed tym, jak zostanie zabrana na ostatnie badania USG i przygotowanie do operacji.

Kiedy wychodzę z jej sali, niemal wpadam na M. Ma na sobie jasnoszary garnitur tak dopasowany w talii, że zastanawiam się, jak się w nim porusza. Jak zwykle jest niesamowicie bezpośrednia i skupiona.

– Jak się pani czuje? Ma pani siłę do powrotu do pracy w pełnym wymiarze? – Prawą dłoń opiera na udzie, a w lewej trzyma niewielki stos kart pacjentów kardiologicznych. Rozpoznaję ich kody kolorystyczne.

– Tak, w stu procentach – zapewniam bez mrugnięcia powieką w nadziei, że moje słowa wkrótce staną się prawdą.

– Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

– Nie – odpowiadam spokojnie. Krótkie odpowiedzi, zgodnie z radą Derrecka.

– W porządku – rzuca i szybkim krokiem rusza w dalszą drogę przez niekończące się zatłoczone korytarze.

Biorę głęboki oddech, gdy znajduje się jakieś pięć metrów ode mnie, choć zdarzało się, że zmieniała zdanie i zawracała z większej odległości.

Czuję ulgę, że nie ma pojęcia, że moim zmarłym pacjentem interesuje się prokuratura. Być może jako jedyna w całym szpitalu – taką myśl podsuwa mi mój sarkastyczny umysł. Prawdopodobnie wie o tym niewiele osób spoza mojego zespołu, nie licząc doktora Seltona. I może tak już zostanie.

Prędzej świnie zaczną latać.

Nie mogę przestać się zastanawiać, dlaczego ta prokurator tak bardzo interesuje się mną i moim pacjentem. Czyżby wiedziała coś, czego nie wiem ja? Powinnam być czegoś świadoma, czymś się martwić?

Jeszcze kilka zakrętów i krótka przejażdżka windą w dół, i znów znajduję się na moim piętrze. Sprawdzam, która godzina, i przyspieszam. Nie mam wiele czasu, zaraz będę musiała zacząć się ubierać do zabiegu.

Madison czeka na mnie przed gabinetem i na mój widok szybkim krokiem rusza w moją stronę. Wygląda na zdezorientowaną, a nawet spanikowaną; ukradkiem zerka na mój pokój z szeroko otwartymi ze strachu oczami i ze zmarszczonym czołem.

– Bardzo mi przykro, Anne, nie było mowy, żeby ją powstrzymać – szepcze, idąc ze mną w kierunku gabinetu.

Chcę zapytać, co ma na myśli, ale widzę szklaną ścianę. Przy moim biurku siedzi wygodnie prokurator z biura prokuratora stanowego i wertuje strony vademecum chirurgii. Pod sześciusetstronicowym tomem dostrzegam czerwoną teczkę z dokumentacją Caleba Donaghy'ego.

Wzdycham. A jeśli ją otworzyła? W tej teczce są wszystkie informacje na jego temat.

Niebywały tupet, nie ma co.

Wpadam do pokoju, a za mną Madison.

– Jakim prawem pani tutaj wtargnęła? – pytam szeptem.

Powoli zamyka książkę i się podnosi, obchodzi biurko i staje zaledwie pół metra przede mną. Ma na sobie czarny garnitur i szpilki, do tego białą jedwabną bluzkę z dużym dekoltem. Pasująca do stroju czarna skórzana aktówka leży otwarta w rogu biurka. Ta kobieta przypomina młodszą, piękniejszą wersję M. Drzę na myśl, że podobieństwo może dotyczyć nie tylko wyglądu.

Na jej wargach pojawia się pogardliwy uśmiech.

– Pani zdaniem ma pani prawo do prywatności? Władze szpitala widocznie uważają inaczej, skoro przydzielono pani gabinet ze szklanymi ścianami.

Rozwścieczona Madison robi krok do przodu, z dłońmi na biodrach.

- Trochę kultury. To nie...

- W porządku - szepczę, przerywając Madison. Ma rację, ale to nieistotne. Derreck twierdzi, że dla wymiaru sprawiedliwości nie ma znaczenia, czy coś jest słuszne. Liczy się tylko to, co mówi prawo, oraz kaliber prawnika, który tym prawem się posługuje. - W czym mogę pani pomóc, pani...? - Udaję, że zapomniałam, z kim mam do czynienia, choć doskonale pamiętam. Jej nazwisko prześladowuje mnie stale, odkąd ją poznałam.

- Fuselier, prokurator śledcza z biura prokuratora stanowego - przedstawia się spokojnie. Jej uśmiech jest teraz krzywy, a rozszerzone źrenice świdrują moje oczy. Widocznie w gabinecie jest zbyt ciemno, a może jej wzrok jest reakcją na coś innego, na przykład na silne emocje. Na pewno nie chodzi o strach... Więc może złość? Źrenice rozszerzają się pod wpływem adrenaliny. Z jakiego powodu?

- Pani Fuselier, racja - mówię uprzejmie, podchodząc do włącznika światła na ścianie, i wciskam go. Niewiele to daje. Fuselier na chwilę odrywa ode mnie wzrok, ale zaraz znów się we mnie wpatruje. Źrenice wciąż ma rozszerzone. Czuję się tak, jakbym patrzyła w oczy groźnego drapieżnika. - W czym mogę pani pomóc?

Jej wargi wykrzywia lekki grymas pogardy.

- Zawsze była pani uprzywilejowana? - Śmieje się cicho pod nosem, gdy słyszy westchnienie Madison. - Z pewnością. Pochodzi pani z bogatej rodziny, ojciec był chirurgiem, niczym się pani nie przejmuję. - Kręci powoli głową, jakby to wszystko było czymś haniebnym lub co najmniej złym. - Nawet pacjentami, prawda?

Nie mogę dociec, co nią kieruje. To oczywiste, że próbuje zarzucić haczyk. Gdyby miała konkretne zarzuty, przedstawiłaby

je wprost. Aresztowałyby mnie i wyprowadziła stąd w kajdankach, a tymczasem tylko mnie prowokuje. *Skoro tak, mogę zagrać w tę grę.*

– Kim był dla pani Caleb Donaghy? – pytam z nieskrywaną ciekawością. Robi krok naprzód. Czuję na twarzy jej oddech. Podnoszę dłonie, nie cofając się o centymetr. – Proszę zachować dystans lub założyć maseczkę. Jesteśmy w szpitalu.

– Pytanie, kim on był dla pani i dlaczego pozwoliła mu pani umrzeć – szepcze, ignorując moją prośbę. – Skupmy się na tym, pani doktor.

– Wzywam ochronę – oznajmia Madison, ale chwytam ją za rękaw, żeby ją powstrzymać.

– Pani Fuselier nie stanowi zagrożenia, Maddie. Jest funkcjonariuszką prawa. Pracownikiem rządowym. – Nie spuszczam wzroku z jej oczu, nie pozwalając sobie na mrugnięcie. – Nie przekroczy granic prawa. Zniszczyłaby sobie karierę.

W jej oczach dostrzegam błysk gniewu. Już wiem, o co jej chodzi. Na czym jej zależy. Na głośnej sprawie, dzięki której awansuje w biurze prokuratora albo Bóg wie gdzie. Zniszczenie „dziewczyny od serca” pewnie idealnie by się do tego nadawało. Sprawa zyskałaby natychmiastowy rozgłos i uwagę mediów. W myślach już widzę nagłówki.

– Pozwoli pani, że podam maseczkę? – mówię.

Madison znika i po chwili przynosi sterylną maskę. Kobieta jej nie przyjmuje. Cofa się o krok, sztyletując mnie spojrzeniem.

Wygrałam pierwszą rundę. Mam nadzieję, że nie będzie mnie to kosztować więcej, niż jestem w stanie zapłacić.

– Dlaczego Caleb Donaghy zmarł? – pyta chłodno. – Na skutek błędu? Każdy je popełnia, wiadomo.

Najwyraźniej uważa mnie za skończoną idiotkę.

– Błąd z pewnością popełniła pani, nękając mój zespół pytaniami.

– Wykonuję swoją pracę. Możliwe, że ta koncepcja jest pani obca. Posadę dostała pani w spadku, prawda? Mówienie o „pójściu w ślady ojca” jest zwyczajnym usprawiedliwieniem drogi na skróty do wykonywania zawodu, do którego nie ma się kwalifikacji. Chyba pani wie, o czym mówię?

Moment, w którym poczułam się urażona, minął już dawno. Teraz po prostu się boję. Skoro ona tu jest i w ten sposób zwraca się do mnie przy świadkach, musi wiedzieć coś, o czym nie mam pojęcia. Musiała się czegoś od kogoś dowiedzieć.

Seldon miał rację. W grę wchodzi kwestie osobiste; to coś więcej niż polowanie na czarownice, to prawie jak egzekucja.

Spoglądam na zegarek i marszczę brwi. Powinnam już iść. Ona na pewno o tym wie.

– Jeśli ma pani konkretne pytania, postaram się na nie odpowiedzieć. Ma pani trzydzieści sekund. Potem mam zabieg. – Przesuwam się i wskazuję drzwi, wypraszając ją z gabinetu.

– Dlaczego pacjent zmarł? Co poszło nie tak? – Jej głos brzmi groźnie.

Madison cofa się o krok i rzuca mi zatroskane spojrzenie.

– Gdy podczas operacji lub bezpośrednio po niej dojdzie do zgonu pacjenta, przeprowadzane jest formalne postępowanie, które ma wykazać, co poszło nie tak i czy śmierci można było zapobiec lub ją przewidzieć – recytuję te same słowa, które powiedziałam jej wczoraj. – Zostanie sporządzony raport. Sugeruję, aby skontaktowała

się pani z działem prawnym szpitala i poprosiła o kopię. – Otwieram jej drzwi. – A teraz proszę wybaczyć, muszę wracać do pracy.

– Nie ujdzie to pani płazem. – Zabiera swoją teczkę z mojego biurka.

– Byłabym wdzięczna, gdyby przestała pani przesłuchiwać członków mojego zespołu, jeśli nie ma przy nich radcy prawnego szpitala. Jestem przekonana, że to wbrew prawu, ale jeśli pani chce, mogę wykonać kilka telefonów i się upewnić.

Druga groźba pomaga.

Fuselier opuszcza mój gabinet bez słowa, na pożegnanie obrzucając mnie jeszcze jednym jadowitym spojrzeniem, po czym znika z pola widzenia.

Madison głośno wzdycha.

– Co za kobieta, nie do wiary! Całe szczęście, mamy ją z głowy.

Patrzę na nią surowo.

– Nie mamy jej z głowy, Maddie. Ona się dopiero rozkręca.

– W czym? Przecież operacja przebiegła, jak należy. Pacjent zmarł, fakt, ale nie zrobiliśmy nic złego. – Wzburzona spaceruje po gabinecie. Zdenerwowanie, jej czy moje, to ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba przed zabiegiem wymiany zastawki. Ja też czuję niepokój, czuję się ścigana, złapana w pułapkę, ale ja lepiej się z tym kryję. Mam nadzieję.

Po długiej, pełnej napięcia chwili podnoszę z biurka słuchawkę stacjonarnego telefonu i dzwonię do M. Odbiera natychmiast.

– Co się dzieje? – rzuca zamiast zwykłego powitania.

Oddycham głęboko.

– Możliwe, że mamy poważny problem.

PIĘTNAŚCIE

ZEZNANIA

Droga do budynku biura prokuratora stanowego hrabstwa Cook była krótka, zbyt krótka, by Paula zdołała opanować wściekłość. Zatrzymała się kilka przecnic przed miejscem docelowym. Potrzebowała jeszcze kilku minut, by odzyskać panowanie nad sobą, które straciła kilka sekund po wyjściu ze szpitala.

Dlaczego niektórym wszystko w życiu przychodziło tak łatwo? Anne Wiley była pewna siebie i niewzruszona, cechowała ją wrodzona odwaga ludzi silnych. Tych wychowanych w porządnym rodzinach, w których nie brakowało miłości, pieniędzy i możliwości. Tacy ludzie nie mieli pojęcia, czym jest strach. Nie wiedzieli, co to walka o przetrwanie, w przeciwieństwie do rodzin ubogich. Nie mieli pojęcia, co to znaczy być całkowicie samotnym, bezbronnym, biednym i zdesperowanym jak ten dzieciak Kestner, o którym rozmawiała ze swoim szefem w zeszłym tygodniu podczas lunchu. Z powodu skradzionego samochodu o mały włos nie skoczył z mostu.

Ludzie pokroju Anne Wiley dzwonili na skargę, gdy nękały ich pytaniami osoby takie jak Paula Fuselier. Była gotowa założyć się o najlepszą kolację, że chwilę po tym, jak opuściła gabinet, arogancka lekarka chwyciła za słuchawkę i zadzwoniła się komuś poskarżyć.

Niech ją jasny szlag. Życie było takie niesprawiedliwe. Anne miała wszystko. Dobrą pracę, świetną reputację i błyszczała na billboardach w całym mieście. A na dodatek miała Derrecka. Mogła wyjść za nadużywającego alkoholu pijaka, ale nie, musiała poślubić inteligentnego, ambitnego prawnika ze świetlaną przyszłością i manierami człowieka wychowanego w Europie przez francuską nianię, a nie w Joliet, po niewłaściwej stronie torów, tuż obok starego więzienia.

Niektórzy po prostu mieli wszystko.

Decydował przypadek. To nie było w porządku.

Myśląc o Anne Wiley, jej wysokiej, szczupłej sylwetce, opanowaniu i pięknej twarzy, Paula miała ochotę coś tłuc albo podrzeć na strzępy. Rozejrzała się po samochodzie, ale nie wypatrzyła niczego, co mogłaby rozerwać. Sfrustrowana, wydała z siebie długie westchnienie okraszone wiązką przekleństw.

Derreck nigdy nie zostawi żony, byłby szaleńcem. Nie miała złudzeń. Wiedziała, że choć złożyła mu wiele obietnic i mogła pchnąć naprzód jego karierę, on się nigdy nie rozwiedzie. Ona zawsze będzie kochanką, tą drugą, która musi radzić sobie sama, jak zawsze, i jest na tym świecie samotna, bez kogoś, kogo mogłaby nazwać swoim i do kogo mogłaby zadzwonić w razie kłopotów.

Nienawidziła Anne Wiley. Przypominała jej o wszystkim, co było nie tak w jej własnym życiu, o tym, jak ciężko musiała pracować, by utrzymać się na studiach prawniczych, o każdym tyłku, który musiała pocałować, i każdej opinii, którą musiała przełknąć, by iść naprzód. Adwokaci pokroju tej zarozumiałej lekarki pokonali ją wiele razy w życiu, w szkole, w biurze prokuratora stanowego, za-

wsze docierali na metę wcześniej, wyprzedzali ją, nawet się na nią nie oglądając, jakby nie istniała.

Słynna doktor Anne Wiley w końcu popełniła błąd. Pacjent zmarł jej na stole. Paula czekała na to od miesięcy. Sezon polowań na uprzywilejowane, bogate suki z dyplomami uczelni medycznych wreszcie mogła uznać za otwarty. Kiedy ją załatwi, będzie jak gorący kartofel i Derreck ją rzuci, ciesząc się, że nie przyjęła jego nazwiska, dzięki czemu rozwód będzie łatwiejszy.

Uruchomiła silnik i zjechała na pobocze, snując absurdalne rozważania o tym, czy Anne jest dobra w łóżku. Może studia medyczne uczą sekretów ludzkiego ciała, na których poznanie w szkole prawniczej nie ma szans? Eee... w łóżku była prawdopodobnie równie zimna jak w pracy. Wyważona, wyrachowana, oficjalna, spokojna. Nie wyglądała na ognistą, lubieżną, gorącą kobietę – taką jak ona.

W pewnym momencie Derreck zda sobie sprawę, że zasługuje na kogoś lepszego niż pani doktor Sopol.

Roześmiała się na tę myśl, podejrzewając, że przezwisko na długo utkwi jej w pamięci, ponieważ wyjątkowo pasowało do Anne Wiley. Szkoda, że nikomu nie mogła o nim wspomnieć.

Wjeżdżając na parking przed budynkiem prokuratury, uśmiechnęła się do siebie, wyobrażając sobie, jak rozbija ciało Anne na drobne kawałki, jakby rzeczywiście było z lodu.

W swoim gabinecie ominęła pudła, które zdążyła ułożyć przy drzwiach, mimo że do przeprowadzki na czwarte piętro pozostało ponad siedem tygodni. Połowa jej rzeczy była spakowana – przedmioty, których nie używała na co dzień, głównie książki prawnicze i akta starych spraw, które trzymała w osobistym archiwum. Pakow-

anie sprawiło, że wszystko nabrało realnych wymiarów. Była gotowa na nową pracę, nowe życie.

Śledczego Adama Costilli nie zastała w gabinecie. Dobrze wiedziała, gdzie go szukać. Należał do stałych bywalców stołówki, kiedy nie pracował w terenie lub nie pisał raportu, a widziała na parkingu jego samochód.

Siedział w kafejce na dole przy swoim ulubionym stoliku i dmuchał w wysoki kubek świeżej kawy.

Wysunęła krzesło i zajęła miejsce naprzeciwko niego przy małym melaminowym stoliku, lekko marszcząc brwi.

– Adam – odezwała się, spoglądając na niego z troską. Miał nadwagę i na ogół oddychał z trudem. Jego skórę pokrywały ciemnoczerwone plamy, które prawdopodobnie były oznaką wysokiego ciśnienia, a mimo to żłopał kawę, jakby miał przed sobą ostatni dzień życia. Jeśli nic nie zmieni, wkrótce rzeczywiście przeniesie się na tamten świat. – Chyba mi nie powiesz, że to twoja pierwsza dzisiaj?

Roześmiał się serdecznie, a jego obwisłe policzki zafalowały jak u buldoga.

– Piąta, szefowo. Zarzucasz mnie robotą, muszę się wspomagać.

Chciała powiedzieć, że powinien zwolnić, ale wiedziała, że to strata czasu.

– Mam dla ciebie sprawę – oznajmiła.

Wyciągnął z kieszeni mały notatnik podobny do tych, jakich używają policjanci. Pstryknął długopisem i czekał w gotowości.

– Dawaj.

– W Szpitalu Uniwersyteckim Josepha Listera na kardiochirurgii pracuje doktor Anne Wiley.

– Kojarzę ją – oznajmił radośnie. – To ta superseksi blondyna z billboardów z sercem, zgadza się?

Paula zamknęła na chwilę oczy, by ukryć płonący w nich gniew.

– Tak. Chcę, żebyś ją sprawdził. Najdokładniej, jak się da. Pozwy o nadużycia, skargi, zmarli pacjenci, informacje osobiste, wszystko. Zajrzyj w każdy zakamarek, że tak powiem.

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

– Co jest grane?

– W zeszłym tygodniu w podejrzanych okolicznościach zmarł jej pacjent.

– Która komenda się tym zajmuje? Streeterville?

– My się tym zajmujemy. Jakiś problem?

Przyłożył dwa palce do skroni, udając salut wojskowy, i się uśmiechnął. Zęby miał przebarwione od tytoniu.

– Nie, proszę pani, robię, co mi każą.

– Mądrze – skwitowała Paula, odsuwając się od stołu przy wtórze metalu zgrzytającego o beton. – Dzięki... i wyluzuj z tą kawą, Adam. Istnieje pojęcie umiaru. Wyszukaj, co znaczy. Może uratować ci życie.

Przewrócił oczami z jękiem.

– Nie zamierzam żyć wiecznie. – Szybko wypił łyk kawy, jakby Paula chciała wyrwać mu kubek z rąk. – Nie idź jeszcze. Przyszedł do ciebie Moses Degnan. Przyprowadził syna. Posadziłem ich w salce konferencyjnej na drugim piętrze.

– Szlag – mruknęła.

– Podjęłaś już decyzję? To jeszcze dzieciak, Paula.

Pokręciła powoli głową, wciąż się zastanawiając. Nie mogła sobie pozwolić na to, by postawić na złego konia. Najlepiej byłoby uzyskać wskazówki z góry.

– Jest Hobbs?

– Mhm. U siebie. Właśnie wyszedł z narady ważniaków. Podobno jest w kiepskim humorze.

Świetnie. Właśnie tego potrzebowała.

– Dobra – powiedziała. – Zobaczę, może mi coś doradzi.

Jej wątpliwości dotyczyły Simona Degnana, jedenastolatka, który był świadkiem strzelaniny na osiedlu mieszkań socjalnych. Jego sąsiad Vicente Espinoza w pijackim szale zastrzelił swoją ciężarną żonę, oskarżając ją o zdradę tak głośno, że obelgi i groźby słyszała cała okolica. Simon widział strzelaninę z odległości zaledwie kilku metrów, ze swojego balkonu. Zadzwoił na policję i czekał na dole, aby opowiedzieć, co zobaczył. Ojciec chłopca, Moses, owdowiały pracownik młyna, nie wyraził później zgody na to, by syn złożył zeznania, uzasadniając odmowę obawami o bezpieczeństwo dziecka.

Mogła zmusić chłopaka do zeznawania, by bez trudu wygrać sprawę. Mogła też odpuścić i dowody oskarżenia ograniczyć do wyników badań kryminalistycznych oraz wcześniejszych zeznań zabójcy.

Decyzja nie była łatwa. Degnanowie, w przeciwieństwie do ludzi pokroju Anne Wiley, nie mieli kogo prosić o ratunek. Nikogo poza Paulą nie obchodziło, czy jedenastoletni czarnoskóry dzieciak z ubogiej dzielnicy nie zostanie pewnego dnia znaleziony martwy w jakimś zaułku. Jej zależało na tym chłopcu.

Pytanie, czy zależało bardziej niż na karierze? Czy mogła postawić na jedno, nie ryzykując drugiego?

Wjechała windą na czwarte piętro i szybkim krokiem skierowała się do Mitchella Hobbsa. Asystentka kazała jej poczekać kilka minut, aż szef skończy rozmowę, po czym wpuściła ją do środka.

– A, moja ulubiona pani prokurator – przywitał ją Hobbs, rozpięrając się wygodnie w fotelu z dłońmi splecionymi za głową. Był bez marynarki, z poluzowanym krawatem. Miał na sobie białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokcia.

Jego poza skojarzyła jej się z Derreckiem i jego ulubioną pozycją w łóżku. Na ułamek sekundy zobaczyła siebie siedzącą na swoim szefie. *Fuj.*

Z uśmiechem odpędziła tę nieprzyjemną myśl.

– Potrzebuję rady w sprawie Espinozy. Ten jedenastoletni świadek... Chyba nie jest niezbędny, żebyśmy wygrali, jak pan uważa?

– Ma pani wątpliwości? – Hobbs przyglądał jej się uważnie, mrużąc oczy.

– Wątpliwości? Nie. – Przeszła z nogi na nogę, nieco zdziwiona tym, że nie zaproponował jej, by usiadła. – Obawiam się o życie małego. Wiele osób widziało, jak rozmawiał z policją. Jestem pewna, że Espinoza zdążył się o tym dowiedzieć.

– Wie pani, kim jest Espinoza, prawda? – Zadawał jej pytania, jakby była stojącą przy tablicy trzecioklasistką, która nie odrobiła pracy domowej.

– Chcieliśmy go dopaść w zeszłym roku za zabójstwo Kravitz, starszego mężczyzny, któremu strzelono w głowę podczas napadu.

Ten sam budynek, inna klatka schodowa. Ale nie mieliśmy wystarczających dowodów, żeby wnieść oskarżenie.

Hobbs nadal siedział z dłońmi splecionymi za głową. Rozparł się w skórzanym fotelu, który pod jego ciężarem przechylił się do tyłu.

– Jaką ma pani pewność wygranej bez zeznań Degnana?

Przygryzła wargę. Wiedziała, do czego zmierza Hobbs, ale musiała być szczerą i ostrożną.

– Moim zdaniem jest dziewięćdziesiąt procent szans na uzyskanie wyroku skazującego.

Hobbs wstał z fotela i podszedł do okna.

– Dziewięćdziesiąt to nie sto, zgadza się? – Nie patrzył już na nią.

– Stuprocentowej pewności nie ma. W przypadku poszlak istnieje ryzyko, że ława przysięgłych nie wykaże zainteresowania lub nie będzie w stanie zrobić z nich użytku.

– Wie pani, kto pracuje na tym piętrze?

Z grymasem na twarzy czekała na jego dalsze słowa. Milczał. Więc nie było to pytanie retoryczne.

– Najlepsi z biura?

– Nie. Jeszcze jedna próba?

Zarumieniła się.

– Zrezygnuję. Wolę skorzystać z lekcji.

– Każdego na tym piętrze interesuje wyłącznie sto procent. Każdy robi wszystko, żeby mieć maksymalny wskaźnik skazań. Nie wahamy się, nie idziemy do sądu nieprzygotowani, nie odmawiamy zdrowasiek. Wykonujemy swoją pracę. A jeśli mamy uzasadnione obawy o bezpieczeństwo świadków, uruchamiamy program ochrony

świadków. Ale wygrywamy zawsze. – Odwrócił się i spojrzał na nią zimnym, zdeterminowanym wzrokiem. – Wszystko jasne?

– Jak słońce. – Zrobiła dwa kroki do tyłu, szykując się do wyjścia. Jego spojrzenie nieco złagodniało.

– Niech za pieniądze podatników przeprowadzą się do Wyoming. – Lekceważąco machnął ręką. – Przecież nie trzyma ich tu nic, czego nie mogliby zostawić? Robotę w fast foodzie znajdzie się wszędzie.

Musiała zagryźć zęby, żeby zachować swoje myśli dla siebie. Pogardliwy ton szefa bardzo ją zdenerwował.

– Tak jest.

– No to do dzieła.

Spotkanie dobiegło końca. Z gabinetu Hobbsa poszła prosto do sali konferencyjnej na drugim piętrze z postanowieniem, że nie dopuści do tego, by ta sprawa zrujnowała jej przyszłość. Hobbs miał rację, choć trudno było mu ją przyznać. Degnanowie niewiele mieliby do stracenia, gdyby musieli się przeprowadzić.

Kiedy weszła do sali, Moses Degnan zerwał się z krzesła.

– Nareszcie. – Stał za krzesłem syna i położył dłonie na jego ramionach w obronnym geście. – Ja pracuję – dodał wzburzony. – Czas to pieniądz.

– Rozumiem, przepraszam. Cały rano spędziłam w sądzie. – Przysunęła sobie krzesło, usiadła i założyła nogę na nogę. Nieruchome powietrze cuchnęło potem i zjełczalym olejem z fast foodów. Na stole leżały opakowania po posiłku. Widocznie ktoś przyniósł im obiad, gdy czekali. – Chce mi pan coś powiedzieć?

– Tak. – Zagryzł na chwilę wargi, jakby chciał powstrzymać słowa, które cisnęły mu się na usta. – Nie pozwolę mojemu synowi

zeczować i zdania nie zmienię.

– Obawiam się, że będzie pan musiał. – Westchnęła, marszcząc brwi. Wolałaby nie podchodzić do sprawy tak kategorycznie, ale Hobbs nie pozostawił jej wyboru. – Prokurator stanowy hrabstwa Cook postanowił wezwać pańskiego syna na świadka. Jeśli uznamy, że istnieje zagrożenie dla jego życia, obejmemy was programem ochrony świadków.

– I każecie mi rzucić pracę? – Wzburzony zaczął spacerować pomiędzy stołem a ścianą. – Pogięło was? Nie ma pani pojęcia, jak ciężko było o taką robotę. Co niby miałbym zrobić? Znow tyrać za osiem doliców za godzinę i umierać z głodu?

– Bardzo mi przykro, panie Degan. Nie mam na to wpływu. – Każde słowo wypowiedziała szczerze.

Przestał się przechadzać i wpatrywał się w Paulę, przyciskając do stołu pięści z pobielającymi knykciami.

– Załatwiłem prawnika, uprzedził, że tak będzie. Powiedział, że wam, prokuratorom, w głowie tylko pakowanie ludzi do pudła. I że możemy wnioskować o przesłuchanie w sprawie zdolności procesowej. Niech sędzia zdecyduje, czy mój syn powinien zeczować. To jeszcze dzieciak. Może nie wiedzieć, co mówi. – Uderzył pięściami w stół. – Od teraz proszę rozmawiać z moim prawnikiem, jasne?

– W porządku.

Pchnął wizytówkę adwokata na drugą stronę stołu.

– Proszę. I przysięgam, że jeżeli małemu coś się stanie, dopadnę panią, bo nie będę miał nic do stracenia.

SZESNAŚCIE

ARTYKUŁ

Siedzę przy stole, śmiertelnie zmęczona i zadowolona, że tym razem nie muszę nic robić. Mama nakrywa do stołu, a Derreck odkorkowuje butelkę czerwonego bordeaux. Przez chwilę się cieszę, że jest w domu na kolacji – ostatnio rzadko się to zdarza. Dobrze jest mieć go przy sobie.

Moje myśli przenoszą się gdzie indziej, nagle znajduję się kilka kilometrów dalej i odtwarzam wydarzenia minionego dnia, przepracowując traumę paru niełatwych godzin. Po wizycie Pauli Fuselier byłam kłębkiem nerwów. Operacja pani Heimbach przebiegła pomyślnie, ale cały czas lekko drżały mi dłonie i ledwo nam nimi panowałam. Myślałam tylko o jednym: *Co będzie, jeśli ona też umrze? Jeśli stracę kolejnego pacjenta na stole, zaledwie kilka dni po Calebie Donaghym?* Prokurator stanowa na pewno tylko czyha, czai się jak gotowy do ataku drapieżnik.

Na szczęście pani Heimbach przeżyła. Wymiana zastawki zakończyła się sukcesem.

Przez Paulę Fuselier staję się psychicznym wrakiem.

Zastanawiam się, skąd wie o Calebie Donaghym. Przecież szpitale nie publikują list z nazwiskami osób, które nie przeżyły pobytu

w placówce. Przepisy dotyczące ochrony prywatności uniemożliwiają ujawnianie jakichkolwiek informacji na temat pacjentów.

Caleb Donaghy nie miał rodziny. Kiedy już wiem, kim był, wcale mnie to nie dziwi. Nie mógłby robić tych okropnych rzeczy, które zrobił Melanie i z pewnością wielu innym dziewczynkom, przy żonie i dzieciach oglądających telewizję w drugim pokoju. A może by mógł? Nic mnie już nie zdziwi.

Przed wyjściem sprawdziłam w szpitalnym systemie – nie było żadnych zarejestrowanych połączeń w jego sprawie. Z tego, co wiem, jego ciało nadal znajduje się w kostnicy. To może oznaczać tylko jedno: żaden członek rodziny ani nikt bliski nie złożył skargi w związku z jego śmiercią, a także nie zwrócił się do prokuratora stanowego o przyjrzenie się sprawie.

Skąd więc ta prokurator o tym wie i dlaczego zajmuje się moim pacjentem?

Przypominam sobie pełne jadu słowa, które rzuciła mi w twarz, i znów zaczynam się trząść ze złości. Nie jestem uprzywilejowana. Nigdy nie byłam. Przez całe życie ciężko pracowałam, by dojść tu, gdzie jestem. Fakt, trafili mi się dobrzy rodzice i zawsze będę im wdzięczna. Wiem, że inni nie mają tyle szczęścia. Ta kobieta nie musi mi o tym przypominać, wystarczy, że znałam Melanie.

Szczerze mówiąc, nie pamiętam ani jednej sytuacji, w której czułam się lub zachowywałam jak osoba uprzywilejowana. Może się mylę... ale nie mogę się pogodzić z oskarżeniami. Owszem, ojciec nauczył mnie zszywać indyczą skórę i włożył w małą dłoń pierwszy igłotrzymacz, i dzięki temu miałam odwagę. Zawsze byłam mu za to wdzięczna i spłacałam swój dług. Poszłam w ślady ojca, ale nie w takim sensie, jaki miała na myśli prokurator. Nadzorowałam staż

rezydentów, byłam wolontariuszką i co tydzień przepracowywałam godziny w bezpłatnych klinikach. Nie spieszyło mi się do domu, żeby imprezować czy zrobić sobie fryzurę. I nigdy, przenigdy nie zajmowałam niezасłużenie stanowiska ani nie zyskałam nic, czego nie zdobyłam ciężką pracą. Na litość boską... Ojciec zmarł, kiedy studiowałam, więc to nie było tak, że całymi dniami wydzwaniał po szpitalach, prosząc o przysługi znajomych profesorów, żeby załatwić mi wymarzoną pracę.

Problem z tym, co powiedziała Paula Fuselier, polega na tym, że ludzie jej uwierzą. Nawet ja jej uwierzyłam i dlatego teraz cierpię, wciąż kłócąc się z nią w myślach. Pod wpływem przepelnionych nienawiścią słów, które do mnie skierowała, poczułam, że muszę się bronić, a to niewybaczalne. Nie powinnam w siebie wątpić tylko dlatego, że ktoś zakwestionował moją uczciwość. Nie mogę uwierzyć, że jestem taką idiotką.

Może to jej strategia? Sprawić, że zwątpię w siebie i zrobię coś głupiego, co potwierdzi jej podejrzenia i przesądzi o moim losie? Ale dlaczego miałyby...

– Chcesz wina? – Głos Derrecka przywołuje mnie do rzeczywistości. Szyjka butelki wisi nad moim kieliszkiem. Kiwam głową, uśmiechając się lekko.

Derreck i mama nakrywają do stołu, mama nakłada na talerze lazanie z grubą warstwą roztopionego sera. Jeden kęs ma pewnie tysiąc kalorii, ale na jej widok cieknie mi ślinka, robię się głodna.

– Wegetariańska – wyjaśnia pośpiesznie mama. – To zmodyfikowany przepis na makaron primavera, dodałam ser i zapiekłam. – Patrzy na talerze z radością w oczach, zadowolona z rezultatu.

Mięsa nie podaje od zeszłego tygodnia, odkąd wieczorem po operacji Caleba Donaghy'ego nie tknęłam kurczaka.

Biorę do ust niewielki kęs lazanii i powoli go przeżuвам. Jest pyszna.

– Znakomita, mamó. – Uśmiecha się zachwycona. – Nie mam nic przeciwko mięsu – dodaję, nadziejąc na widelec kolejny kawałek.

Śmieje się.

– Wiem, skarbie. Twój ojciec też tak miał. Czasami po ciężkim dniu na chirurgii nie mógł znieść widoku mięsa na talerzu. – Wypija łyk wina i wyciera usta serwetką. – Wiesz, co zrobił? Zmienił w łazience płytki na granatowe. Nie mógł znieść widoku białych. Kojarzyły mu się z krwią.

Patrzę na nią, lekko marszcząc brwi.

– W tamtych czasach sale operacyjne były wyłożone białymi kafelkami, a na podłodze często lądowały zakrwawione tampony.

Derreck parska śmiechem.

– Nie mogę uwierzyć, że przywykłem do takich rozmów przy stole. Każdy znany mi prawnik odsunąłby talerz i poprosił o kieliszek czegoś mocnego.

Podchodzę do niego i ściskam go za rękę. Tak miło słyszeć jego śmiech. Przez ostatni tydzień dom spowijała cisza. Patrzę na przystojną twarz męża i ledwie wierzę w to, jak mi się poszczęściło – w życiu, w rodzinie, w zawodzie.

Mogę to wszystko stracić w mgnieniu oka. Pograżam się w ciemności, jakbym znalazła się we wnętrzu chmury burzowej.

Nie jest powiedziane, że nie wyjdzie na jaw, kim był Caleb Donaghy i co zrobiłam. Zebranie w sprawie przanalizowania przypadku jeszcze się nie odbyło, zaplanowano je dopiero na przyszły tydzień

i wtedy może się zdarzyć wszystko, zwłaszcza jeżeli będzie zeznawał doktor Bolger, a swoją wersję przedstawi na pewno. A jeśli nie wrócę do domu po tym zebraniu? Jeśli dziś wieczorem po raz ostatni siedzimy razem przy stole? Skąd ludzie wiedzą, kiedy jest ostatni raz? Ostatni raz, kiedy się kochają? Ostatni raz, kiedy wychodzą z domu czy rozmawiają z ukochaną osobą przez telefon?

– Co się stało, córciu? – Mama ściska moją dłoń.

Kręcę głową i uświadamiam sobie, że po mojej twarzy płyną łzy.

– Nic, miałam po prostu ciężki dzień, to wszystko. – Wzdycham i wycieram oczy serwetką. Mama i Derreck przyglądają mi się uważnie, zmartwieni, czekając na wyjaśnienia. – Trwa dochodzenie w sprawie śmierci mojego pacjenta z zeszłego tygodnia.

Mama wzdycha i zakrywa usta dłonią. Wzdryga się lekko. Nienawidzę siebie za to, że przyprawiam ją o niepokój.

– Nie miałam pojęcia, że już się zaczęło – szepcze.

– Jakie dochodzenie? – pyta Derreck rzeczowym tonem. – O czym ty mówisz? Zostałaś pozwana?

– Nie. – Odwracam się do niego. – On nie miał rodziny. Nie zostanę pozwana. Sprawę bada prokurator stanowa.

Nigdy nie widziałam Derrecka tak wściekłego. Jego źrenice rozszerzają się, marszczy brwi i zaciska szczękę.

– Jak się nazywa? – pyta spokojnie, ale ten jego spokój jest udawany.

– Paula Fuselier. Znasz ją?

Z trudem przełyka ślinę.

– Tak, słyszałem o niej. W biurze prokuratora pracuje niewielu ludzi. – Zgrzyta zębami. Ponownie dotykam jego przedramienia, próbując go uspokoić. Nie odsuwa się, ale pod wpływem mojego

dotyku tężeje jeszcze bardziej. – Wszystko przez to, że startuję na burmistrza, mnóstwo kłopotów z tego wynika.

Na to nie wpadłam. Teraz rozumiem. To z całą pewnością by wyjaśniało, dlaczego ktoś się na mnie uwziął.

– Myślisz, że to sprawka Boyda Lamperta? – Patrzą na niego, unosząc brwi. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby urzędujący burmistrz Chicago spiskował w celu zszargania mojej reputacji po to, by nazwisko Derrecka znikło z karty do głosowania.

Derreck trzyma kieliszek, ale nie podnosi go ze stołu. Obraca go w miejscu, raz za razem, obsesyjnie.

– Nie wiem. Możliwe. Często się sprzeczamy.

– Jejku – wzdycha mama. Odsuwa talerz i składa ręce na kolanach. – Coś okropnego.

– Wiesz, kogo jeszcze znam? – pyta Derreck z dziwnym błyskiem w oczach. – Mitchella Hobbsa, prokuratora stanowego hrabstwa Cook. Jest przełożonym tej kobiety. Zadzwoń do niego.

– Nie, nie rób tego. – Chwytam go za rękę obiema dłońmi. – Tylko pogorszysz sprawę. Szpital został w to wciągnięty, wyznaczili adwokata. Już i tak jest zamieszanie, a jeśli w dodatku ty zainterweniujesz...

– Nie do wiary – mruczy, odsuwając się, i przeczesuje dłonią włosy w geście zupełnej desperacji. – Coś niebywałego.

– Proszę cię, nigdzie nie dzwoń – nalegam. – Obiecuj. – Wpatruję się w niego, aż spuszcza wzrok.

– Dobrze, Anne, obiecuję. Na razie dam spokój. – Opróżnia kieliszek dwoma łapczywymi łykami, sięga po butelkę i dolewa sobie wina. – Ale uważaj na siebie. Z nikim nie rozmawiaj. Nie bój się poprosić o przydzielenie adwokata.

Patrzę na niego uważnie, z potakiwaniem przyjmując wszystkie wskazówki.

– Ale wiesz, ten pacjent był...

Kładzie palec na moich wargach, nakazując milczenie.

– To zwykły pacjent, Anne. Facet potrzebował operacji serca i niestety zmarł w trakcie zabiegu. – Patrzy na mnie, a ja w końcu ponownie kiwam głową. – Dobrze. – Wypuszcza powietrze z płuc z bolesnym westchnieniem.

– To był rutynowy zabieg, ale się nie udał. Niestety, nie mamy na podorędziu zapasowych serc, na wypadek gdyby czyjeś odmówiło podjęcia pracy po operacji tętniaka. – Oddycham z trudem, usiłując spojrzeć na wszystko racjonalnie. – Przypadki zgonu pacjenta i przebieg operacji bada komisja. Dyrektorka szpitala przyspieszyła datę przesłuchania, żeby mieć raport na wypadek, gdyby prokuratorzy chcieli dociekać. To by się mogło bardzo źle skończyć. Mogliby stwierdzić...

– To zwykła nagonka, nic więcej. Przetrywamy ją. – Derreck chwyta moją dłoń i unosi ją do ust. – Tak mi przykro, że stałaś się celem ataku, Anne. To takie niesprawiedliwe. Polityka to brudna, bezwzględna gra. – Milknie na chwilę i rzuca spojrzenie mojej matce. – Chyba że chcecie, żebym zrezygnował z wyścigu o fotel burmistrza.

W kąciaku oka czuję kolejną łzę. Nie mogę go o to prosić. To jedyna wielka rzecz, jakiej pragnął. Wytrzymam ten dość nerwowy okres do listopada, jeśli będzie trzeba. To, co zrobiłam na sali operacyjnej, i powody, jakie mną kierowały, są faktem, ale w tej całej sytuacji czuję się jakoś inaczej.

– Nie, kochanie, wykluczone.

- Nie ma mowy - odpowiada mama prawie równocześnie ze mną. - Traktuję cię jak syna i jestem z ciebie dumna. Kobiety z rodziny Wileyów są silne, ale chyba nie muszę ci o tym przypominać. - Śmiejąc się, odwraca wzrok. - Możesz liczyć na te odważne, nieustraszone kobiety.

- Nie pozwól draniom wygrać - szepczę przez łyżę, myśląc o Pauli Fuselier siedzącej przy moim biurku. - Daj im popalić. Od listopada będziesz świetnym burmistrzem.

Derreck z uśmiechem podnosi kieliszek. Jego wściekłość prawie zupełnie wyparowała. Znowu jest charyzmatycznym, optymistycznie nastawionym mężczyzną, którego bardzo Kocham.

- Za przyszłość, moje piękne panie - wznosi toast.

My również podnosimy kieliszki.

Następuje chwila ciszy, bo każde z nas najwyraźniej pogrąża się w rozmyślaniach.

Mama wierci się na krześle, aż w końcu wstaje, rzucając serwetkę na stół.

- Chyba pora powiedzieć, co widziałam w dzisiejszej popołudniowej gazecie - mówi roztrzęsionym głosem.

Mój żołądek przeszywa ostre ukłucie niepokoju - fizyczny objaw uwalnianych do krwiobiegu hormonów stresu. Patrząc, jak powoli podchodzi do swojej torebki i wraca ze złożoną gazetą, którą kładzie na środku stołu między nami.

- To. - Czubkiem palca wskazuje krótki artykuł. - Nie marnują czasu, trzeba przyznać.

Derreck uprzedza mnie i podnosi gazetę.

- Co to jest? „Śledztwo w sprawie podejrzanej śmierci pacjenta kardiochirurgii” - czyta, a jego głos z każdym słowem staje się cich-

szy, coraz bardziej przerażony. – Tak brzmi tytuł. – Obserwuję jego oczy poruszające się szybko, gdy czyta, mamrocząc do siebie. – To szaleństwo. – Wypuszcza gazetę, gdy po nią sięgam.

Czytam z zapartym tchem od pierwszego słowa, które tańczy mi przed oczami. Bezwzględny artykuł mówi o „cudownej dziewczynie” z oddziału kardiochirurgii Szpitala Uniwersyteckiego Josepha Listera, która straciła swojego pierwszego pacjenta w podejrzanych okolicznościach, i o tym, że sprawa śmierci mężczyzny zostanie zbadana. Nie ma w nim mowy o tym, że Derreck kandyduje na burmistrza, co wydaje mi się dziwne, skoro to on jest celem nagonki. Pod koniec autor artykułu powołuje się na źródła powiązane z biurem prokuratora stanowego.

Paula Fuselier.

Gem, set i mecz. Zniszczyła mnie.

SIEDEMNAŚCIE

BAT

To było niepodobne do Derrecka, że chciał się z nią spotkać wcześniej rano, w dodatku w miejscu publicznym. W jego wiadomościach pobrzmiwał rozkazujący ton, nie zawierały jednak wyjaśnienia, skąd ta nagła prośba, ale ona go nie potrzebowała. Spodziewała się czegoś takiego od chwili, gdy Anne Wiley wróciła do domu i wyplakała się mężowi w rękaw z powodu dochodzenia prokurator stanowej. Cała ta sytuacja była jak tykająca bomba, która właśnie wybuchła. Teraz mogła jedynie liczyć na zmaksymalizowanie szkód.

Kilka minut po siódmej parking Starbucksa był prawie pusty, za to kolejka do okienka dla kierowców okalała cały budynek. Na szczęście dla niej; nie chciała świadków rozmowy, która mogła się przerodzić w awanturę. Przyjdzie czas na to, by znaleźć się w centrum uwagi, ale jeszcze nie teraz.

Auto Derrecka stało tuż przy wjeździe. Swoje zatrzymała dwa miejsca dalej i szybkim krokiem weszła do kawiarni. Była niemal pusta, ale bariści uwijali się jak w ukropie, obsługując klientów z samochodów. Unosił się w niej zapach świeżo zmielonych ziaren kawy, karmelu i ciepłych cynamonowych bułeczek.

Rozejrzała się po sklepie i zobaczyła Derrecka siedzącego przy stoliku z tyłu z wysokim kubkiem kawy przed sobą. Uśmiechając się, jakby nigdy nic, szła w jego stronę, stukając ośmiocentymetrowymi obcasami i lekko kołysząc biodrami. Kiedy dotarła do stolika, położyła teczkę na jednym z pustych krzeseł.

– Dzień dobry – rzuciła, rozwiązując jedwabną białą apaszkę, którą miała na szyi, po czym powiesiła ją na oparciu krzesła. – Pójdę po...

– Siadaj, kurwa, i milcz. – Dłoń Derrecka bezlitośnie chwyciła ją za nadgarstek. Szarpnął ją tak mocno, że na krzesło właściwie upadła, zamiast usiąść. – W co ty grasz, Paula?

Był wściekły, tak jak się spodziewała. Wciąż się uśmiechając, spojrzała na niego, jakby nic się nie stało.

– Tak się nie traktuje damy, burmistrzu. Puść mnie i bądź łaskawy zaczekać, aż przyniosę sobie kawę.

Uwolnił jej nadgarstek, chwycił swój kubek i postawił go przed nią z takim impetem, że kilka kropel wydostało się przez pokrywkę i wylądowało na jej niebieskiej marynarce.

– No, no – skwitowała, wciąż się uśmiechając. – Wyśle ci rachunek z pralni. – Wzięła kubek do ręki i wypila mały łyk. Kawa była gorąca i czarna. Bez mleka.

Zaczęła podnosić się z krzesła, ale on ponownie złapał ją za rękę i pociągnął w dół.

– Siadaj. Nigdzie nie pójdziesz, dopóki mi nie powiesz, co knujesz.

Nie podobał jej się błysk w jego oczach. Być może posunęła się za daleko. Jej uśmiech przygasł, ale zachowała zimną krew i pchnęła kubek z kawą w jego stronę.

– Ta mi nie smakuje. Chcę inną.

– A to pech – syknął. – Dlaczego nękasz Anne z powodu śmierci tego pacjenta?

Bardzo bezpośredni był pan burmistrz. Lubiała to w łóżku, ale niezbyt o siódmej rano w kawiarni, w której lada chwila miał się zrobić tłok.

– Może raczej powinnam jej opowiedzieć o mnie i o tobie? Co ty na to? Mam zrezygnować z prowadzenia śledztwa z powodów, powiedzmy, osobistych? Powiedzieć jej, że spotykamy się od kilku miesięcy?

– Nie mówisz poważnie. – Kilka razy przeczesał dłońmi włosy, jakby opadały mu na czoło. Były na to za krótkie, ale gest działał uspokajająco. – Dlaczego wszystko niszczysz?

Uśmiechnęła się promiennie. Wabik, którego użyła, nadal działał. Może jednak nie zależało mu tak bardzo na żonie.

– Ty to robisz, nie ja. Obiecałam, że będę cię wspierać w dojściu do władzy. Nigdy nie mówiłam, że będę zaniedbywać swoje obowiązki, dopóki je pełnię. Moje biuro prowadzi dochodzenie w sprawie doktor Anne Wiley. Pomyślałam, że ze względu na naszą umowę najlepiej będzie, jeśli to ja zajmę się śledztwem, żeby móc ograniczyć straty.

Przez chwilę wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Jeszcze jej nie wierzył.

– Ograniczyć straty? W jaki sposób? Za pomocą artykułów w gazetach? Jak to ma wpłynąć na moje szanse na fotel burmistrza?

Przechyliła głowę i uśmiechnęła się krzywo, jakby go prosiła, żeby przestał się zachowywać jak idiota. Zacisnął zęby.

- Mam zadanie do wykonania, Derreck. Artykuł został opublikowany na niepozornej stronie, jest krótki i głęboko ukryty, nie rzuca się w oczy i nie zaszkodzi twojej karierze. Twoje nazwisko nigdzie w nim nie widnieje, prawda?

- Fakt - przyznał z wyraźną niechęcią.

- Na szczęście twoja żona, wychodząc za ciebie, została przy nazwisku panińskim. - Przyglądała mu się przez chwilę, próbując wyczuć, czy świśnięcie batem było wystarczająco mocne. Daleko mu było do takiego. - Ludzie nie skojarzą tych dwóch rzeczy. Nie tym razem.

Zacisnął dłonie, zwiesił głowę, a jego wargi ułożyły się w wąską linię. Przez chwilę siedzieli w ciszy, ciężkiej, niepokojącej.

- Skąd się dowiedziałas o śmierci pacjenta Anne? Ode mnie?

Nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego, zastanawiając się nad najlepszą odpowiedzią.

- Odpowiedz mi, do cholery - ryknął. Dwóch baristów odwróciło głowy i spojrzało na siebie. - Bądź ze mną dla odmiany szczerą. Zniosę wszystko.

Zachichotała, bawiąc się kosmykiem włosów, który owijała wokół palców.

- Typowy narcyz. Myślisz, że cały świat kręci się wokół ciebie? - Zamilkła na chwilę, kiedy on wyraźnie wstrzymywał oddech. - Nie, Derreck, nie od ciebie. Do prokuratury zadzwonił ze skargą ktoś ze szpitala. Na podstawie tego telefonu wszczęto postępowanie, które wzięłam na siebie.

Jego złość zastąpiło słabo ukrywane zaskoczenie.

- Ktoś zadzwonił? Kto?

- Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

Zaklął pod nosem.

– Już dawno przekroczyliśmy granice przyzwoitości, Paula. Jestem pewien, że mogłabyś trochę nagiąć zasady i dać mi jakąś podpowiedź.

Więc na tym mu zależało: troska o żonę przyćmiewała wszystko inne. Założyła, że skoro jest z Anne od tylu lat, do ich związku wdarła się nuda, a dystans między nimi jest na tyle duży, że zdoła tam wbić klin.

– Niepotrzebnie zaprzątasz sobie głowę, mój drogi burmistrzu. Skup się lepiej na tym, żeby wywiązać się ze swojej części umowy. Wierzę, że za jakiś czas, kiedy stanę do wyścigu o stanowisko prokuratora stanowego hrabstwa Cook, spełnisz swoją obietnicę. A wcześniej ty, dzięki informacjom ode mnie, będziesz obecny w mediach podczas każdego głośnego aresztowania. Będziesz błyszczał, Derreck. Masz już przygotowaną wypowiedź na pierwsze wystąpienie?

Wpatrywał się w nią, jakby nigdy wcześniej jej nie widział, z błyskiem pogardy w oczach. Miała mu to za złe.

– Skoro nie mogę ci ufać, to nie ma mowy o żadnej umowie.

– Nie możesz mi ufać? – zapytała powoli tonem, w którym pobrzmiwała niewypowiedziana groźba.

– Nie, nie mogę. – Spojrzał na nią surowo, a później wypił duży łyk kawy z kubka, który odstawiła na bok. – Gdybyś powiedziała mi o śledztwie, zanim zrobiła to Anne, zanim przeczytałem o tym w gazetach, może byłoby inaczej. Ale nie wiem, w co grasz, i szczerze mówiąc, mam tego dość. – Wstał i zapiął marynarkę. – Żegnaj, Paula.

Zdążył zrobić krok lub dwa.

– Mogę cię zniszczyć z taką samą łatwością, z jaką mogę cię stworzyć – oznajmiła. – Nie waż się mnie zostawić.

Stanął jak wryty i przyglądał jej się przez chwilę. Potem, jakby w transie, wrócił do stołu i usiadł.

– Bo co? – Uśmiechnął się drwiąco. – Będziesz się zachowywać jak stereotypowa kochanka, która nie rozumie drobnego druku? Powiesz o nas mojej żonie? – Odchylił się na krześle i złożył ręce na kolanach. – Być może zostaniesz niedoszłą prokurator stanową, która zakończy własną karierę, nękając żonę kochanka. Co powiesz na taki nagłówek?

Krew się w niej zagotowała. Nie przypuszczała, że Derreck jej się postawi, że doprowadzi ją na skraj szaleństwa. Oszołomiona patrzyła, jak wszystko, co próbowała osiągnąć, rozpada się na jej oczach.

Nie mogła pozwolić mu odejść. Nie w ten sposób. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to sięgnąć po broń, którą nosiła w teczce, po małego glocka, zawsze naładowanego. Natychmiast się jednak opanowała. Strzelanie do Derrecka byłoby bezcelowe. Nie służyło nikomu. Ani niczemu.

Wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić skołatane nerwy. Wściekłość nie współgrała z jej planem. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał spokojnie i chłodno.

– A może taki nagłówek: „Przy obiecującym kandydacie na burmistrza znaleziono dwadzieścia gramów kokainy. Wkrótce usłyszy zarzuty”. Chyba będzie lepszy, burmistrzu?

Zszokowany, wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– Nie zrobiłabyś tego... Paula, chyba nie mówisz poważnie.

Wstała i zebrała swoje rzeczy, powoli owinęła szyję jedwabną apaszką, przez chwilę trując się nad misterną kokardą.

– Spieszę się do sądu, Derreck. Nic poważnego, zarzut posiadania narkotyków z zamiarem sprzedaży. No wiesz, ponad piętnaście gramów. Mam nadzieję, że uzyskam maksimum, ale facet nie był wcześniej karany. Na pewno wsadzę go na pięć lat do więzienia stanowego. Bułka z masłem. – Puściła do niego oko i powoli ruszyła w kierunku wyjścia.

W dużej szybie widziała jego niknące odbicie. Wciąż siedział i patrzył na nią, zakrywając usta dłonią.

Tym razem trzasnęła batem dość mocno. Teraz na pewno jej posłucha.

OSIEMNAŚCIE

PONIEDZIAŁEK

Resztę tygodnia spędziliśmy w ciszy, napięcie związane z oczekiwaniem było nie do zniesienia. Każde z nas miało obawy i pytania, ale nikt o nich nie mówił. Udawaliśmy, że wszystko jest w porządku. Derreck na pewno tak nie uważał, ponieważ cały czas poświęcał na analizowanie sprawy. Mama też nie zachowywała się tak, jakby wszystko było w porządku. Większą część niedzieli spędziła przy oknie, gapiąc się na ulicę ze złożoną gazetą w jednej ręce, ołówkiem w drugiej, ale nie rozwiązywała krzyżówki. A ja nie czułam się zbyt dobrze, przytłoczona niepokojem na myśl o dzisiejszym dniu.

O drugiej po południu stanę przed komisją badającą sprawę Caleba Donaghy'ego. Członkowie komisji będą znali treść nagrań wideo z zabiegu, dokumentacji medycznej pacjenta i będą gotowi do wysłuchania zeznań oraz zadawania pytań. Stawką jest życie, jakie znam, moje prawo wykonywania zawodu i moja wolność.

Cieszyłam się, że weekend dał mi szansę na oddech i myślenie z dala od szpitala, i z przyjemnością przesiedziałam go w domu, udając, że zajmuję się tym czy owym, a w rzeczywistości przygotowywałam się do składania zeznań. Obmyślałam, co chcę powiedzieć, a czego mówić nie mogę. Jak z medycznego punktu widzenia uzas-

adnię tak wczesne stwierdzenie zgonu, o którym faktycznie zdecydowała tożsamość pacjenta. O co muszę zapytać Derrecka.

W niedzielę tuż przed kolacją, której nie byłam w stanie tknąć, przypomniał mi, że moje wypowiedzi powinny być krótkie, jasne i proste, nawet jeśli zeznaję przed lekarzami. Na koniec kazał pamiętać, że protokół z tych zeznań może zostać odczytany w sądzie lub wykorzystany przeciwko mnie, tak jakbym została aresztowana i miała zostać skazana wyłącznie na podstawie własnych zeznań.

Z powodu tej prostej rady przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Dziś jednak jestem gotowa na to, co mnie czeka. Ubrałam się elegancko, w ciemnoniebieski garnitur z dłuższym żakiem. Dobrałam do niego granatowe czółenka i jedwabną bluzkę w jeszcze ciemniejszym odcieniu granatu. Zrobiłam nawet makijaż. To pomysł Derrecka: gdyby coś mnie zaskoczyło, podkład ukryje ewentualne rumieńce. Wczoraj wieczorem zażyłam beta-bloker, dziś rano kolejny, a trzeci czeka w torebce na lunch. Dzięki niemu nie będą mi się trzęsły ręce i uniknę ściśniętego gardła. Tabletki stłumią reakcję na stres. Będę spokojnie stała i odpowiadała na wszystkie pytania jak zawodowiec, który nie zrobił nic złego.

Najpierw jednak czeka mnie obchód.

Madison przedstawiła mi harmonogram dnia i tygodniowy grafik. Nie wdawała się w szczegóły planowanych konsultacji i nowych przyjęć; nie pozwoliłam jej na to. Chcę przeżyć dzisiejszy dzień i wiedzieć, na czym stoję, zanim zagłębię się w plany na cały tydzień.

Mam kilku nowych pacjentów. Rano przyjęto panią Orłowski. Ma sześćdziesiąt trzy lata i jutro czeka ją operacja wszczepienia bajpasów. Cały dzisiejszy dzień spędzi w szpitalu na badaniach krwi i tomografii. Drugim pacjentem jest skierowany wczoraj wieczorem

przez izbę przyjęć czterdziestotrzyletni kierowca ciężarówki spoza naszego stanu, skarżący się na bóle w klatce piersiowej. Badanie obrazowe wykazało narośl na zastawce mitralnej w bardzo wczesnym stadium, ale muszę się jej przyjrzeć.

Karty obu pacjentów leżą na moim biurku, na czerwonej teczce, która nie zmieniła miejsca od zeszłego czwartku. Biorę dokumentację i przed wyjściem wypijam łyk herbaty rumiankowej. Dziś unikam kawy, choć potrzebuję jej jak powietrza.

– Rozmawiała pani z tą prokurator bez adwokata? – Podniesiony głos M mnie zaskakuje. Odwracam się i widzę ją na środku mojego gabinetu; szklane drzwi za nią jeszcze cicho się zamykają. Dłonie trzyma na biodrach, jej brwi łączą się nad nosem w grymasie wściekłości. – Czy ja mam do czynienia z dzieckiem? Czy z kompletną idiotką? – Tupie nogą, jedną dłoń kładzie na karku i mocno go pocięra. – Jeżeli jeszcze bardziej nadszarpnie pani reputację tego szpitala, wyleci pani stąd, zanim zdążę powiedzieć, że panią zwalniam.

Czuję suchość w gardle, choć myślałam, że jestem na to przygotowana.

– Powiedziałam jej tylko, żeby skontaktowała się z działem prawnym w celu uzyskania wyników oceny komisji. To wszystko. Tak jak mi pani poleciła.

– Nic takiego nie kazałam mówić. – Obraca się w miejscu, jakby szukała czegoś, czego tu nie ma. – Kiedy dzwoniła pani do mnie w zeszłym tygodniu w jej sprawie, nie uznała pani za stosowne, żeby mnie poinformować, że już z nią pani rozmawiała? I to dwa razy? Chyba nie musiała wiedzieć o zebraniu komisji, nie sądzi pani? – Chwyta za klamkę, ale nie wychodzi, tylko trzyma się jej, jakby zamarła, choć całe jej ciało drży pod wpływem rozsadzającego

ją ciśnienia niczym przegrzana lokomotywa parowa. – Miała pani nie mówić jej absolutnie nic. Ani słowa. A tymczasem się dowiaduję, że postąpiła pani inaczej. Mimo że panią ostrzegałam. – Wycelowała we mnie palec.

Ktoś jej doniósł. Zawsze znajdzie się taka osoba. Nic nowego. Wiadomo, szklane ściany nie ułatwiają skrywania sekretów.

– Naprawdę, nic jej nie powiedziałam. Nie miałam o czym z nią rozmawiać i nie...

– Proszę to zachować dla komisji. – Wychodzi, nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

Nigdy w życiu nie czułam takiego wstydu. I strachu. Mogę stracić wszystko.

Za kilka godzin będę musiała stanąć przed oceniającymi mnie kolegami i wyjaśnić każdą decyzję, którą podjęłam tamtego dnia, i każde działanie, nawet nieuzasadnione.

Po dzisiejszym zebraniu może się zdarzyć, że przed salą konferencyjną będą na mnie czekać policjanci i wyprowadzą mnie stąd w kajdankach. Choć próbuję się przygotować na taki scenariusz, niezbyt mi to wychodzi. Nie mogę sobie wyobrazić takiej sytuacji ani tego, jak bym się wtedy zachowała. Wolałabym zapaść się pod ziemię.

Ale ziemia rzadko się rozstępuje, gdy ktoś sobie tego życzy.

Zamierzałam spotkać się z M przed posiedzeniem, poprosić o możliwość zapoznania się z wynikami autopsji, żebym mogła lepiej się przygotować. Teraz to wykluczone. Prawdopodobnie wyrzuciłaby mnie z gabinetu, zanim zdążyłabym otworzyć usta.

Jestem bliska załamania, ale uspokaja mnie myśl o Melanie. To, co zrobiłam, zrobiłam dla niej, dla nikogo innego. Nie miałam żad-

nego planu ani żadnej innej myśli w głowie poza wspomnieniem młodszej siostry przerażonej widokiem Caleba Donaghy'ego na ławce w parku. Siniaków na jej nogach. Wyników autopsji ujawniających lata traumy i okrutnego molestowania.

To dlatego mój pacjent leży teraz w kostnicy. Z powodu tego, co zrobił.

Jeśli wymierzenie sprawiedliwości oprawcy Melanie, którego nikt nie pociągnął do odpowiedzialności, położy kres życiu, jakie znam, zyskam przynajmniej świadomość, że pomściłam cierpienie i śmierć młodszej siostry.

W moim umyśle wciąż brzęczy pytanie, jak irytujący mały owad, który nie chce się uspokoić. Dlaczego serce nie podjęło pracy?

Madison przypomina, że powinnam brać się do roboty. Mam już poślizg.

Kiedy zaczynam obchód, okazuje się, że kierowca ciężarówki został przydzielony doktorowi Fitzpatrickowi na prośbę M. *Odbiera mi pacjentów*. Oczy zachodzą mi łzami, gdy opuszczam jego pokój i idę do pani Orłowski, pacjentki skierowanej na bajpasy, przygotowana na to, że ją również przekazano pod opiekę innemu lekarzowi.

Ale nie.

Czeka na mnie, blada i małomówna, gdy Ginny mierzy jej ciśnienie. Niektórzy ludzie pod wpływem strachu zachowują się tak, jakby otwarcie ust i wyjawienie tego, co im leży na sercu, było dla nich rzeczą upokarzającą. Niestety, taki tłumiony stres zwiększa ryzyko niepowodzenia zabiegu. Notuję sobie, że mam wpaść do niej po przesłuchaniu, by podnieść ją trochę na duchu.

W tej chwili nie mam czasu, poza tym moje myśli uparcie tkwią gdzie indziej.

- Sto czterdzieści pięć na dziewięćdziesiąt siedem, pani doktor – oznajmia Ginny.

Otwieram dokumentację pacjentki i szukam leków. Ma przepisane dwa na nadciśnienie.

- Dość wysokie jak na osobę w stanie spoczynku. – Uśmiecham się krzepiąco. – Ale zaraz temu zaradzimy. – Notuję coś szybko w karcie i wręczam ją Ginny.

- Mamy wyniki badań – informuje mnie Ginny, która prawdopodobnie zauważyła, że ich nie przejrzałam. Oddaje mi teczkę, a ja przerzucam strony w poszukiwaniu wyników badań pani Orłowski. Znajduję je, uporządkowane i łatwe do przeanalizowania. Wartości poza zakresem są wyszczególnione u góry pogrubioną czcionką, łatwo je zauważyć. Poziom cholesterolu jest podwyższony, ale nie ma tragedii. Trójglicerydy też powyżej normy. Nic nadzwyczajnego. Wszystko inne jest w normie, zwłaszcza wartości, które są dla mnie istotne przed operacją, takie jak współczynnik krzepnięcia krwi, poziom cukru i hemoglobina. To nie jest jej pierwsza morfologia, a wyniki pokrywają się z tymi, które widziałam wcześniej.

Lubię wizyty bez niespodzianek.

Zamykam teczkę i się uśmiecham.

- Zajrzę za kilka godzin, trochę porozmawiamy. Wydaje mi się, że to niesforne ciśnienie może mieć związek ze stresem. – Pacjentka przygląda mi się bez słowa. – Może po krótkiej rozmowie nieco się obniży. – Daję jej kilka chwil. Nadal nic. Szybkie spojrzenie na zegarek mówi mi, że nie mogę dłużej czekać. Żegnam się skinieniem głowy, wychodzę z pokoju, po cichu zamykając drzwi, i wracam do gabinetu.

Kończę układać dokumentację na czerwonej teczce Donaghy'ego. Mam wszystko, o czym zdołałam pomyśleć, między innymi kilka zrecenzowanych artykułów dotyczących stwierdzenia zgonu po kardiooplegii. Wydrukowałam je wczoraj wieczorem i podkreśliłam akapity uzasadniające moją decyzję choćby w minimalnym stopniu. Poszukiwanie ich przypominało szukanie przysłowiowej igły w stogu siana.

Nagle płoszy mnie głośny dźwięk mojego telefonu. Klnę pod nosem. Jestem tak spięta, że naprawdę nie wiem, jak przeżyję tę komisję. To Derreck; potrzebuję teraz jego głosu, jego siły.

– Cześć – mówię cicho, odwracając się w stronę okna, by zapewnić sobie choć odrobinę prywatności.

– Cześć – rzuca swobodnie, ale w jego głosie wyczuwam napięcie. – Jadłaś lunch?

Śmieję się pod nosem, przypominając sobie o beta-blokerze, który miałam zażyć.

– Zwykle zalecamy, aby pacjenci na zabieg zgłaszali się z pustym żołądkiem. – Próba żartu brzmi żałośnie i sztucznie.

– Ta wścibska prokurator się odzywała? – pyta mój mąż po chwili milczenia.

Paula Fuselier. Na myśl o niej dostaję gęsiej skórki.

– Na szczęście nie. Tylko tego mi dziś brakuje. Dlaczego pytasz? Wiesz coś?

– Nie – odpowiada dość pośpiesznie. – Widocznie zadzwonił do tej cholerniej prokuratury. Przekleć faceci i ich genetycznie zakodowana potrzeba chronienia kobiet. Jeśli M się o tym dowie, jestem skończona. – Chciałem tylko sprawdzić, co u ciebie. Wiem,

że przeżywasz trudne chwile – dodaje, a ja natychmiast żałuję złośliwych myśli.

– Dzięki – szepczę i ciężko wzdycham. – Trzymaj za mnie kciuki. Przesłuchanie zaczyna się za dziesięć minut.

– Trzymam kciuki i wszystkie inne palce. Zadzwoń, jak będziesz coś wiedzieć. Zrobiłem sobie wolne popołudnie.

Po zakończeniu rozmowy gabinet tonie w nieprzyjemnej ciszy. Przypominam sobie o beta-blokerze, łykam go i wychodzę ze stosem papierów i czerwoną teczką Donaghy'ego.

Kilka minut później otwieram drzwi do sali konferencyjnej, wchodzę i szukam wzrokiem znajomych twarzy. Członkowie komisji to chirurdzy z wieloletnim stażem i ordynatorzy – wszyscy liczą się z ich opinią. Mam wśród nich kilku sprzymierzeńców, takich jak doktor Seldon, ale i paru wrogów, na przykład doktora Bolgera, który uśmiecha się złośliwie na mój widok. On prawdopodobnie będzie zeznawał jako pierwszy.

Widok jednej osoby napawa mnie lękiem. Potężny mężczyzna w grafitowym garniturze, białej koszuli i krwistoczerwonym krawacie siedzi u boku M. Mrużąc oczy, przygląda mi się z zaciekawieniem i troską; wita mnie skinieniem głowy i odwraca wzrok.

Miałam z nim do czynienia zaledwie kilka razy. To Aaron Timmer, główny radca prawny szpitala.

To nie jest zwykłe posiedzenie komisji. To coś znacznie gorszego, niż myślałam.

DZIEWIĘTNAŚCIE

DOWÓD

Przez tych kilka miesięcy za bardzo zaangażowała się w związek z Derreckiem.

Gdy doszła do tego wniosku, zerwała się z krzesła i zaczęła spacerować po małym gabinecie, zerkając z okna drugiego piętra na zakorkowane centrum miasta. Poniedziałkowe poranki były najgorsze: nieustające trąbienie klaksonów prawie zawsze kończyło się kolizją. Dziś jednak miała wrażenie, że dwa gęste sznury samochodów skręcających na rogu z latarnią znajdują się wiele kilometrów stąd, niemal w innej rzeczywistości.

Jej myśli zaprzętał Derreck Bourke.

Na początku wierzyła, że jej ciało może być bronią, która posłuży do osiągnięcia celu, zwłaszcza gdy poznała Derrecka i przekonała się, że jest na czym zawiesić oko. Miał w sobie coś, co pozwalało wierzyć, że w sprzyjających okolicznościach mógłby zostać nowym burmistrzem Chicago. Miłą aparycję silnego mężczyzny podkreślały szerokie ramiona i wysokie czoło, a może szaroniebieskie oczy wpatrujące się w dal, jakby wyczekiwały objawienia. Był inteligentny i elokwentny, potrafił dyskutować na każdy temat, nikogo przy tym nie obrażając, bez względu na to, jak agresywny był przeciwnik.

Nadawał się na kandydata do Białego Domu, choć o tym nie wiedział.

Przez wiele miesięcy wierzyła, że potrafi odciąć się emocjonalnie, pozostać zimną, rzeczową i dążącą do celu zdeterminowaną profesjonalistką. Nie dokuczały jej wyrzuty sumienia – miała powód, by z nim sypiać. Nie ona pierwsza się do tego uciekała; takie sprawy nikogo nie obchodziły, o ile nie pisano o nich w gazetach. Nawet kobietom zawdzięczającym sukces ciężkiej pracy zarzucano, że osiągnęły go w zamian za przysługi seksualne. Z kim się przespała, że dostała tę pracę, rolę, umowę na książkę czy cokolwiek innego? Zawsze pojawiało się takie pytanie. Bycie kobietą nieodłącznie wiązało się z piętnem i mało prawdopodobne, by to się zmieniło wcześniej niż w ciągu kilku pokoleń.

Przez lata samotności zrodziła się w niej słabość, pod której wpływem powoli przywiązywała się do Derrecka. Nie był już tylko punktem w kalendarzu; z ekscytacją wyczekiwała jego esemesów i telefonów. To z jego powodu częściej niż kiedykolwiek dotąd odwiedzała luksusowe sklepy z bielizną. Jej emocje, podstępne i nieuniknione, mocno skomplikowały sytuację.

Czyżby zakochiwała się w Derrecku? A może już była zakochana?

Perfekcyjny plan wymagał perfekcyjnego wykonania, a ona była silna. Gdyby sama w siebie nie wierzyła, jak mogłaby oczekiwać, że uwierzą w nią inni? A jednak wpisała się w rozczarowujący, stereotypowy obraz słabej, zauroczonej kobiety, która bezwolnie zakochuje się w nieodpowiednim mężczyźnie.

Przez cały weekend czekała, aż Derreck się odezwie, spacerując niespokojnie po mieszkaniu, nie mogąc się skupić. Telefon uparcie milczał, ona też nie napisała do kochanka. Nie trzeba było geniuszu,

żeby po spotkaniu w Starbucksie w piątkowy poranek domyślić się, że on nie chce mieć z nią nic wspólnego. Zeszłotygodniowe wspólne popołudnie w LondonHouse było prawdopodobnie ostatnim, kiedy trzymał ją w ramionach.

I oto był – przenikliwy, rozdzierający ból na myśl o utracie miłości. Kiedy to wszystko nabrało znaczenia? Prawdopodobnie w chwili, gdy zaczęła zgrzytać zębami na dźwięk imienia Anne Wiley w jego ustach.

Okłamywała samą siebie, jeśli wierzyła, że Derreck kiedykolwiek ją kochał. Piątkowy poranek wyraźnie tego dowiódł. Dla Derrecka liczyła się przede wszystkim żona. Znajomość z Paulą traktował jak przelotny romans, kilka potajemnych schadzek w eleganckich pokojach hotelowych z szampanem, wykwintnymi przekąskami i mnóstwem szalonego, namiętnego seksu.

Jej plan się sypał. To, co jeszcze się trzymało, zburzyła w piątek rano, kiedy tak bardzo pragnęła świsnąć wyimaginowanym biczem, żeby mu pokazać, że to ona rządzi. Wtedy, w kawiarni, zdawało jej się, że postawiła na swoim. Więc dlaczego nie mogła się uwolnić od smutku?

Bo się zakochała, nie zdając sobie z tego sprawy. Jak można było tak zgłupieć?

W trakcie trwania tej znajomości powinna była przeanalizować swoje założenia. Czego oczekiwała od tego związku? Jak ważne były jej cele? Jeśli Derreck był dla niej kimś więcej niż tylko środkiem do celu, powinna była w porę to dostrzec i zacząć odpowiednio się zachowywać.

Wiedziała, jak nim manipulować. W przeciwieństwie do niej Derreck nie zmienił swoich priorytetów. Dla niego liczył się start

w listopadowych wyborach na burmistrza. Wygranie tego wyścigu. Wciąż mogła się do tego przyczynić – i być może dzięki temu wrócić w jego ramiona.

Ale po co? Przecież on zamierzał trwać przy żonie, dopóki nie wyda ostatniego tchnienia.

Na wargach Pauli zadrgał zimny uśmiech. Ludzi można wykończyć, zlikwidować na wiele sposobów. A umysł męczyzny można zmienić; inteligentna, zmotywowana kobieta nie powinna mieć z tym problemu.

Gdy doszła do tego wniosku, uśmiechnęła się promiennie. Tydzień zapowiadał się wspaniale. Za kilka godzin miała stawić się w sądzie, była dobrze przygotowana i nie spodziewała się żadnych przeszkód w odniesieniu kolejnego zwycięstwa.

Usłyszała szybkie stuknięcie do drzwi i w progu stanął śledczy Adam Costilla. Zawsze wchodził tak, jakby w pełnym ekwipunku funkcjonariusza jednostki specjalnej policji wyważał drzwi do mieszkania podejrzanego. Za każdym razem podskakiwała przestraszona.

– Dzień dobry, szefowo – rzucił, trzymając się futryny, jakby nie zamierzał wchodzić. – Jaka jest ostateczna decyzja w sprawie zeznań Degnana? – Sapał z wysiłku, a na jego czole lśniły kropelki potu. Widocznie wszedł po schodach.

– Cześć, Adam – odpowiedziała, przeglądając teczkę z aktami. – Mamy dla niego wezwanie do złożenia zeznań. – Podała mu kartkę.

Dwoma ciężkimi krokami wszedł do jej gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Podłoga zaskrzypiała pod jego ciężarem.

– Wiesz co, nie rozumiem cię. – Wciąż ciężko dyszał. – Mam wrażenie, że się zmieniłaś. Kiedyś przejmowałaś się tymi

dzieciakami.

– Szef wyraził się jasno. Nie ma mowy o przegranej, nie możemy ryzykować. Wszystko, na co pracowaliśmy...

– Ten bydlak się nie wywinie, mamy dowody, że strzelił do żony, przyciśniemy go do muru i dobierzemy mu się do dupy. – Chwycił się pod boki i westchnął z goryczą. – Nie narażaj życia tego dzieciaka, Paula. To nie jest tego warte.

Niechętnie musiała przyznać mu rację. Należało wyznaczyć granice i nie dopuścić do tego, żeby system angażował dzieci we wskazywanie zabójców i zmuszał jedenastolatków do zeznawania w sądzie.

– Nie mamy wyjścia. Decyduje Hobbs, to jego polecenie. Jeśli go nie wypełnimy, zostaniemy odsunięci od sprawy, wyznaczą do niej innego prokuratora, który wykona to, czego chce szef. Nie zamierzam ryzykować. To samobójstwo dla kariery, w dodatku bezsensowne. Simon Degnan będzie musiał zeznawać tak czy siak.

Wpatrywał się w nią z pogardą. Był bezpośredni i bezkompromisowy, wierny wartościom, dzięki którym nie zbaczał z właściwej drogi także w obliczu przeciwności. Nie cofał się przed niczym, gdy coś zaburzało pracę jego wewnętrznego kompasu, nawet jeśli chodziło o nią.

Roztarła zmarznięte dłonie – palce jej skostniały, jakby do gabinetu wdarł się chłód wietrznego poniedziałkowego poranka i wyparł ciepłe powietrze wdmuchiwane do środka przez wentylatory.

– Degnanowie złożyli wniosek o przesłuchanie w sprawie zdolności procesowej.

– Hm... Ciekawe, kto im podsunął ten pomysł – rzucił Adam ze śmiechem, lekko przechylając głowę w lewo.

- Jezu, Adam... Po czyjej ty jesteś stronie?

Natychmiast zamilkł.

- Kiedyś wiedziałaś, Paula. Sprawiedliwość, tylko ona się liczy. Kiedyś myśleliśmy podobnie.

Warknęła ze złością, przechadzając się po pokoju i spoglądając gniewnie na śledczego.

- Wezwanie na świadka w sprawie o morderstwo jest całkowicie zgodne z prawem.

- Powiedziałem: sprawiedliwość, Paula, nie prawo. To różnica i kiedyś miała dla ciebie znaczenie. Mam wrażenie, że w tym budynku im wyższe piętro, tym rzadsze powietrze. To może prowadzić do niewłaściwej oceny sytuacji.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Paula odwróciła wzrok. Miał rację. Kiedy zostanie prokuratorem stanowym hrabstwa Cook, będzie mogła podejmować własne decyzje i dbać o dobro dzieciaków. Na razie jednak miała nad sobą szefa i musiała wykonywać jego polecenia.

- Dopilnuj, żeby zjawił się w następny poniedziałek, gotowy do składania zeznań. Jeśli sędzia stwierdzi zdolność procesową, rzecz jasna. Musiała przyznać, że Adam był pomysłowy. Zamknęła akta, nie siadając za biurkiem. - Na jakim etapie jest sprawa Caleba Donaghy'ego? - zapytała.

Adam na chwilę zagryzł wargi, po czym wyjął notatnik i go przewertował.

- Nie miałem zbyt wiele czasu, a tak po prawdzie, to szukanie nie ma zbytniego sensu. Przejrzałem wszystko, co mi wpadło w ręce, i nie znalazłem żadnego związku pomiędzy lekarką a trupem. Ten cały Donaghy to był pijak i kawał gnoja, w ciągu dziesięciu ostatnich

lat odsiedział kilka wyroków za naruszenie nietykalności i napaść. Wcześniej nic. – Wzruszył ramionami i zamknął notatnik.

– Rozmawiałaś z kimś, kto go znał? Z krewnymi, przyjaciółmi, sąsiadami?

– Nie miał rodziny ani przyjaciół. Zagadnąłem barmana w pobliskiej knajpie, to mnie posłał do diabła. Zapytałem dlaczego, a on mi na to, że to samo powie Donaghy'emu. Powiedziałem, że gość nie żyje, a on wtedy splunął na podłogę i rzucił: „Krzyżyk na drogę”. Tylko tyle się dowiedziałem.

Świetnie.

– A lekarka?

– W sensie? – Wyglądał na szczerze zdezorientowanego i nieco zmartwionego, a na jego czole pojawiło się kilka zmarszczek.

– Jej transakcje finansowe?

Adam znów się roześmiał niepewnie.

– Ej, przecież miałem tylko kilka dni!

Uśmiechnęła się szelmowsko.

– I co?

Pokręcił głową.

– Na razie wiem tylko tyle, że to elita. Niczego podejrzanego nie znalazłem. Babka jest dziana.

– Dzięki mężowi?

– Nie, na odwrót. To ona ma kasę, głównie z rodzinnych inwestycji, chociaż całkiem nieźle zarabia na krojeniu ludzi. Na czekach za telewizyjną kampanię jej męża widnieje nazwisko jej matki. Twoja lekarka wyszła za gołodupca.

A więc jednak: ostateczny dowód na to, że Derreck nigdy nie zostawi żony. *Niech ją szlag...* Nawet o tym nie wiedząc, wygrywała za każdym razem.

– Rozumiem. Billingi?

– Jeszcze nic. Muszę dostać nakaz sądowy. Wiley to nie jakiś ćpun, żebym mógł robić, co mi się żywnie podoba. Jest wpływowa, a ja nie igram z ogniem.

– Dobra, olej billingi. Na nakaz sądowy mamy za mało.

– O tym samym pomyślałem. A w ogóle to dlaczego przyglądamy się tej sprawie? Ktoś złożył skargę?

Przez chwilę skrupulatnie rozważała odpowiedź. Skargi były rejestrowane w systemie, do którego Adam miał łatwy dostęp. Nie było sensu okłamywać go jak Derrecka.

– Nie, nikt niczego nie zgłaszał.

Ponowne wzruszenie ramion.

– No to?

– Usłyszałam o tym. Byłam w szpitalu z powodów osobistych i ludzie rozmawiali o tej sprawie. Więc to tak, jakby ktoś złożył skargę, tym kimś jestem ja.

Zagwizdał z niedowierzaniem.

– To nic niewarte, Paula. Nic nie masz. Ludzie paplają non stop. Normalka.

– Mimo wszystko chcę się temu przyjrzeć, a mam do tego prawo, zgadza się? – Jej ton był ostry jak brzytwa. W pokoju od razu zrobiło się chłodniej. – Powiedz mi tylko, czy mam szukać kogoś innego, kto to dla mnie zbada.

– Nie ma potrzeby, szefowo. Zajmę się tym. Jak zawsze: mówisz i masz.

– Dowiedz się, dlaczego zginął Caleb Donaghy. Coś się stało i muszę wiedzieć co.

– Przyjąłem – odpowiedział wyraźnie ostrożniejszy. – Przy okazji, byłem dziś w szpitalu, z chusteczką w ręce i z balonami siedziałem na ławce przy gabinecie twojej lekarki, żeby się rozeznać w sytuacji. Dziś o drugiej jest posiedzenie komisji. Wewnętrzna analiza sprawy Donaghy’ego.

– Dzisiaj? Miało być w środę. – Podniosła głos sfrustrowana. Zamierzala się zjawić w gabinecie Anne tuż przed zebraniem, żeby wytrącić ją z równowagi. – Szlag.

Adam lekko rozdziawił usta.

– A co za różnica? Co ty masz do ich zebrań? To chyba standardowe postępowanie po śmierci pacjenta?

Zmusiła się, by zachować spokój. Adam był jej kumplem, znali się od dawna, ale traciła cierpliwość, widząc, że za wszelką cenę stara się zbagatelizować sprawę.

– Chciałam z nią porozmawiać przed tym posiedzeniem, to wszystko. Liczyłam, że uda mi się zdobyć kopię raportu z autopsji Donaghy’ego.

Adam przez chwilę patrzył na nią z zaciekawieniem.

– Paula, biuro prokuratora pracuje w określony sposób. Nie taki. Obowiązują nas procedury, i to nie bez powodu. Występujemy o nakazy, składamy wnioski o wydanie dokumentacji i tak dalej. Okej, zakradłem się do szpitala z balonami, żeby się rozeznać, co jest grane, ale to była koleżeńska przysługa, bo mnie poprosiłaś.

Odwróciła na chwilę wzrok, po czym spojrzała Adamowi w twarz z błyskiem wdzięczności w oczach.

– Dzięki, Adamie, doceniam to. Jesteś najlepszy. – Zaciśnęła dłonie w pięści i weszła za biurko, jakby chciała zachować dystans. – Po prostu mi zaufaj, dobrze? Jeśli przez kilka dni niczego nie znajdziesz, odpuścimy.

– Jasne, ty decydujesz. – Przystąpił z nogi na nogę, wyraźnie gotowy do wyjścia. – Gdzie szukać?

– Byłoby świetnie, gdyby udało ci się zajrzeć do tych billingów, no wiesz, na razie bez nakazu. A jak się nie da, to przyjrzymy się jej finansom. Poszukaj kont zagranicznych, zorientuj się w kwestiach podatkowych, inwestycjach w kryptowaluty. Może sprzedaje na lewo fentanyli.

Adam zmarszczył brwi i przez chwilę drapał się po brodzie.

– Nie wydaje mi się, ale sprawdzę.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo sponsoruje Lekarzy bez Granic. Im i paru innym organizacjom co miesiąc odpala sporą część pensji. Nie wygląda mi na taką, co by handlowała lekami. – Zamilkł i przyglądał się Pauli, ale ona zignorowała jego zaciekawione spojrzenie i zerknęła na akta przed sobą, intensywnie myśląc.

– Dobra, fentanyliem może nie handluje, przyznaję ci rację, ale coś z nią jest nie tak. Dowiedz się, Adam. Przejrzyj jej konta społecznościowe, popytaj sąsiadów, znajomych, sprawdź, co ludzie o niej mówią. W końcu trafisz na jakiś trop.

I miejmy nadzieję, że cały jej świat legnie w gruzach, pomyślała.

Adam uniósł brwi, ale przytaknął.

- Jasne, szefowo. Jeśli tylko coś ma na sumieniu, nieprawidłowo przeszła przez jezdnię w ciągu ostatnich dwudziestu lat albo rzuciła papierek w jakimś zaułku, wyciągnę to dla ciebie.

Paula spojrzała mu prosto w oczy.

- Wiem, że zabiła Caleba Donaghy'ego. Zamordowała go. Zapewniam cię. Potrzebuję tylko dowodów.

DWADZIEŚCIA

KOMISJA

Zajmuję miejsce w dużej sali konferencyjnej i się rozglądam. U nikogo nie widzę przyjaznego spojrzenia ani krzepiącego uśmiechu.

Oficjalnie to weryfikacja koleżeńska, ale zebrani nie są moimi kolegami. To moi zwierzchnicy i ich szefowie, którzy decydują o rozwoju lub końcu kariery w tym szpitalu i w całym kraju. Większość z nich skrywa formalny strój pod białym kitem, zamiast marynarek mają na sobie szpitalne fartuchy.

Pokój zalewa światło słoneczne dostające się do środka przez częściowo rozsunięte pionowe żaluzje. Na stole przed każdym miejscem, zajęтым czy wolnym, leżą dokumenty. Domyślam się, że kilku osób jeszcze brakuje. Na bufecie przy ścianie stoją dwa dzbanki z kawą – jeden z bezkofeinową, i trzeci z gorącą wodą na herbatę. Obok nich czekają dwa stopy plastikowych kubków, taca ze schłodzoną wodą i napoje w puszkach w pojemniku z lodem.

Mam czas, by nalać sobie wody, zanim zacznie się zebranie. Zamierzam ją sączyć powoli, bo boję się, że ze stresu wypiję za dużo i będę zmuszona wyjść do toalety. Prośba o krótką przerwę byłaby krępująca nawet w środowisku lekarskim.

Na teczce przede mną widnieje nazwisko mojego zmarłego pacjenta i numer sprawy. Otwieram ją i wertuję kartki. Są starannie oddzielone przekładkami. Asystentka M bardzo się postarała, dokumentację przygotowała skrupulatnie, jak na posiedzenie zarządu.

Na początku umieszczone są historia choroby oraz badania laboratoryjne i obrazowe. Dalej oświadczenie doktora Bolgera, po którego przeczytaniu kipię z wściekłości i jestem bliska płaczu. Oskarża mnie o rażące zaniedbanie i niekompetencję oraz żąda dla mnie zawieszenia prawa wykonywania zawodu. Muszę zebrać wszystkie siły, by zachować spokój, nie podbiec do niego i go nie spoliczkować.

Ostatnią część dokumentacji stanowi raport z autopsji. Z zapartym tchem przewracam stronę i zaczynam czytać. Do przeprowadzenia sekcji zwłok M ściągnęła lekarza sądowego hrabstwa Cook, zamiast jak zwykle wykorzystać któregoś z naszych kardiologów. Pieczęć z jego nazwiskiem i tytułem na ostatniej stronie raportu świadczą o tym, że nie jest to rutynowa analiza przypadku.

Czuję się prawie tak, jakby toczył się przeciwko mnie proces o morderstwo. I być może tak jest.

Cofam się do początku raportu z autopsji i zaczynam czytać. Lekarz sądowy zbadał przebieg operacji tętniaka, szwy, protezę dakronową i nie znalazł uchybień w sposobie przeprowadzenia zabiegu. Wyniki jego badań zajęły dwie strony: powiększona stłuszczone wątroba z kilkoma torbielami, kamienie nerkowe i niewielki guz nadnercza, a podsumował je w jednym akapicie, uwalniając mnie od jakichkolwiek zarzutów.

Ogarnia mnie ulga i ze szczęścia na chwilę zamykam oczy. A później wracam do poprzedniej strony, na której coś zwróciło

moją uwagę.

„Podwyższone stężenie potasu w komorach serca, najprawdopodobniej ślady płynu kardioplegicznego użytego podczas zabiegu, nieprzekraczające normy. Ślady roztworu soli fizjologicznej”.

Dokładnie wypłukałam serce, przez pełne dwie minuty obmywałam je solą fizjologiczną. Nie powinno być żadnych resztek potasu, które uniemożliwiałyby organowi podjęcie pracy.

Pokój dookoła mnie wiruje przez chwilę, a ja próbuję odtworzyć tamte zdarzenia.

Reanimację zawsze przeprowadzam w ten sam sposób. Po tylu latach spędzonych na sali operacyjnej resuscytacja jest czynnością rutynową, nie można nagle zapomnieć, jak wykonać ją poprawnie. Oglądałam nagrania z zabiegu niezliczoną ilość razy i nie zauważyłam niczego niezwykłego.

Przez chwilę zastanawiam się, czy zapytać o to M, ale wyobrażam sobie, co powiedziałby mi Derreck, gdybym to zrobiła. Tak, byłabym idiotką. U boku dyrektorki siedzi Aaron Timmer, kierownik działu prawnego, jakby chciała mieć pewność, że jest kryta na wszelki wypadek. Wątpliwości powinnam zachować dla siebie, przeczekać to zebranie i wyjść z niego bez uszczerbku dla prawa wykonywania zawodu, wolności i życia.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – rozpoczyna M i szepty milkną, a na sali zapada pełna napięcia cisza. Patrzą przed siebie, ciesząc się, że miejsce po drugiej stronie szerokiego stołu jest nadal puste. – Mieli państwo czas na zapoznanie się z dokumentacją dotyczącą sprawy i z nagraniami wideo z zabiegu. – Dyrektorka rozgląda się po zgromadzonych, jakby chciała się upewnić, czy nikt nie zaprotestuje. – W porządku, w takim razie przejdziemy do przed-

stawienia stanowisk, a następnie poprosimy doktor Wiley o udzielenie odpowiedzi na pytania zgromadzonych.

Znów zapada cisza, podczas której większość współpracowników robi wszystko, by na mnie nie patrzeć. Doktor Seldon jest zajęty swoim kubkiem z kawą. Fitzpatrick, mój przełożony, wertuje historię choroby, sporządzając notatki zielonym długopisem. Doktor Dean, echokardiolog z mojego zespołu, jest wyraźnie zestresowany. Tylko Bolger się uśmiecha.

Niech to szlag.

Nagle zaczynam się zastanawiać, ile szkód zdążyła wyrządzić prokurator stanowa. Co, jeśli rozmawiała z Bolgerem? Co, jeśli to on do niej zadzwonił? Jeżeli poinformował ją o treści swojego oświadczenia, nic dziwnego, że chce mnie zamknąć za morderstwo. Zalewa mnie fala paniki. Zerkam przez ramię na szafkę, na której stoją napoje gazowane i woda, i żałuję, że nie wzięłam sobie puszeki, kiedy miałam okazję.

– Panie doktorze – zwraca się M do Bolgera – oddaję panu głos.

Wstaje, obrzuca mnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem, chrząka i poprawia krawat.

– Z doktor Wiley i jej zespołem pracowałem przed tym zdarzeniem wiele razy. Być może za dużo. Przez lata zwracałem się do dyrekcji szpitala z obawami dotyczącymi zachowania doktor Wiley i ostrzegałem, że w końcu do czegoś takiego dojdzie. Doktor Wiley podchodzi do zabiegów z nadmiernym luzem, co uniemożliwia osiąganie dobrych wyników. Personel tak zwanego zespołu cały czas rozmawia, puszcza muzykę i jest prawdopodobnie zbyt rozproszony, by wychwycić szczegóły, które na sali operacyjnej mogą decydować o życiu lub śmierci. Podobnie jak wielu innym kobietom,

doktor Wiley po prostu brakuje warunków do pracy chirurga, nie może więc odpowiednio reagować. Brakuje jej... odwagi – mówi, zaciskając dłoń w powietrzu. – Zwyczajnie zaprzestała reanimacji Caleba Donaghy’ego po zaledwie dwudziestu trzech minutach. Dlaczego? To pytanie powinni sobie zadać wszyscy. Owszem, operacja została przeprowadzona prawidłowo. Zgadza się, szwy wyszły jej idealnie, technikę ma nienaganną. KobiECE palce przez wieki władały igłą i nitką znacznie lepiej od mężczyzn. Ale jeśli chodzi o siłę woli, siłę fizyczną i determinację potrzebną do prowadzenia resuscytacji tak długo, jak to konieczne, by uratować życie, doktor Wiley wypada słabo. Bardzo słabo. – Bierze oddech i rozgląda się wokół stołu. – To dopiero pierwsza z licznych ofiar. – Powściągliwie kiwa głową i siada.

M wpatruje się w niego chwilę dłużej, niż powinna.

– Dziękuję, doktorze Bolger. – Odwraca się w lewo. – Doktorze Seldon?

Mój mentor wstaje i muska dłońmi krawat, jakby chciał się upewnić, że jest idealnie gładki, a następnie zapina kitel.

Nie nawiązuje ze mną kontaktu wzrokowego, nawet na ułamek sekundy.

– Dziękuję, pani dyrektor, będę mówił krótko.

Świetnie. Ten sukinsyn Bolger wykorzystał swoje pięć minut, a mojemu jedynemu sprzymierzeńcowi w tej sali się spieszy.

W tej chwili dostrzegam, że teczka M jest takiego samego koloru co wszystkie pozostałe, ale wygląda na grubszą. Do cholery, co może w niej mieć? Nie mam dziś ochoty na niespodzianki.

– Piętnaście procent – odzywa się doktor Seldon. – Tyle wynosi średnia śmiertelność okołoperacyjna na naszym oddziale kardi-

ochirurgii, a zaliczamy się do piątki najlepszych szpitali w kraju. Wy – wskazuje na Fitzpatricka i młodszego chirurga – i ja oscylujemy w granicach tego wskaźnika. Tracimy ludzi. To się zdarza. Doktor Wiley do tej pory się to nie przydarzyło. – Stuka palcem w okładkę teczki z dokumentacją. – Caleb Donaghy to pierwszy pacjent, który zmarł na jej stole operacyjnym. – Chwila ciszy. – Nie wiem jak wy, ale ja jej zazdroszczę takiej statystyki. – Przy stole rozległ się cichy, stłumiony śmiech. – Wiele razy pytałem, jak to robi. – W końcu spogląda na mnie i kiwa głową z uśmiechem. – Powiedziała, że odgania śmierć dzięki ciężkiej pracy, nastawieniu zespołu, muzyce i żartom oraz atmosferze pozwalającej swobodnie wyrażać obawy. Innych przyczyn nie potrafiła wymienić. – Znowu chwila ciszy tak przenikliwej i pełnej napięcia, że słyszę zgrzytanie zębów Bolgera. – Czy jej niewiarygodny wskaźnik sukcesu to wynik szczęścia? Być może. Nie mam pewności, choć byłem opiekunem jej stażu. Wiem jednak, że ktoś, kto ma tak niską śmiertelność, zasługuje na moje zaufanie, gdy stwierdza zgon. Nie zamierzam tego kwestionować. – Spogląda na Bolgera, a jego miłe, zmęczone spojrzenie zmienia się w stalowe, zimne i ostre. – Choć jest kobietą.

Siada i szeptem dziękuje M. Później spogląda na mnie, a ja uśmiecham się z wdzięcznością. Kiwa głową, w milczeniu dodając mi otuchy.

– Czy ktoś jeszcze chce zabrać głos? – pyta M i czeka w ciszy przez jakieś piętnaście sekund, a później przechodzi do kolejnej części.

– Pani doktor, po przejrzeniu dokumentacji i nagrań z zabiegu komisja chce zadać kilka pytań.

Wstaję i odchrząkuję. Gardło mam suche i ściśnięte, ale jestem gotowa. O ile można być na to gotowym.

– Doktor Wiley, przeanalizowaliśmy pani statystyki zabiegowe i zauważyliśmy, że w trzech innych przypadkach, gdy serce nie chciało podjąć pracy po operacji, poświęciła pani średnio czterdzieści trzy minuty na przywrócenie rytmu zatokowego. W jednym przypadku pracowała pani nad sercem pacjenta przez prawie dwie godziny. Czy to prawda?

– Tak. – Chyba. Nie pamiętam dokładnie, ale to nie czas i miejsce, by o tym mówić. Mnie nie skłamałaby w takiej sprawie.

– W takim razie pytanie brzmi: dlaczego tak szybko zrezygnowała pani ze starań o Caleba Donaghy'ego? Czym się różnił?

To pytanie wywołuje na moich wargach grymas goryczy, który udaje mi się powściągnąć, by nie został zauważony. *Inni moi pacjenci nie byli potworami, którzy zasługiwali na śmierć.* Oczywiście tego nie mogę powiedzieć.

– Sercem – odpowiadam spokojnie. Derreck byłby ze mnie dumny. – W większości przypadków wystarczy przepłukanie serca ciepłą solą fizjologiczną i napełnienie komór krwią, aby znów zaczęło bić. Owszem, może dojść do migotania, ale wtedy przy użyciu łyżek przywracamy rytm zatokowy. Z jego sercem było inaczej.

– W jakim sensie?

– Przepłukiwałam je ciepłą solą fizjologiczną przez prawie dwie minuty. – Zerkam w notatki w trakcie mówienia. – To jest nagrane, można sprawdzić. – M kiwa głową. – Potem poluzowałam zacisk i dopuściłam do serca krew, ale nic się nie wydarzyło. Nie pojawiło się nawet lekkie drganie. Absolutnie nic. – Rozglądam się wokół stołu. Na twarzach widzę zaciekawienie, mgliste współczucie, u Bol-

gera zaś wyraźną nienawiść. Adwokat szepcze coś M do ucha, a ona mu odpowiada.

– Czy coś takiego zdarzyło się już wcześniej? – pyta M.

– Nie, nigdy. Jeśli mogę tak to ująć, to serce było już martwe.

W chwili, gdy wypowiadam te słowa, mam ochotę przewrócić oczami. To idiotyczne stwierdzenie, choć prawdziwe. Derreck od razu rzuciłby ripostę i zapytał:

– Ach tak? Więc kto go zabił, jeśli nie pani?

Na szczęście M tego nie robi.

– Ale kontynuowała pani reanimację?

– Oczywiście. Przez cały czas, gdy pracowałam nad sercem, czy to za pomocą łyżek, czy masażu, nie wykryłam choćby najmniejszego ruchu, najlżejszego drgnienia. Nic. Dlatego stwierdziłam zgon.

– Pacjent był pod pompą, prawda? – pyta M. – Mogła pani prowadzić reanimację jeszcze przez wiele godzin. Jednak zdecydowała się pani zakończyć ją po dwudziestu trzech minutach. Dlaczego?

Nabieram powietrza do płuc w nadziei, że znajdę właściwą odpowiedź na pytanie, na które tak naprawdę nie potrafię odpowiedzieć. Pospieszyłam się ze stwierdzeniem zgonu dlatego, że zobaczyłam jego twarz? Nie mogłam się doczekać, aż zniknie, zjedzie na dół do kostnicy i zostanie zamknięty w chłodni?

Niczego bardziej nie pragnęłam. Bałam się, że jakimś pokrętnym zrządzeniem losu wróci do życia, zmusi mnie, bym zaszyła jego klatkę piersiową i pozwoliła mu żyć po tym wszystkim, co zrobił. Nie mogłam do tego dopuścić. Po prostu nie mogłam.

– Doktor Wiley? – ponagła mnie M.

Czuję, że w oczach zbierają mi się łzy. Wzdycham ciężko i zbieram myśli.

– Odpowiedź tkwi w temperaturze mięśnia sercowego – zaczynam z wahaniem, ale po chwili nabieram śmiałości. – Kardioplegia chroni serce, obniżając jego temperaturę niemal do zera. Po przywróceniu normalnej temperatury serce nie jest już chronione. Z technicznego punktu widzenia resuscytację można ciągnąć w nieskończoność, ale w rzeczywistości stan serca uszkodzonego w takim stopniu, że nawet nie migocze pod wpływem zastosowanych środków resuscytacyjnych i zastrzyków epinefryny, będzie się tylko pogarszać.

M rozgląda się po zebranych, ale nikt nie podnosi ręki. Doktor Seldon kiwa powoli głową. Fitzpatrick siedzi z zaciśniętymi ustami, jednak miny nie ma srogiej, raczej taką, która wskazywałaby na zawstydzenie z niezrozumiałego dla mnie powodu. Bolger trzyma ręce skrzyżowane na piersi, jest wściekły.

– Jeszcze jedno pytanie – mówi M. – Czy wie pani, dlaczego prokuratura zaangażowała się w sprawę tego pacjenta?

Kręcę głową.

– Przykro mi. Nie wiem. – Dobrze jest znów mówić prawdę. Prawdopodobnie zadzwonił tam Bolger, ale to tylko spekulacje, a nie mam zamiaru wskazywać nikogo palcem, dopóki nie będę mieć dowodów.

– W porządku, pani doktor – mówi M. – Mamy wystarczająco dużo informacji, aby sformułować wnioski.

Podawane z rąk do rąk arkusze papieru trafiają do M. Z tego, co widzę, są to identyczne, proste formularze z jednym pytaniem

i kilkoma odpowiedziami do wyboru. Na paru zauważam dopiski poniżej opcji odpowiedzi.

M szybko przegląda kartki, dzieląc się niektórymi odpowiedziami z radcą prawnym. Jedna z nich wywołuje gorącą dyskusję trwającą dobre dwie minuty, a mnie serce bije szybciej niż podczas porannego joggingu.

W końcu dyrektorka poklepuje kartki papieru, żeby wyrównać plik, i składa nad nimi ręce.

– Zdaniem komisji doktor Anne Wiley nie przyczyniła się do śmierci Caleba Donaghy’ego.

Biorę głęboki oddech. Zgromadzeni zaczynają zbierać dokumenty i wstają od stołu.

– Muszę przekazać jeszcze jeden wniosek – oznajmia M, podnosząc nieco głos, by usłyszano ją wśród gwaru. Wszyscy w sali natychmiast milkną. – Komisja uznała zachowanie doktora Bolgera za godne nagany i wysoce niestosowne zarówno w trakcie nagranych na wideo zabiegów chirurgicznych, jak i podczas posiedzenia tej komisji.

Bolger wstaje, sapiąc.

– Nie mówi pani poważnie, to szaleństwo.

Siedzący obok niego doktor Fitzpatrick chwyta go za rękaw i ciągnie, próbując zmusić do powrotu na miejsce.

– W związku z tym – kontynuuje niezrażona M – odpowiadając na wnioski członków komisji, doktor Bolger zostanie wysłany na urlop do czasu przeprowadzenia dochodzenia w sprawie oceny jego etyki zawodowej. – M milknie na chwilę i wzrokiem zmusza Bolgera do milczenia. – Komisja dziękuje panu za udział w postępowaniu. Może pan wyjść.

Wśród rozmów wywołanych ostatnimi komentarzami M dziękuję wszystkim i wychodzę jako pierwsza, czując na sobie wzrok zgromadzonych, gdy opuszczam salę konferencyjną. Bolger jest blady i wściekły, ale mnie to już nie obchodzi. Powietrze na korytarzu jest chłodniejsze, świeższe i łatwo się nim oddycha. Pędzę do swojego gabinetu, żeby przez kilka minut побыć w samotności.

Udało mi się.

Nie czeka na mnie policja, by mnie aresztować. Nie ma też Pauli Fuselier, jest tylko Madison z miną wyrażającą determinację i napięcie. Patrzy na mnie pytająco, po czym mnie przytula.

– Jest dobrze, Maddie – mówię, powstrzymując łzy. – Nie dopatrzonego się naszej winy. Daj znać zespołowi.

Znika, by zaparzyć mi filiżankę herbaty, ale wołam za nią, prosząc o kawę.

Siadam przy biurku kompletnie wyczerpana. Błądzą wzrokiem po pokoju, aż w końcu zatrzymuję go na zdjęciu Melanie w ramce na blacie. To stara fotografia, zrobiona kilka dni po tym, jak rodzice ją adoptowali. Bawiłyśmy się razem na podwórku. Tego dnia śmiała się, odchylając głowę do tyłu, z promieniami słońca na twarzy, obracała się i wirowała, jakby nigdy w życiu nie miała zmartwień. W końcu się zmęczyła, usiadła obok mnie na ławce i chwyciła mnie mocno za rękę. Wtedy właśnie ktoś nam zrobił to zdjęcie; mama, jeśli się nie mylę.

Obok ramki trzymam lakierowaną szyszkę, którą dostałam od niej na urodziny. Przyniosła ją z podwórka, a tata pomógł zamienić ją w prezent. Lakierowali ją razem, używając malutkich pędzelków, które wchodziły pomiędzy łuski. Podarowała mi tę szyszkę przewiąz-

aną zieloną kokardą, śpiewając „Sto lat” z promiennym, szerokim uśmiechem, który sprawił, że był to dla mnie piękny dzień.

Muskam palcami łuski szyszki, a później podnoszę zdjęcie i gładzę słodką twarz Melanie. Czuję tylko zimne szkło pod opuszkami i łzy spływające po policzkach. Jej oczy patrzą na mnie tak, jakby wciąż żyła, wciąż była ze mną.

Caleb Donaghy zasłużył na śmierć za krzywdę, jaką wyrządził mojej młodszej siostrze.

Pogodziłam się z tym, co zrobiłam.

Wciąż jednak nurtują mnie dwa pytania. Dlaczego serce nie chciało podjąć pracy? I dlaczego prokurator stanowa uznała, że należy się zająć sprawą Donaghy’ego?

DWADZIEŚCIA JEDEN

OFICJALNIE

Nie mam dużo czasu na rozmyślanie o Melanie po zebraniu komisji, ponieważ do gabinetu wkrótce schodzą się wszyscy członkowie mojego zespołu. Ledwie zdążę wysłać esemesy do mamy i Derrecka z informacją o wyniku przesłuchania, wpada do mnie doktor Seldon z gratulacjami. Lee Chen, zwykle małomówny, jest nadzwyczaj radosny, a Ginny ściska mnie co dwie lub trzy minuty.

Czuję się zawstydzona z powodu tych przejawów serdeczności.

Po chwili podnoszę rękę, żeby wszystkich uciszyć.

– Zostaliśmy oczyszczeni z zarzutów w związku ze śmiercią pacjenta. Właściwie to ja zostałam z nich oczyszczona, bo stwierdzenie zgonu i przeprowadzenie operacji należą do moich obowiązków. Nie zmienia to faktu, że straciliśmy pacjenta. Obiecuję, że nie przestanę badać szczegółów, dopóki się nie dowiem, dlaczego jego serce przestało bić.

– Nie wątpię. – Madison obejmuje mnie ze śmiechem. – Rozumiem, że wobec tego nie mogę dzisiaj zniszczyć tej czerwonej teczki?

– Nie, jeszcze nie.

– Wypowiedź godna przywódcy – stwierdza doktor Seldon, energicznie ściskając moją dłoń. – Proszę jednak nie popadać w obsesję.

Bywa, że tajemnice pozostają niewyjaśnione. To biologia, a nie inżynieria. Nie wszystkie żarówki zapalają się po naciśnięciu przełącznika i czasem nie wiadomo dlaczego.

Jego komentarze wzbudzają wesołość. Ktoś z tłumu bawi się włącznikiem światła na ścianie, pstrykając nim kilka razy, co wywołuje kolejne salwy śmiechu. Czuję ulgę po śmiertelnie groźnej burzy.

– Mamy całą listę pacjentów oczekujących w kolejce. Ten oddział pani potrzebuje, pani doktor – dodaje Seldon.

Uśmiecham się, kiwając głową.

– Dziękuję – szepczę nieco zdławionym głosem. – Za wszystko.

Seldon przepasza i wychodzi. Na czwartą po południu ma zaplanowaną operację, potrójne bajpasy, jeśli się nie mylę.

Madison proponuje, abyśmy spotkali się u mnie przy cieście za kilka godzin, po pracy. Wszyscy się rozchodzą, a ja zostaję wezwana do gabinetu M.

Szybko pokonuję opustoszałe korytarze. Dłonie mi się pocą, a serce bije mocno. Mam za sobą zbyt duży stres. Komisja przed chwilą uwolniła mnie od odpowiedzialności za śmierć pacjenta, ale mam złe przeczucia. Choć właściwie nie wierzę w przeczucia.

Teraz jednak mam powody.

Przy gabinecie M zaglądam przez szklane drzwi, zanim zapukam. Jest z Aaronem Timmerem, głównym radcą prawnym szpitala, i z jeszcze jednym mężczyzną. Wygląda znajomo. Wydaje mi się, że widziałam go w zeszłym tygodniu, jak czekał na kogoś z balonami w ręku. To pewnie krewny któregoś z moich pacjentów.

Ogarnia mnie strach, mam nadzieję, że nikt nie umarł. Moment byłby wyjątkowo niefortunny. W końcu pukam do drzwi, a M

pośpiesznym gestem zaprasza mnie do środka.

– Pani doktor, dziękuję za szybkie przybycie. To pan Adam Costilla, śledczy z biura prokuratora stanowego.

Krew odpływa mi z twarzy. Czuję też, że moje dłonie stają się lodowate, a serce desperacko tłucze się w klatce piersiowej.

Śledczy wyciąga do mnie rękę, ale ją ignoruję.

– Pani doktor, mamy kilka pytań dotyczących śmierci pani pacjenta, Caleba Donaghy’ego, gdy znajdował się w pani rękach.

Zerkam na M, ale nie ma szansy się odezwać. Uprzedza ją Aaron Timmer.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego prokuratura interesuje się tym konkretnym zgonem – pyta spokojnie. Podchodzi do śledczego, niemal spychając mnie na bok. Nie mam nic przeciwko temu.

Pytanie Timmera zbija śledczego z tropu. Cofa się o krok i wsuwa rękę do kieszeni długiego czarnego prochowca. Jest korpulentny i wkrótce zapewne zostanie pacjentem kardiologii w trybie pilnym, sądząc po fioletowo-czerwonych plamach na twarzy i szyi. Muszę się powstrzymać, by nie zaproponować, że zmierzę mu ciśnienie. Gdyby chodziło o kogoś innego, nie zawahałabym się.

– Poproszę moje biuro o przygotowanie oświadczenia, jeśli szpital sobie tego życzy. W tej chwili chciałbym zadać tylko kilka prostych pytań.

– Ja też mam pytanie – wyrywa mi się.

– Doktor Wiley – odzywa się M cichym, rozkazującym tonem, który ledwie słyszę. – To nie jest odpowiedni moment.

– Chciałabym wiedzieć, czy był tu pan w zeszłym tygodniu? – pytam, choć głos rozsądku w mojej głowie każe mi siedzieć cicho. Jest głośniejszy od cichych poleceń M, ale mimo to go ignoruję. – Czaił

się pan na korytarzu przed moim gabinetem z balonami, udając kogoś?

– Co takiego? – M natychmiast staje przed mężczyzną, trzymając dłonie na biodrach. – Czy to prawda?

Mężczyzna uśmiecha się nerwowo.

– To nie jest nielegalne. Prowadzę dochodzenie. Tak zwana obserwacja. Może słyszała pani ten termin? – Drapie się jednak w czoło. Jest zakłopotany. Pewnie nie spodziewał się, że go zauważę.

Obserwowali mnie? Co tu się, do cholery, dzieje? Jego słowa elektryzują całe moje ciało, nogi się pode mną uginają. Może założyli podsłuch w moim gabinecie lub w telefonie. Kto wie, do czego jeszcze się posunęli? Może wiedzą, o czym rozmawiałam z Derreckiem i o tym, że Donaghy nie był mi obcy. *O nie. Tylko nie to.*

Koszmarne wizje policji wywlekającej mnie stąd w kajdankach powraca z ogromną siłą. Kręci mi się w głowie i robi się słabo.

M szepcze coś pośpiesznie Timmerowi na ucho. On odpowiada jej szeptem, bardzo zwięźle, prawdopodobnie słowem lub dwoma. Następnie zwraca się do śledczego.

– Panie Costilla, chcielibyśmy uzyskać oficjalne oświadczenie prokuratora stanowego w sprawie tak zwanego śledztwa, które pan prowadzi. Dla jasności chciałbym, aby to oświadczenie zawierało numer sprawy i podpis prokuratora stanowego.

Costilli ze złości drży broda. Nie odzywa się – stoi tylko i wpatruje się w Timmera.

Prawnik robi krok do przodu.

– Proszę nie kazać mi dzwonić do Mitcha Hobbsa. Studiowaliśmy na jednym roku. Jeśli ma pan uzasadniony powód, by tu być i zadawać pytania, proszę przedstawić dokumenty.

Śledczy odwraca się i wychodzi bez słowa. Poły jego za dużego prochowca łopoczą wokół jego nóg niczym peleryna, nie jest on jednak superbohaterem.

Jest zwiastunem złych wieści.

MIEJSCE ZBRODNI

Przez kilka kolejnych dni Derreck nadal się nie odzywał. Paula sprawdziła telefon po raz piąty, odkąd się obudziła. Środy były ich dniem hotelowych spotkań na popołudniowy seks i snucie ambitnych planów dotyczących wspólnej przyszłości.

Istniała jeszcze szansa na wspólną przyszłość? Od weekendu napisała do niego dwa razy, ale nie odpowiedział. Czuła, że zerwał z nią kontakt, i nie mogła tego znieść. Była wściekła.

Nie obwiniała jednak Derrecka. To ona mu groziła i wywierała na niego presję. Jak po czymś takim mogła liczyć na miłość?

Miłość.

Jakie doniosłe słowo. Do zeszłego piątku nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że oczekuje miłości. Prawdopodobnie rozegrałaby karty nieco inaczej. Teraz wydawało jej się, że na związek z Derreckiem nie ma najmniejszych szans, zaprzepaściła je przez chorobliwą nienawiść do Anne Wiley.

Była gotowa zrobić wszystko, by zostawił żonę.

Wciąż czekała na znak, na wiadomość z nazwą hotelu i numerem pokoju, licząc na to, że znów będzie zaskoczona wyborem miejsca, jak dziecko w poranek Bożego Narodzenia. Wcześniej zmagiała się z trudną sytuacją finansową, przed Derreckiem nikt nie obdarowy-

wał jej wyszukanymi prezentami, a ona to zrujnowała, być może na zawsze. Nawet gdyby zaproponował wspólne popołudnie, jak mieliby wyglądać? Jak po tych jej groźbach miałby pójść z nią do łóżka? Byłby brutalny? A może zde gustowany, przepelniony nienawiścią, niezdolny znieść jej widoku?

Może i dobrze, że przez jakiś czas chciał zachować dystans. Może powoli tęsknota weźmie górę nad nienawiścią z powodu tego, czym mu groziła. Trzymała się tej irracjonalnej nadziei, jednocześnie obsesyjnie rozmyślając o martwym pacjencie Anne Wiley. Jeśli miała szansę na zdobycie tego, czego pragnie, to właśnie teraz. Kto wie, ile lat musiałoby minąć, zanim dostałaby drugą, zwłaszcza jeśli Derreck wygrałby wybory bez jej pomocy? Wtedy żyłby z żoną długo i szczęśliwie, jakby Paula nigdy nie istniała. Ona zostałaby porzucana, zapomniana szybciej niż nieistotna przygoda na jedną noc.

Nie radziła sobie z porzuceniem. Z pozostawieniem, odcięciem, tym, że pozbyto się jej jak starego buta. Nosila w sobie niewyobrażalną, niepohamowaną wściekłość, która niszczyła wszystko po drodze. Czula się niechciana jak tania dziwka.

Była na skraju wytrzymałości, niemal gotowa się poddać i ulec palącemu pragnieniu zemsty.

Naprawdę potrzebowała Derrecka jako prokuratora stanowego? Myśl o zależności od niego – lub kogokolwiek innego – przyprawiała ją o mdłości. Ludzie kłamali, zdradzali i zasadniczo nie można było im ufać. Sama miała większe szanse na stanowisko prokuratora stanowego. Jeśli dobrze rozegra wszystkie karty.

Ponownie sprawdziła telefon. Nadal nic. Stłumiła pełne goryczy i frustracji westchnienie i ruszyła do swojego gabinetu, skinieniem głowy odpowiadając na powitania współpracowników.

- Dzień dobry – powiedziała Marie, gdy Paula mijiała jej biurko. – Wzywają cię na miejsce zbrodni – dodała, kiedy Paula wchodziła do swojego gabinetu.

Odwróciła się i podeszła do biurka asystentki.

Marie wpatrywała się w swoje dokumenty z nadmiernym zainteresowaniem, najwyraźniej unikając wzroku przełożonej.

- Co się stało? – zapytała Paula. – Adam się tym nie zajmie?

Marie zerknęła szybko na przełożoną.

- To on cię wezwał. Potrzebuje cię.

Paula zmarszczyła brwi. To nie było normalne.

- Powiedział dlaczego?

Marie spojrzała na nią ponownie, ale od razu spuściła wzrok.

- Niestety nie, a ja nie pytałam. Wiem tylko, że chodzi o strzelaninę z Espinozą.

Kłamała, lecz Paula nie chciała tracić czasu na wypytywanie asystentki, jakby miała do czynienia z podejrzaną o morderstwo. Wkrótce się dowie, dlaczego tak zdawkowo informowała ją o tym miejscu zbrodni.

Przez chwilę miała nadzieję, że Vicente Espinoza wyskoczył z balkonu, ale przypomniała sobie, że przecież siedzi w więzieniu, do którego w zeszłym tygodniu posłał go sędzia, stawiając go w stan oskarżenia. Dzięki temu Simonowi Degnanowi nic nie groziło i nie musiał składać zeznań.

- Zastanawiam się, dlaczego Adam nie zadzwonił do mnie na komórkę – mruknęła, ponownie sprawdzając telefon. – Wyślij mi adres, dobrze?

Wyszła, nie czekając na odpowiedź. Zanim dotarła do samochodu, telefon zabrzączał, informując o wiadomości od asystentki.

Adres znajdował się w odległości zaledwie przecznicy od miejsca zbrodni Espinozy. Znalazła wyłączoną z ruchu uliczkę, na której roilo się od policjantów. Furgonetka lekarza sądowego hrabstwa Cook, z szeroko otwartymi tylnymi drzwiami, bez noszy, już tu była.

Pokazała legitymację, schyliła się, przeszła pod żółtą taśmą policyjną i od razu ruszyła tam, gdzie skierował ją młody policjant. Po paru metrach pokonanych szybkim krokiem rozpoznała w tłumie potężną postać Adama.

Stał kilka kroków od miejsca, na którym skupiała się uwaga wszystkich: najprawdopodobniej było to ciało, być może ofiary morderstwa.

Podeszła do niego i dotknęła jego łokcia.

– Hej, Adam, co jest?

Spojrzał na nią zbolalym, pustym wzrokiem.

– Sama zobacz. – Skierował ją pchnięciem w plecy. Minęła wciąż puste nosze lekarza sądowego i spojrzała pytająco na Adama. – Poprosiłem, żeby na ciebie poczekali. Uznałem, że powinnaś to zobaczyć na własne oczy.

Zrobiła jeszcze dwa kroki i dostrzegła ciało. Westchnęła i poczuła przyływ mdłości. Simon Degnan leżał w kałuży krwi, z dwiema dziurami po kulach w wąskiej klatce piersiowej. Oczy miał wciąż otwarte, jasne, w jego tęczęwkach odbijał się lazur wiosennego nieba.

– Masz – powiedział Adam bezlitośnie zimnym tonem. – Tak się kończy wciąganie dzieci do tych spraw, Paula.

Złapała go za kłapę, chcąc na niego nakrzyczeć i przywołać go do porządku, ale żołądek podszedł jej do gardła i dopadł ją odruch

wymiotny, więc zakryła usta dłonią.

- Lepiej, żebyś nie skaziła miejsca zbrodni. - Odciągnął ją na bok, trzymając za łokieć w żelaznym uścisku, i wyprowadził z okolicy miejsca zbrodni pod ścianę budynku. Przyparł ją do muru, ale nie zwróciła na to uwagi, bo wciąż walczyła z mdłościami.

- Byłem gliniarzem z prawie dwudziestoletnim doświadczeniem na chicagowskich ulicach, a ty świeżo upieczoną panią prokurator z intuicją, ambicjami i inteligencją, jakich nigdy wcześniej u nikogo nie widziałem. Pamiętasz, co mi powiedziałaś? - Krzyczał na nią z włoskim akcentem teraz bardziej słyszalnym niż zwykle.

Znów westchnęła, nie mogąc wymazać z pamięci obrazu Simona Degnana leżącego we krwi na asfalcie. Miała ją na swoich rękach, tę krew. Mogła wnieść sprawę do sądu bez jego zeznań, nie informując Hobbsa, i wygrać ją na podstawie samych dowodów. Mogła zaryzykować, ale była zbyt podekscytowana awansem i tym, co oznaczał dla jej przyszłości.

- Dzieci nie wciągamy - wykrzyczał jej w twarz. - Ty mnie tego nauczyłaś. Nie kto inny. Żyjesz tylko tą lekarką i jej martwym pacjentem, a nawet nie prowadzimy takiej sprawy. - Dotknął dłonią czoła, spacerując w miejscu, wyraźnie przybity. - A ja się dałem wciągnąć w twoje głupie gierki.

Nabrała haust zimnego porannego powietrza, starając się uspokoić żołądek.

- Owszem, prowadzimy sprawę i przedstawię ją ławie przysięgłych już w przyszłym tygodniu.

- Więc jesteś bardziej szalona, niż myślałem - warknął. - Ryzykujesz karierę na darmo. Myślisz, że skoro ja się dowiedziałem

o twoim romansie z mężem tej lekarki, nie dowie się tego jej prawnik? Jezu, kobieto, chyba jesteś na to za mądra?

Słowa Adama były jak cios w brzuch. Wiedział o Derrecku. Jej myśli zaczęły wirować, zastanawiała się, co powiedzieć, jak skłonić go do wykonywania jej polecenia.

– Nie rozumiesz. O tym, że zabiła tamtego faceta, dowiedziałam się właśnie dzięki romansowi.

– Mówisz poważnie? – Adam podrapał się w czoło ze złością, jakby w jego głowie działo się coś złego. – W takim razie powinnaś oficjalnie wszcząć sprawę albo w ogóle przestać się tym zajmować, zanim zrujnujesz karierę sobie i mnie. Szpital nie zamierza czekać z założonymi rękami.

Spojrzała poza niego, na lekarza sądowego i jego asystenta, kładących ciało Simona na wózku z noszami, który zaczęli pchać w kierunku furgonetki. Zacisnęła na chwilę powieki, by uwolnić się od tego obrazu, ale jej się to nie udało. Wyrył się w jej pamięci.

– Jestem śledczym, Paula. Nie twoim egzekutorem. Badam oficjalne sprawy, a jeśli istnieją uzasadnione, zgodne z prawem podstawy, stawiam podejrzanym zarzuty. To moja robota. Siedziałem w szpitalu, zamiast pracować nad sprawą Espinozy, a ten chłopak zginął na ulicy zastrzelony jak jakiś śmieć. Nie miał szans, Paula, i dobrze o tym wiesz.

Łza spłynęła po jej twarzy. Miał rację. Była winna śmierci Simona.

– Nakaz został doręczony dziś rano, jak kazałaś – ciągnął Adam. – Dwie godziny później go zabili. – Spojrzał na nią, a ona spuściła wzrok. – Kiedyś troszczyłaś się o dzieciaki takie jak on. Co się z tobą

stało? Tylko mi nie mów, że zakochałaś się w tym cwaniaczku, który chce zostać burmistrzem.

Jego zarzut ją rozwścieczył, przeszył jak nóż.

– Tak właśnie myślisz? Naprawdę? Tym się teraz zajmujemy? Wyrzutami i oskarżeniami wbrew zdrowemu rozsądkowi? Jeśli straciłeś zaufanie do mojego osądu, a wygląda na to, że tak, to może czas poprosić o przeniesienie.

Oszołomiony, wpatrywał się w nią w milczeniu z otwartymi ustami.

– Zwalniasz mnie?

– Sam się zwalniasz. – Wyprostowała się i dumnie zadarła głowę. – Jestem twoją przełożoną i zdawało mi się, że także przyjaciółką. Dlatego zawsze mogłeś swobodnie dzielić się ze mną swoimi przemyśleniami, ale dziś posunąłeś się za daleko. Nigdy nie przekroczyłam uprawnień na stanowisku, które zajmuję. Nigdy. A ty zwracasz się do mnie jak do skorumpowanej łajdaczki z jakimś ukrytym planem. Nie widzę wyjścia z tej sytuacji.

Ramiona Adama opadły pod ciężarem jej słów. Stał bez słowa, a ona zastanawiała się, co zrobić. Powinna go zwolnić, ale brał udział w śledztwie w sprawie Anne Wiley, a poufne informacje w rękach niezadowolonego byłego pracownika byłyby niczym dynamit.

Westchnęła i lekko chwyciła Adama za łokieć. Nie odsunął się, tylko spojrział na nią z rezerwą.

– Sytuacja jest wystarczająco trudna – powiedziała, starannie dobierając słowa. – Jestem skłonna puścić wszystko w niepamięć ze względu na to, że jesteśmy zdruzgotani z powodu śmierci Simona. – Zamilkła na chwilę, żeby dać mu czas na oswojenie się

z tym, co powiedziała. – Oboje wypowiedzieliśmy słowa, które nie powinny były paść. Owszem, zgadzam się, mogliśmy postąpić inaczej, zapobiec zmuszeniu Simona do składania zeznań, ale zapewniam cię: wyciągnęłam wnioski. Już wiem, że lepiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie, i odtąd będę trzymała dzieci z dala od sądu bez względu na wszystko.

Spojrzał na nią z cieniem powątpiewania w oczach. Był doświadczonym gliniarzem, bystrym, mądrym i przebiegłym. Nie miała pewności, czy go przekonała.

– A co ze sprawą lekarki? Widziałem ją, nie jest Tedem Bundym.

– Czy ty mi w ogóle ufasz?

Przytaknął, charakterystycznie wzruszając jednym ramieniem, ale postanowiła udawać, że tego nie zauważyła.

– Więc zaufaj mi i teraz. Tak opracuję tę sprawę, że ława przysięgłych nie będzie miała wątpliwości.

Na chwilę odwrócił od niej wzrok, po czym znów go w nią wbił, przenikliwy i czujny.

– Wtajemnicz mnie. Jeśli mi ufasz, powiedz, co wiesz.

Tego obawiała się najbardziej. Nie mogła mu nic wyjawić. Popełniła duży błąd, angażując go w swoje porachunki, tyle wiedziała. Ale było za późno, by się wycofać.

– Daj mi jeszcze dwa dni – poprosiła. – Później pomożesz mi podjąć decyzję, w jaki sposób postawić Anne Wiley przed sądem za morderstwo.

– Widzisz, Paula? – zadrwił Adam. – Tak wygląda problem z zaufaniem. W tej chwili nie ufasz mi ani trochę. – Był wyraźnie rozczarowany i dało się słyszeć powątpiewanie w jej słowa, a nawet

że jest podejrzliwy. – Widzę to tak: chcesz załatwić żonę swojego kochanka i wykorzystujesz do tego stanowisko.

– Jezu, Adam... Jeśli tak o mnie myślisz, to naprawdę nie możemy dalej razem pracować.

– Więc przekonaj mnie, że jest inaczej. Rozpracujmy tę sprawę zgodnie z zasadami, jeśli są do tego podstawy.

– Nie. Chcę, żebyśmy się skupili na ujęciu zabójcy Simona Degana. W przypadkach morderstwa na zlecenie pierwszych kilka godzin ma kluczowe znaczenie. Espinoza siedzi, więc za spust pociągnął kto inny. Nie chcę tracić czasu na sprawę lekarki, dopóki sprawca nie trafi za kratki.

Adam wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym odwrócił wzrok.

– Jasne, Paula, jak sobie życzysz. – Ruszył do swojego auta, zostawiając ją samą, porzuconą jak zapomniane zeznania.

Sukinsyn.

Idąc żwawym krokiem do samochodu, próbowała się uspokoić, wmawiając sobie, że wszystko się poukłada, że każdy klocek trafi na właściwie miejsce. Ale jak zamierzała to osiągnąć?

Droga powrotna do biura upływała jej powoli i w napięciu, ruch nadal był duży. Wybrała autostradę międzystanową, która z powodu niekończących się kolejek do punktów poboru opłat okazała się równie zakorkowana jak całe miasto.

Jadąc dziesięć kilometrów na godzinę, przyglądała się pejzażom. Na nieskazitelnie błękitnym niebie nie wisała ani jedna chmurka, która mogłaby zepsuć ciepły wiosenny dzień. Jej uwagę przykuł billboard przy autostradzie. Uśmiechała się z niego do niej doktor Anne Wiley z twarzą modelki i śnieżnobiałymi zębami, układająca

wypiełgnowane palce w kształt serca. Na jednym z palców zauważyła fragment złotej obrączki, identycznej jak ta, którą widziała u Derrecka.

Ten idealny obraz był esencją tego, czego nienawidziła najbardziej. Ją i ludzi takich jak biedny Simon Degnan, leżący martwy na ulicy osiedla socjalnego, dzieliła przepaść od takiego życia. Żółć podeszła jej do gardła, krew zawrzała w żyłach.

– Przysięgam, że zabiorę ci wszystko, co kochasz, stracisz to bezpowrotnie – wyszeptała, wpatrując się w billboard, pobielającymi palcami ściskając kierownicę, jakby była jej ostatnią deską ratunku. – Nie odpuszczę, dopóki nie zostaniesz sama jak palec, z niczym.

DWADZIEŚCIA TRZY

ALBUM

Kiedy w środowy wieczór w końcu wracam do domu, jestem wyczerpana. Nękający mnie bez przerwy stres zbiera żniwo, choć zażywam beta-blokery i zaczęłam medytować. To pomaga, ale nie jest w stanie całkowicie ochronić mnie przed brutalną rzeczywistością.

Wciąż toczy się dochodzenie. Policjant obserwował mój gabinet. Dom również może być pod obserwacją, poza tym telefony, wyszukiwania w internecie... Kto wie, co jeszcze? Może nawet już tu byli i przeszukiwali moje rzeczy. A może tak jest tylko w filmach: policjanci wchodzą bez nakazu i uchodzi im to na sucho. W prawdziwym życiu coś takiego nie ma prawa się zdarzyć. Nie nam.

Mama wybyła na swoją partyjkę kart i bez niej dom tonie w ciszy. Derrecka wciąż nie ma, ale obiecał, że wróci wcześniej niż zwykle. Mówił, że przez jakiś czas nie będzie spotkań wyborczych, czy coś takiego. Byłam pochłonięta własnymi lękami, nie przysłuchiwałam się uważnie. Pamiętam tylko, że ma wrócić do domu wcześniej, i tylko to się liczy.

Muszę go gdzieś zabrać, może do naszej ulubionej chińskiej restauracji, i powiedzieć o moich obawach związanych z niekończącym się śledztwem. Nie mogę rozmawiać o tym w domu. Może nas podsłuchują? Paula Fuselier nie zjawiała się u mnie więcej, śledczy z nad-

ciśnieniem też nie, ale to nie łagodzi lęku. Wręcz przeciwnie – otwiera drzwi do regularnej paranoi. Choć po prawdzie, to żadna paranoja – chcą mnie dopaść za coś, co faktycznie zrobiłam. Więc zmagam się raczej z poczuciem winy, strachem i uzasadnionymi obawami.

Ponieważ zamierzam wyjść z Derreckiem na kolację, nie przebi-eram się i nic nie jem. Nie kusi mnie nawet butelka wina w lodówce. Zadowalam się ciasteczkiem z masłem orzechowym. Nie jestem głodna. Nic dziwnego.

Idę na górę i zatrzymuję się przed drzwiami Melanie. Są zamknięte od lat. Jestem pewna, że mama wchodzi do środka, sprząta, odkurza i tak dalej; zdziwiłabym się, gdyby tego nie robiła. Ale ja nadal nie mogę tam wejść.

Kładę obie dłonie na lakierowanym drewnie, opieram się o drzwi, dotykając ich policzkiem, i wdycham ich zapach. Pachną sosną, lakierem i wonią starych mebli. Zamykam oczy i dźwięczny śmiech Melanie znów ożywa, zwodniczo realny, pełen dziecinnej radości. W moich wspomnieniach śpiewa. *Twinkle, Twinkle, Little Star*. Znacznie wolniej od oryginalnej wersji – brzmi zabawnie, dziwnie, jakby przeciągała melodię, by trwała jak najdłużej. Tamtej zimy miała dziesięć lat i zupełnie oszalała na punkcie Bożego Narodzenia. Robiła spis rzeczy, jakie chciała dostać, i opowiadała o nich każdemu, kto chciał słuchać. Napisała nawet list do Świętego Mikołaja. Nie pragnęła zbyt wiele. Na jej liście znajdowało się głównie spędzanie czasu z siostrą, wspólne śpiewanie piosenek, czesanie włosów nową, ozdobną szczotką i spanie z siostrą w noc Bożego Narodzenia.

Ze mną.

Jej miłość napełniała moje serce ogromną radością. Chcę wspominać, zegniam się więc z zamkniętymi drzwiami i schodzę do mojego pokoju.

Jest w nim chłodniej, niż się spodziewałam. Okno zajmujące całą wysokość ściany przepuszcza chłód szybciej niż inne okna w starym domu. Drżąc, owijam się szalem, który trzymam tu z tego powodu.

Siadam przy biurku w holenderskim fotelu i zapraszam wspomnienia, witając je jak starych dobrych przyjaciół. Sięgam do lewej kolumny szuflad i otwieram dolną. To w niej przechowuję duży album z fotografiami z dzieciństwa. Wyciągam go i kładę na biurku. W błyszczącej okładce odbija się światło gabinetowej lampki w odcieniach ciepłej bieli z tęczową obwódką. Pachnie zakurzonym plastikiem i chemikaliami używanymi dawniej do wywoływania zdjęć.

Pachnie domem, rodziną.

Nie poświęcam dużo czasu na oglądanie zdjęć z czasów, gdy byłam jeszcze jedynaczką. Moją uwagę przykuwa tylko to, na którym siedzę na kolanach ojca podczas rodzinnego obiadu, z którego nic nie pamiętam. Nie ma wielu zdjęć taty: to on zwykle trzymał aparat, a jego nieobecność w albumie jest ceną za sumienną pracę dokumentacyjną, jakiej się podejmował.

Przewracam kolejne szeleszczące karty i jestem coraz starsza, a odcienie stają się coraz jaśniejsze.

Zawsze chciałam mieć siostrę. Rodzice dużo pracowali i wciąż pamiętam samotność i ciszę w domu, kiedy ich nie było, mimo obecności niań – zazwyczaj miłych, uprzejmych młodych kobiet, które szczególnie się mną nie przejmowały. Niektóre studiowały i czas spędzany w naszym domu wykorzystywały na naukę lub

czytanie na kanapie w salonie. Inne wołały oglądać telewizję albo spać, a jedna tak bardzo lubiła pichcić, że gotowała obiad dla całej rodziny. Żadna z nich nie skupiała się na mnie.

Kiedy byłam młodsza, wierzyłam, że właśnie dlatego moi rodzice adoptowali Melanie – ponieważ tak bardzo pragnęłam mieć siostrę. Mój dorosły umysł podpowiada mi, że oni równie mocno musieli chcieć kolejnego dziecka. Mama kilka lat po moich narodzinach przeszła histerektomię, więc jedynym sposobem na spełnienie naszego wspólnego marzenia była adopcja.

Nie wyjawili mi wtedy, że rozważają adopcję. Nie powiedzieli nic, gdy wypełniali dokumenty i czekali na zgodę. Mama nie pisnęła słowem, kiedy zaczęła spędzać więcej czasu w sypialni, która miała się stać pokojem Melanie, sprząając ją, odnawiając, meblując i dekorując, by przygotować ją na przybycie nowej lokatorki. Miałam wtedy czternaście lat, właśnie odkryłam świat randek i Backstreet Boys, a na moim discmanie non stop leciało *Quit Playing Games*. I właśnie zaczęłam liceum. Byłam tym wszystkim tak pochłonięta, że nie zorientowałabym się, nawet gdyby mama w tej wolnej sypialni ulokowała jednorożca.

Przerzucam kolejną stronę i się uśmiecham – radosny wyraz twarzy Melanie jest tak zaraźliwy, że nie mogę się powstrzymać. To kolejne zdjęcie wykonane w dniu adopcji, uwieczniające moment, w którym jej o tym powiedziano. W szeroko otwartych oczach widać ogromną radość i zaskoczenie, a rozdziawiona buzia rozciąga się w najpiękniejszym z uśmiechów. Melanie jaśnieje na ponurym tle podwórka sierocińca, pełnego innych dzieci snujących się w pobliżu, zaciekawionych – niektóre obserwowały nas ostrożnie,

jakbyśmy byli czającymi się w mroku drapieżnikami, inne pełnymi nadziei, błagalnymi spojrzeniami.

Uwielbiam to zdjęcie. Przedstawia moment, w którym po raz pierwszy zobaczyłam Melanie. Tata umieścił ją na środku ujęcia, a brzydka opiekunka o wrednym wyglądzie znalazła się poza kadrem. Pamiętam ją. Była kręłą kobietą z dużym biustem w poplamionym niebieskim kitlu. Pamiętam ją, ponieważ ani razu się nie uśmiechnęła; pomyślałam wtedy, jak straszne musi być dla tych dzieci przebywanie w pobliżu dorosłej osoby, która nie potrafi spojrzeć na nie z najmniejszą dozą życzliwości. Dzięki tacie nie ma jej na mojej ulubionej fotografii Melanie.

Mam zamiar przewrócić stronę, ale nie mogę się oderwać od tego zdjęcia. Ostrożnie, by nie uszkodzić krawędzi, wyjmuję je z celofanowej kieszonki i kładę na biurku, opierając o książkę. Chcę je mieć w szpitalnym gabinecie, w ramce obok tej, która stoi na biurku. Spędzam tam znacznie więcej czasu niż w domowym biurze i chciałabym mieć młodszą siostrę na więcej niż jednym zdjęciu.

Przewracam kartkę i wspominam. Na większości fotografii jesteśmy obie – robimy zakupy, bawimy się w chowanego na podwórku, otwieramy prezenty w świąteczny poranek. Ja wkładam suknię na szkolny bal, a Mel podnosi jej rąbek, próbując założyć na siebie choć fragment. Tego dnia płakała, bo nie mogła pójść ze mną i z moim chłopakiem na bal. Pozwoliłam, żeby przez chwilę mnie czesała. Uwielbiała to robić, sprawiało jej radość.

Następne zdjęcie, na którym prowadzę samochód – tata siedzi na miejscu pasażera, a Melanie wsuwa głowę pomiędzy przednie fotele, wyciągając język z fioletowymi plamami po lodach jagodowych. To zdjęcie zostało zrobione w dniu, w którym dostałam prawo

jazdy. Miałam szesnaście lat. Ona była jedenastoletnim żywym srebrem i nie było po niej widać śladów strasznych doświadczeń, jakie przeszła.

Rodzice zapisali ją na terapię. Wtedy jeszcze nie wiedziałam po co. W typowy dla siebie nadopiekuńczy sposób wytłumaczyli mi, że ma to jej pomóc przystosować się do życia w rodzinie zastępczej. Patrząc na inne zdjęcie Melanie, na którym została uchwycona w chwili nieświadomości, że jest fotografowana, stała w sypialni i wyglądała przez okno z nutą melancholii w oczach, uświadomiłam sobie, że nigdy się nie dowiedziałam, jak to się stało, że została sierotą. Pewnego dnia może zapytam mamę.

Na terapię chodziła przez jakieś trzy lata, najprawdopodobniej z powodu stresu pourazowego. Tata znalazł dobrą, łagodną terapeutkę, która zawsze witała nas życzliwym uśmiechem, gdy przywoziłyśmy Melanie na sesję. Podrzucałam ją tam z mamą. Mama zrezygnowała z pracy jakiś miesiąc lub dwa po adopcji i została w domu. Prawdopodobnie chciała być przy Melanie, żeby zauważyć pierwsze oznaki problemów, gdyby się pojawiły, i móc interweniować.

Z tego, co pamiętam, nic nie zwiastowało kłopotów. Melanie sprawiała wrażenie szczęśliwego, zdrowego dziecka uwielbiającego zabawę i śmiech. Dobrze radziła sobie w szkole; była bystra i wyglądało na to, że nie ma najmniejszych problemów ze skupieniem się czy nadrobieniem zaległości w nauce. Jeśli miała jakieś braki, pod ręką byłam ja jako korepetytorka.

Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Nic nie przypominało nam o tym, co przeszła.

Aż pojawiły się nocne lęki.

Przy pierwszym ataku paniki Melanie krew zastygła mi w żyłach, a jej głośny wrzask sprawił, że oddech uwiązł mi w płucach. Ruszyłam do jej pokoju i wpadłam na rodziców biegnących z przeciwnej strony korytarza. Zastaliśmy ją nie do końca przytomną, szlochającą, zlaną potem, błagającą, by przestano ją krzywdzić.

Te ataki zaczęły się pojawiać mniej więcej po dwóch latach terapii. Terapeutka wyjaśniła rodzicom, że to normalne, ponieważ Melanie w końcu zaczyna przepracowywać swoją traumę. Byłam pełna wątpliwości, ale miałam wtedy osiemnaście lat. Nie pamiętam, żebym tę moją niepewność wyrażała, po prostu nosiłam ją w sobie. *Czy terapeutka nie mogła zapobiec tym atakom?* Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co przeżyła moja młodsza siostra. Niczego jeszcze nie rozumiałam.

Trwało to jakiś czas – na dźwięk mrozących krew w żyłach krzyków w środku nocy pędziliśmy, by uspokoić Melanie. Nikt już nie wracał do łóżka, siedzieliśmy z nią, dotrzymując jej towarzystwa, rozmawiając w jej sypialni przy zapalonym świetle. Tata powiedział, że patrzenie na światło wymazuje wspomnienia koszmaru. Wypróbowałam to na sobie i rzeczywiście tak było.

Koszmary nie dręczyły jej, gdy spała ze mną. Ale ja dorastałam, chciałam do późna rozmawiać przez telefon z moim chłopakiem albo czytać czasopisma, o których mama nie wiedziała. Nie miałam serca powiedzieć Mel, żeby nie przychodziła do mojego pokoju, ale wyręczyła mnie terapeutka – stwierdziła, że spanie ze mną nie jest wyjściem z sytuacji.

Dzięki terapii i szkolnym zajęciom sportowym nocne lęki powoli się wyciszały. Melanie rosła szybko i stawała się coraz piękniejsza. Na innej stronie widać ją w wieku około trzynastu lat, jak

przymierza sukienki. Tata chciał, żebyśmy całą czwórką wybrali się na coroczną zbiórkę pieniędzy dla szpitala, a ona była zachwycona. W końcu mogła włożyć strój dużej dziewczynki i pójść na prawdziwe przyjęcie.

Ten dzień uwieczniają trzy zdjęcia, a czwarte, zrobione przeze mnie, pokazuje Melanie tańczącą z tatą.

Wpatruję się w nie przez długi czas, bo nie mogę się zmusić do przewrócenia kartki. Mój wzrok nie chce się oderwać od tych dwóch twarzy, za którymi tak bardzo tęsknię, ale mam też inny powód. Wiem, co mnie czeka po przewróceniu strony.

Pustka.

Dalej już nie ma zdjęć.

Po śmierci Melanie nikt nie zrobił ani jednej rodzinnej fotografii.

Powoli zamykam album i odkładam go na miejsce. Delikatnie wsuwam szufladę, boleśnie świadoma ciszy, która spowija dom zbudowany przez mojego tatę z myślą o roześmianych wnukach.

Z oddali dobiega dźwięk syreny policyjnego radiowozu. Wciąż mnie płoszy: nadal boję się tego, że w końcu po mnie przyjdą, ale cieszę się z tego, co zrobiłam.

Choćby mieli mnie za to ukrzyżować, pozbawić wszystkiego, co jest mi drogie. Rodziny, pracy, tego, co zdobyłam z takim wysiłkiem.

Mimo wszystko będę twierdzić, że było warto. Ten drań nie zasługiwał na życie.

Gdybym wiedziała, jak odnaleźć mężczyznę, którego widziałyśmy tamtego dnia w parku, szukałabym go i... nie wiem co, ale coś bym zrobiła. Poprosiłabym tatę, żeby pomógł mi się zemścić. Ale nie wiedziałam, kim jest, jak się nazywa ani nic poza tym,

co zobaczyłam tamtego dnia z Melanie. Zakola u mężczyzny po trzydziestce. Bordową plamę na czole, w kształcie litery R, z trzema kroplami u dołu z lewej strony znamienia. Tego nie da się zapomnieć.

Teraz znam jego nazwisko. Mam nadzieję, że zgnije w piekle.

Odsuwam krzesło i wstaję, podnosząc z biurka zdjęcie Melanie, by wsunąć je do torebki.

Chwilę później zjawia się Derreck. Witam go z otwartymi rami-
onami i zapraszam na kolację do lokalnej chińskiej knajpki, którą
oboje uwielbiamy.

Ciężko mi na sercu. Zaraz zepsuję mu dzień.

DWADZIEŚCIA CZTERY

ARESztOWANIE

Na poszukiwanie informacji na temat człowieka, który zastrzelił Simona Degnana, Adam poświęcił trzy dni. Paula nigdy nie widziała go tak zdeterminowanego, wręcz zacieklego. Odwracała głowę, gdy agresywnie przesłuchiwał podejrzanych, a przychodziło jej to bez trudu, bo jego praca służyła ich wspólnemu celowi. Ostatecznie zwyciężyła stara dobra praca detektywistyczna, a nie poranione palce i zeszłoroczna książka telefoniczna.

Ponieważ Espinoza siedział w więzieniu, Paula i Adam przejrżeli rejestr odwiedzin oraz wychodzących i przychodzących połączeń telefonicznych. Nie odwiedzał go nikt z wyjątkiem wyznaczonego przez sąd adwokata z kilkuletnim doświadczeniem. Takiego prawnika Espinoza z pewnością nie namówiłby do zorganizowania zabójstwa.

Z rejestrem połączeń telefonicznych sprawa wyglądała zgoła inaczej. Przez całą wtorkową noc i większość środy sprawdzali wszystkich, którzy dzwonili do więzienia lub odbierali telefony po aresztowaniu Espinozy. Wykluczyli adwokatów, członków rodzin aresztowanych, a także bezpłatne numery pomocy adwokackiej na odległość i pozostało im siedemnaście nazwisk oraz trzy numery telefonów na kartę, których właścicieli nie mogli namierzyć.

Adam wyruszył na miasto szukać sprawcy, który odpowiadałby profilowi. Zabójstwa na zlecenie człowieka postawionego tak nisko jak Espinoza musiał się podjąć ktoś równy jemu lub z pozycją niższą, żądny szybkiej gotówki i mający niewiele do stracenia.

Do tego profilu pasowało trzech z siedemnastu mężczyzn. Byli to dawni więźniowie – jeden przebywał w zakładzie dla psychicznie chorych, drugi był uzależniony od narkotyków i właśnie wyszedł na wolność po odsiedzeniu siedmiu lat za napaść, a trzeci pięć lat temu siedział z Espinozą w jednej celi. Adam nie tracił czasu na dwóch pierwszych. Postawił na trzeciego. W piątek rano około dziesiątej zadzwonił do Pauli i poprosił o nakaz aresztowania. Dostarczyła go osobiście.

Mężczyznę zastał pijanego na brudnym materacu w mieszkaniu trzy piętra nad mieszkaniem Espinozy. Na blacie kuchennym leżało prawie dziesięć tysięcy w nowiutkich banknotach studolarowych, brakowało prawdopodobnie jednego lub dwóch. Wykorzystano je najpewniej na zakup dużej pizzy pepperoni z dodatkowym serem, którą raczyły się karaluchy, gdy Adam wyważył drzwi.

Zakuł żalostnego gnojka w kajdanki i poderwał z łóżka. Facet nie odzyskał przytomności i zwisał bezwładnie, aż w końcu Adam, ciężko dysząc, z obrzydzeniem pozwolił mu opaść z powrotem na materac.

Paula wpatrywała się w podejrzanego, marszcząc nos.

– Masz pewność, że to on? – Fetor był nie do zniesienia.

Adam wzdrygnął się, wskazując plik banknotów na blacie.

– A kto inny?

Zaczął szukać w mieszkaniu narzędzia zbrodni. Po kilku minutach otwierania i zamykania szafek w rękawiczkach znalazł je

pod umywalką w łazience, zawinięte w starą gazetę.

Przytrzymując pakunek dwoma palcami, rozdeptał karalucha, który spadł z gazety.

– Szlag... co też człowiek musi robić dla pieniędzy. – Odwrócił się do Pauli z uśmiechem. – Mam. – Wysunął magazynek i potrząsnął nim, by wyrzucić pozostały nabój, po czym przytknął go do nosa. – Niedawno używany. Możemy zaczynać.

Paula spojrzała na mężczyznę zwiniętego w kłębek, z głową na materacu i nogami w nienaturalnej pozycji, jaką potrafią przyjąć tylko pijani. Kandydat do zatrzymania, niestety, nie wyglądał atrakcyjnie, ale zamordował dziecko, więc aresztowanie było ważnym wydarzeniem. I dobrą okazją, by zwabić burmistrza do powrotu do gry.

– Dasz mi trzydzieści minut, Adam?

– W tej norze? Żartujesz?

– Bardzo cię proszę – powiedziała z nutą stanowczości w głosie.

– Jasne, szefowo – odparł, gestykulując obiema rękami. – Proszę bardzo. Ja tu sobie postoję i powącham róże.

Wyciągnęła z kieszeni telefon i zawahała się, przyglądając się uważnie podejrzanemu.

– Przydałoby się, żeby na imprezie, którą dla niego zaplanowałam, był trzeźwy. No, może nie trzeźwy. Zadowolę się przytomnością i odrobiną świadomości. Wystarczy?

Adam jęknął, chwycił faceta pod ramię i zaciągnął do łazienki. Tam uruchomił prysznic, wsadził głowę pijanego pod zimną wodę i trzymał go nad wanną za kołnierz.

Pierwszą wiadomość wysłała do Derrecka. Napisała po prostu: „Mam zamiar dokonać ważnego aresztowania zabójcy nieletniego

świadka. Bądź za trzydzieści minut, więcej nie mogę powiedzieć”. I adres. Następnie zadzwoniła do Hobbsa. Na szczęście nie odebrał. Z przyjemnością nagrała się na pocztę głosową, informując o aresztowaniu. Dyskretnie zajrzała do Adama, który wciąż trzymał faceta pod wodą. Z jego gardła wydobywały się jedynie mamrotane od czasu do czasu przekleństwa.

Schowała służbowy telefon do kieszeni i sięgnęła po inny aparat, na kartę, z kilkoma numerami zapisanymi w pamięci jako grupa odbiorców wiadomości tekstowych: wszystkich głównych mediów lokalnych.

Następnie wystukała: „Zabójca Simona Degnana ma zostać aresztowany za trzydzieści minut. Prokurator stanowa na miejscu”.

Kiedy kończyła wpisywać adres, sprawca zdążył oprzytomnieć i zaczął obrzucać Adama wyzwiskami. Pierwszą czynnością podejrzanego były wymioty. Paula zostawiła z tym śledczego, a sama wyszła na zewnątrz, by zebrać myśli.

A jeśli Derreck jednak się pojawi? Czy to będzie oznaczało, że ich pakt zostanie wznowiony jakby nigdy nic? Że wciąż istnieje iskierka nadziei na to, że pewnego dnia odejdzie od żony? A może przekroczyła już granicę oddzielającą zdrowy rozsądek od czystych imaginacji?

Wszystko zależało od tego, jak bardzo Derreck chciał zostać burmistrzem.

Wyjrzała przez okno sąsiadujące ze zsypem na śmieci, który śmierdzał mniej dokuczliwie niż mieszkanie podejrzanego. Pierwsza ekipa telewizyjna właśnie wjeżdżała na chodnik. Kolejna pojawiła się kilka minut później. Derrecka nie było. Spojrzała

na zegarek i wzięła głęboki oddech, żeby nabrać do płuc względnie czystego powietrza, zanim wróci do mieszkania.

– Jak sytuacja? – Zerknęła na podejrzanego i zmarszczyła brwi. Leżał skulony na boku na podłodze, z dłońmi za plecami, i jęczał.

– Ma cholernego kaca, ale jest taki, jak chciałaś. Przytomny. Przepaszam, ale nic więcej nie dało się wskórać.

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na nią przekrwionymi oczami spod przymrużonych powiek. Swoim trzydniowym zarostem zmiatał brud i kurz z podłogi. Jego koszulka, niegdyś niebieska z pomarańczowym logo drużyny sportowej, była cała w plamach i niemal zupełnie mokra. Rozważała, czy poprosić Adama, żeby go przebrał, ale ostatecznie się na to nie zdecydowała. To ona musiała dobrze wyglądać w telewizji. Nie on.

– W porządku, możemy ruszać – oznajmiła dokładnie trzydzieści minut po wysłaniu wiadomości do mediów.

Kiedy wyszli z budynku, otoczyli ich dziennikarze, którzy zatrzymali się jednak w stosownej odległości, zapewne z powodu odoru.

– Pani prokurator – odezwał się jeden z reporterów – kim jest ten mężczyzna?

Wyprostowała się i zadarła głowę.

– Prokuratura Stanowa Hrabstwa Cook wydała nakaz aresztowania mężczyzny, który zastrzelił Simona Degnana, jedenastoletniego chłopca, aby uniemożliwić mu zeznawanie przeciwko Vicentemu Espinozie w sprawie o zabójstwo żony.

Zgromadzeni dziennikarze zaczęli mówić jeden przez drugiego i podchodzili bliżej, wyciągając mikrofony.

– Który komisariat pomagał w śledztwie?

– Ta sprawa szczególnie leżała nam na sercu. Mój śledczy Adam Costilla i ja zajęliśmy się nią osobiście.

Jakiś dziennikarz o wyglądzie kujona podszedł o krok bliżej niż inni, przysuwając pokryty pianką mikrofon niemal pod samą twarz Pauli.

– To chyba dość niezwykle?

Na jej wargach pojawił się uśmiech, który natychmiast zgasł.

– Nawet bardzo. Ale pewnymi kwestiami musimy zajmować się osobiście. Simon Degnan był ważnym świadkiem w sprawie o zabójstwo, a my...

– Nie zdołaliście zapewnić mu bezpieczeństwa? – zapytał kujonowaty reporter. – Jak się pani z tym czuje?

Już miała odpowiedzieć, gdy zobaczyła Derrecka kilka metrów od niej, zbliżającego się szybkim krokiem. Natychmiast zmieniła tok rozmowy, chcąc odwrócić od siebie uwagę.

– Bezpieczeństwo obywateli naszego miasta jest nadrzędną troską dla wszystkich pracowników biura prokuratora stanowego. Ściśle współpracujemy z biurem burmistrza Chicago, aby ograniczyć przestępczość, która nęka nasze miasto. Mamy nadzieję, że ta współpraca będzie kontynuowana także po listopadowych wyborach, być może z nowym burmistrzem. – Skinęła głową w kierunku Derrecka, zwracając na niego uwagę dziennikarzy.

– Jezu, Paula – warknął Adam pod nosem. – Serio? Ściągnęłaś tu swojego kochanka?

– Zamknij się i uśmiechaj do kamer. Niedługo wszystko zrozumiesz.

Poszła z nim do samochodu i czekała, aż wsadzi podejrzanego do środka, a Derreck w tym czasie odpowiadał na pytania report-

erów jak zawodowiec. Zachowywał się swobodnie, spokojnie się uśmiechał i wygłaszał celne stwierdzenia z niezwykłą charyzmą.

– Jedź pierwszy, Adamie, pojedę za tobą.

Obrzucił ją chłodnym spojrzeniem, wsiadł za kierownicę i odjechał, opuszczając szybę, gdy skręcał za rogiem.

Czekała kilka metrów dalej, udając, że jest pochłonięta telefonem, gdy dziennikarze skupiali się na Derrecku Bourke’u, kandydacie na burmistrza i liderze ostatnich sondaży. Kiedy skończyli rozmowę, rozeszli się, zupełnie o niej zapominając. Wyglądało na to, że w obecności mężczyzny kobieta nie zasługuje na uwagę, jakby nie mogła uciec przed jego cieniem. Doświadczyła tego na konferencjach prasowych z Hobbsem, a nawet z innymi młodszymi od siebie prokuratorami. Gdy na scenę wkraczał facet, jej pięć minut dobiegało końca.

Jak by to było, gdyby kandydowała na prokuratora stanowego w hrabstwie Cook, za kontrkandydata mając Hobbsa, jeśli wcześniej nie zostałby gubernatorem? Dotarło do niej, że bez względu na to, czy jej się to podoba, czy nie, potrzebuje wsparcia mężczyzny.

Z uśmiechem podeszła do Derrecka, gdy skończył udzielać wywiadu dla lokalnej stacji informacyjnej. Kamera była włączona, a dziennikarka beczelnie z nim flirtowała. Był wyraźnie zadowolony z okazywanych mu względów i skrzywił się, gdy podeszła do niego Paula.

– Dzień dobry. – Wyciągnęła rękę. Uścisnął jej dłoń dla zachowania pozorów, a ona mocno go chwyciła i przytrzymała w uścisku przez ułamek sekundy dłużej, niżby chciał. – Co za niespodzianka.

Dziennikarka się oddaliła, niezadowolona z tego, że jej przerwano. Kamerzysta ruszył za nią i oboje wsiedli do furgonetki.

– Rzeczywiście, niespodzianka – odparł Derreck, odsuwając się.

– Nie wiedziałam, czy zdążysz – rzuciła nonszalancko, pozwalając Derreckowi zachować twarz. – Cieszę się, że ci się udało.

– Nie wątpię.

Zaskoczona jego wrogim tonem, spojrzała mu prosto w oczy, zaintrygowana i zmartwiona zarazem. Jego obecność oznaczała chyba, że chce kontynuować układ? Bo inaczej, co by tu robił?

– Szpiegujesz moją żonę? – zapytał cichym, groźnym szeptem. – Podśłuchujesz nasz dom? Śledzisz ją? Co ty wyprawiasz, Paula? Zupełnie ci odbiło?

Ach... jego droga Anne Wiley. Nie było rzeczy, której by dla niej nie poświęcił; na myśl o tym Paula miała ochotę zgrzytać zębami. Przyływ niepohamowanej wściekłości wzburzył w niej krew.

Teraz albo nigdy. Nie zamierzała tracić czasu na kogoś, kto nie traktuje jej poważnie.

– Spotkajmy się wieczorem i porozmawiajmy. – Uśmiechnęła się, zatrzymując wzrok na jego ustach. – Wybór hotelu pozostawiam tobie. Nigdy nie rozczarowujesz.

Uderzył się w czoło w geście czystej frustracji.

– Wykluczone. Przez ciebie muszę ratować Anne znad przepaści. Obiecywałaś co innego, Paula. Miałaś zająć się tą sprawą po to, żeby ją wyciszyć, a nie nasyłać śledczych do szpitala.

– O wszystkim ci mówi, prawda? – Przez chwilę zazdrościła Anne jeszcze jednego: tego, że ma komu się zwierzać.

– To ty złamałaś zasady, nie ja. – Derreck zrobił krok w stronę swojego samochodu. – Przykro mi.

Zamierzał odejść i ją zostawić. Znowu. Miała jedną szansę i spaprała sprawę. Wściekłość rozsadzała jej pierś, dzika, domaga-

jąca się krwi. Choć raz chciała być tą, która odchodzi.

– Na twoim miejscu uważałabym, żeby nie nadepnąć mi na odcisk. – Przeszła obok, dotykając jego ręki. – Zniszczyć cię to nie problem, to wyjątkowo łatwa sprawa.

Szła w kierunku swojego auta zwawym krokiem, głośno stukając obcasami na asfalcie małej uliczki; dźwięki odbijały się echem od betonowych ścian blokowiska. Sprzed samochodu dyskretnie zerknęła na Derrecka. Wciąż stał w miejscu, wpatrując się w nią, wyraźnie oszołomiony.

Gra jeszcze się nie skończyła. Wciąż miała szanse na zwycięstwo.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

ŁUT SZCZĘŚCIA

Życie toczy się według dawnej rutyny, grafik zabiegów mam wypełniony, przybywa mi pacjentów po operacjach. Czuję niesamowity spokój, ale to cisza przed burzą, bo dobrze wiem, że to nie koniec. Przeczuwam to.

Paula Fuselier nigdy się nie podda. Widziałam to w jej oczach.

Paraliżujące poczucie zagrożenia mnie nie opuszcza. Sprawia, że dni w szpitalu są pełne napięcia, a wieczory w domu – ciche. Derreck spędza ze mną ostatnio więcej czasu, prawdopodobnie kosztem spraw zawodowych, ale niewiele ze sobą rozmawiamy. Trudno rozmawiać, obawiając się, że dom może być na podsłuchu.

Derreck przeszukał wszystkie pomieszczenia wykrywaczem pluskiew, który kupił w centrum miasta w sklepie z oprzyrządowaniem szpiegowskim, ale niczego nie znalazł. Gdyby na coś natrafił, pewnie poczułby ulgę; a tak wątpi w siebie i w dokładność swoich poszukiwań.

Krótko mówiąc, radość z życia uleciała, a jej miejsce z dnia na dzień zajęły nieustające lęki i obawy. Wszystko z powodu Caleba Donaghy'ego, jakby nie dość krzywd wyrządził mojej rodzinie. Jakby musiał skrzywdzić nas jeszcze raz, zanim przeze mnie znajdzie się w piachu.

Nie sędzę jednak, żeby leżał w piachu. Przyczyną mojej udręki stała się między innymi świadomość, że jego ciało jest przechowywane bezterminowo w szpitalnej kostnicy. Gdyby chodziło o innego pacjenta, nie wahałabym się zapytać, jak wygląda sytuacja. Ale w tym przypadku im mniej zwracam na siebie uwagę, tym lepiej. Nigdy nie wiadomo, gdzie może się czać kolejny śledczy Pauli Fuse-lier, podsłuchujący, obserwujący, zbierający dowody, by mnie zamknąć.

Właśnie tym się obecnie zajmuję – patrzę na wszystkich z nieudolnie skrywaną podejrzliwością. Nie ufam nawet współpracownikom z największym stażem – zastanawiam się, po czyjej są stronie: mojej czy doktora Bolgera? Zadaję sobie pytanie, kto zadzwonił do prokuratora stanowego. Bolger? Czy ktoś inny? Unikam patrzenia ludziom w oczy, bojąc się, że przejrzą zasłonę umiejętnie sformułowanych usprawiedliwień i dowiedzą się, że jestem morderczynią.

Bezpiecznie czuję się tylko na sali operacyjnej. Tam przebywam w towarzystwie ludzi przychylnych i jednego z trzech przyzwoitych anestezjologów, którzy pozostali na liście po zawieszeniu Bolgera. Tam czuję ulgę. Nikt nie wtargnie na salę operacyjną, by wyprowadzić mnie w kajdankach. Pozwolą mi dokończyć zabieg ze względu na dobro pacjenta, nie moje.

Wstrzymuję oddech za każdym razem, gdy wychodzę po operacji, licząc się z tym, że za drzwiami mogą mnie czekać kłopoty.

Wiem, że nadejdą. Nie wiem tylko kiedy. Może nawet dzisiaj...

Od zmartwień odrywają mnie słowa piosenki Taylor Swift *Anti-Hero*. Jakże trafne... *Potwór na wzgórzu*. Czyżbym postradała zmysły, pozwalając Donaghy'emu umrzeć, dlatego że uważałam, że to mu się

należy? Z powodu Melanie, z powodu tego, co jej zrobił i co uszło mu na sucho?

Kto dał mi prawo wymierzenia kary, występowania w roli sędziego, ławy przysięgłych i kata tego człowieka?

Torturuję się takimi myślami, zastanawiając się, czy w ogóle mam sumienie, bo wciąż nie czuję żalu. Raczej nie. Moje sumienie jest chyba na wakacjach albo mocno śpi, ponieważ nawet nie drgnie pod wpływem tego mojego obwiniania się. W głowie mam tylko Melanie. Jej posiniaczone ciało. Jej przerażone oczy i szloch w parku na widok gwałciciela. Jej zimne, wiotkie ciało w moich ramionach zaledwie pięć lat później.

Jestem gotowa do rozpoczęcia zabiegu wszczepienia potrójnych bajpasów u pani Orłowski. Został przesunięty o kilka dni z powodu wahań ciśnienia krwi. Wygląda na to, że jest szczególnie wrażliwa na stres, mimo że zastosowaliśmy ścisłą dietę i odpowiedni schemat leczenia, aby je ustabilizować. Przebadaliśmy ją ponownie pod kątem wielu problemów metabolicznych, szukając winowajcy, i odkryliśmy nieco niższy od prawidłowego poziom hormonów tarczycy. Rzecz do naprawienia.

Przyjęłam nową zasadę na sali operacyjnej. Przed wykonaniem pierwszego cięcia robię krok lub dwa za przesłonę i patrzę na twarz pacjenta. Czuję, że to właściwe, choć drugi Caleb Donaghy nie istnieje. Był jedynym potworem w historii naszej rodziny.

Za mną doktor Dean opowiada o swojej ostatniej wspinaczce górskiej i przyszłorocznych planach wyprawy w góry Absaroka na wschodniej granicy Parku Narodowego Yellowstone. Prawie wszyscy zaśmiewają się z relacji o wypadku przy ognisku, kiedy to pies innego turysty ukradł mu stek z grilla. Prawie wszyscy.

Z jakiegoś powodu jestem spięta, a Lee Chen wydaje się nieco zmęczony. Mimochodem zauważam, że od jakiegoś czasu nie widziałam, by się uśmiechał, z wyjątkiem poniedziałkowego popołudnia, kiedy zostałam oczyszczona z zarzutów. Pewnie przeżywa jakieś problemy w życiu osobistym. Wracam na swoje miejsce przy klatce piersiowej pacjentki, od strony serca, i wyciągam rękę. Madison odpowiednim ruchem umieszcza skalpel w mojej dłoni. Możemy zacząć.

Po pierwszym nacięciu zauważam, że coś jest nie tak. Chociaż wielokrotnie powtarzaliśmy badania krwi, przerywam i z piłą chirurgiczną kilka centymetrów nad jej odsłoniętym mostkiem czekam, marszcząc brwi na widok szybko płynących strużek krwi, zalewających nacięcie bez najmniejszych oznak koagulacji.

– Wyłącz to – mówię, a Ginny wie, że mam na myśli muzykę. Rozmowy natychmiast milkną. Zapada pełna napięcia cisza przerywana jedynie rytmem serca pacjentki na monitorach. Odkładam piłę chirurgiczną na tacę z narzędziami i patrzę na krawędzie nacięcia.

Hemostaza nie zachodzi.

Coś przeoczyłam. Krew nie krzepnie.

– Płytki krwi, *cito* – rozkazuję zaledwie kilka sekund przed tym, jak z monitorów rozlega się ostry dźwięk alarmu.

– Ciśnienie gwałtownie spada – woła anestezjolog. – Dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt.

Wykrwawi się na śmierć z powodu piętnastocentymetrowej rany w klatce piersiowej.

Ginny przybiega z opakowaniem płytek krwi, Madison je podłącza. Do drugiej ręki zostaje doprowadzona transfuzja pełnej krwi. Po kilku trwających wieczność chwilach alarm przestaje wyć.

– Sto pięć i powoli rośnie – informuje anestezjolog.

– Ginny, chcę jeszcze raz zobaczyć czynnik krzepnięcia. Sprawdziłam wcześniej, wyniki były w normie. – Miała wahania ciśnienia, ale wiem, że problemem jest coś innego.

– Zasztywamy ją? – pyta anestezjolog.

– Jeszcze nie. – Oglądam krawędzie nacięcia, które wciąż obficie krwawią, oczyszczane przez Madison. Krew zaczyna krzepnąć trochę szybciej, ale wciąż zbyt wolno.

Ginny podsuwa mi przed oczy otwartą teczkę pacjentki, z daleka od stołu, żebym mogła się przyjrzeć wynikom bez dotykania kartek. Nie mogę w to uwierzyć. Odczytuję wartości czynników krzepnięcia ze ściśniętym żołądkiem, przypominając sobie, że patrzyłam na nie w poniedziałek, skupiając się na wytluszczonych wartościach nieprawidłowych. Myślam byłam wtedy przy Pauli Fuselier i komisji oceniającej.

Komputery są durne. A ludzie tacy jak ja, którzy zbyt wierzają w to, że maszyny wskażą nieprawidłowości, są jeszcze większymi durniami. Trombocyty były na poziomie zaledwie pięciu jednostek powyżej dolnej granicy. Podobnie fibrynogen. Czas protrombinowy znajdował się tylko sekundę poniżej progu, który spowodowałby pogrubienie czcionki, wykluczając pacjentkę z operacji. Gdybym zwróciła uwagę na te wartości, odłożyłabym zabieg do czasu, aż poziom płytek krwi zostanie podniesiony, a czas krzepnięcia osiągnie wartości górnej granicy normy.

Nie mogę sobie tego wybaczyć. W moim zawodzie rozkojarzenie jest rzeczą niedopuszczalną, niezależnie od okoliczności. M miała rację. Albo jesteś w szpitalu i dajesz z siebie sto procent, albo to nie jest miejsce dla ciebie. Stawką jest ludzkie życie.

Kilka godzin później wychodzę z sali operacyjnej, zdejmuję strój ochronny i wyrzucam go do pojemnika przy umywalkach. Wkładam kitel i pewnym krokiem idę do gabinetu M. To wszystko mnie wykańcza: ta kobieta niemal przypłaciła życiem moją niepewność i to, że nie mogę z nikim porozmawiać o tym, co się dzieje.

Wpadam do gabinetu dyrektorki i zastaję ją w trakcie rozmowy telefonicznej na temat zbiórki pieniędzy w przyszłym miesiącu. Na jej biurku, przy telefonie ze skręconym spiralnym kablem, stoi oprawione zdjęcie, na którym trzyma za rękę roześmianą pięcioletnią dziewczynkę. Córkę? Ma czterdzieści siedem lat, wydaje się na to trochę za stara. Może nie jest za młoda na bycie babcią.

W telewizorze na ścianie nad biurkiem lecą popołudniowe wiadomości tak cicho, że niewiele słyszę. Spaceruję nerwowo, wpatrując się w ekran nieobecny wzrokiem. Mówią coś o aresztowaniu w sprawie zastrzelenia jakiegoś świadka.

M spogląda na mnie i natychmiast kończy połączenie.

– Co się stało?

Mam ściśnięte gardło, ale chęć wyładowania emocji bierze górę.

– Mało nie zabiłam pacjentki – wyrzucam z siebie. – Nie zauważyłam, że koagulanty były na granicy normy, otworzyłam ją i... – Pocieram czoło i zamykam oczy, nie mogąc znaleźć słów. Jak w ciągu minuty czy dwóch mam opowiedzieć o szalejącym w mojej głowie poczuciu winy i niepokoju?

– Co to za pacjentka? – pyta M, przenosząc wzrok na komputer. Prawdopodobnie ma już przed sobą harmonogramy zabiegów, bo po naciśnięciu kilku klawiszy pyta: – Orłowski, potrójne bajpasy?

Potakuję osłabiona, ale silna reakcja walki lub ucieczki, jaką wywołuje jej pytanie, przyprawia mnie o znajome drżenie mięśni.

- Jaki jest jej stan? - Niecierpliwy ton M mnie ponagla.

M zawsze się spieszy. Dziś również.

- Jest na sali pooperacyjnej - jąkam. - Dojdzie do siebie.

- Otworzyła pani klatkę piersiową pacjentki z nieoptymalnym krzepnięciem?

Kiwam głową i czuję, że krew odpływa mi z twarzy.

- Podałam jej koncentrat krwinek płytkowych i pełną krew na stole. Inaczej musiałabym ją zaszyć i powiedzieć, że podejście się nie udało i będziemy musieli spróbować ponownie za kilka dni, gdy poziom płytek krwi wzrośnie. - Spojrzałam w jej ciemne, poważne i przenikliwe oczy i zadrżałam. - Podjęłam decyzję o kontynuowaniu zabiegu. Wiem, że to było ryzykowne, przepraszam.

Przeszywa mnie wzrokiem, jakby chciała przejrzeć mnie na wylot. Wargi ma zaciśnięte, dłonie spoczywają na biurku. Przez chwilę słyszę tylko cichy dźwięk telewizora.

- Podjęła pani właściwą decyzję - oznajmia w końcu. - Pacjentka przeżyła. Nie naraziła pani szpitala na odpowiedzialność, wycofując się z zabiegu po pierwszym nacięciu. Nikt nie musi o tym wiedzieć, zwłaszcza jeśli pani zespół potrafi trzymać język za zębami. - Milknie na chwilę, a w jej oczach pojawia się tajemniczy błysk. - Powiem wprost, miała dziś pani cholerne szczęście. Ale szczęście potrafi dać w kość, jeśli bierze się je za pewnik.

Wstaje i obchodzi biurko krokiem na tyle energicznym, na ile pozwala jej czarna ołówkowa spódnica, po czym siada na kanapie i poklepuje miejsce obok siebie, bez słowa mnie zapraszając. Siadam skrępowana, wciskając się w poręcz, świadoma, że to z jej strony zachowanie niezwykle. Widziałam ją na sofie z innymi ludźmi - dar-

czyńcami, wykładowcami odwiedzającymi nasz szpital – ale ja się tutaj nigdy nie znalazłam. Nie wiem, co o tym myśleć.

W telewizorze na przeciwległej ścianie leci komentarz reportera lokalnej stacji. Następnie wyświetla się reklama serka śmietankowego.

– Ktoś z biura prokuratora stanowego z nieznanymi mi powodów uwziął się na panią.

Wpatruję się w nią, bo niczego nie jestem w stanie jej wyjaśnić.

– Ale powinna pani wziąć się w garść, jeśli chce pani kontynuować pracę w zawodzie, tutaj lub gdzie indziej. Nie muszę mówić, że jeśli straci pani kolejnego pacjenta, kiedy mają panią pod lupą, to będzie koniec kariery doktor Anne Wiley. Nie będzie pani mogła pracować jako lekarz, a jeśli już, to na jakimś zadupiu na Alasce będzie pani leczyła odmrożenia i hemoroidy.

– Rozumiem. – Jej dosadne słowa podnoszą mi ciśnienie, ale nie są dla mnie zaskoczeniem. Cieszę się z tej nagany; może być kopniakiem, którego potrzebuję, by wziąć się w garść. A jednak oczy zachodzą mi łzami. To chyba najgorszy moment na załamanie.

– Chodzi o niego? – pyta, wskazując telewizor.

Na ekranie widzę spot wyborczy Derrecka, wyemitowany tuż po reklamie kapsułek do prania Tide o tym, że plamy uwielbiają ubrania.

Dobrze się prezentuje w telewizji; kamera go kocha. Na chwilę zapominam, gdzie jestem, i oglądam spot, jakbym nigdy wcześniej go nie widziała. Mój mąż ma na sobie granatowy garnitur, szaroniebieską koszulę podkreślającą kolor jego oczu i nieco ciemniejszy krawat w niebieską kratkę od Armaniego. Siedzi wygodnie na krześle z kutego żelaza w miejscowej kawiarni i swobodnie

opowiada o tym, jak trzecie pod względem liczby ludności miasto Stanów Zjednoczonych stało się nową stolicą przestępczości. Bez przesadnych gestów, poważnym, ale przyjemnym tonem obiecuje podjęcie działań, by to zmienić, stanowcze kroki, by zapanować nad tą wojenną strefą, w jaką zamieniło się jego ukochane miasto. Prosi o kredyt zaufania i zaufanie w zmianę – tę grę słów odradzałam mu kilka miesięcy temu, kiedy wpadł na pomysł, że do zdobycia głosów wykorzysta problem przestępczości. Nie sądziłam, że ten tani slogan zadziała; sondaże udowodniły jednak, że się myliłam.

– Myśli pani, że to burmistrz mógł wziąć panią na celownik, żeby wyeliminować pani męża? – pyta M, gdy spot dobiega końca.

Patrzę na nią, mimowolnie zaciskając dłonie, aż czuję bolesne chrupnięcie w palcach.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, ale to prawdopodobnie doprowadzi do upadku nas obojga. Chyba że...

M pochyla się w moją stronę, chcąc usłyszeć, co mam do powiedzenia.

– Chyba że co?

Moje myśli nie są jeszcze jasne, gotowe, by się nimi podzielić. Ale coś zaczyna mi świtać w głowie.

– Nie mam pojęcia, skąd się dowiedzieli o śmierci Caleba Donaghy'ego.

Gdy to mówię, M lekko otwiera usta.

– Ach, tak – mówi. – Słuszna uwaga.

– Założyłam, że zadzwonił do nich doktor Bolger, ale może wcale nie? On też poniekąd ponosi odpowiedzialność za tę operację. Nawet jeśli bardzo mnie nienawidzi, raczej nie jest na tyle głupi, żeby

zwracać uwagę na pacjenta, który zmarł na stole, gdy on asystował przy operacji.

– A może jednak to był on? Wydaje się zaślepiony swoją szowinistyczną nienawiścią do kobiet sukcesu. Poczułam jego jad na własnej skórze. – Uśmiecha się z pogardą.

Kręcę powoli głową.

– Wątpię ze względu na korelację czasową. Prokuratura stanowa została powiadomiona, *zanim* otrzymaliśmy wyniki autopsji, zanim Bolger zyskał pewność, że nie przyczynił się do zgonu. Telefon wykonano przed posiedzeniem komisji weryfikacyjnej. – Angażuję całą siłę woli, żeby przestać wyginać palce. – Przeczucie mi mówi, że to nie on zadzwonił.

– Więc kto?

– Nie wiem – odpowiadam z głębokim, cichym westchnieniem. Moja odpowiedź nie zmieniła się zbyt od czasu posiedzenia komisji, kiedy M zadała mi to pytanie po raz pierwszy. – Ale rozumiem motywy Bolgera. Fakt, są chore i pełne nienawiści, ale je rozumiem. Jeśli to nie on zadzwonił, nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kto miałby motyw.

M przechyla głowę i się uśmiecha.

– Można spróbować się tego dowiedzieć, może będziemy mieć szczęście i się okaże, że połączenie wykonano z numeru szpitalnego. Poproszę dział techniczny o raport. Jeśli znajdziemy tego, kto to zrobił, będzie go pani mogła zapytać o powód.

Kiwam głową i zastanawiam się, dlaczego jeszcze mnie nie wyrzuciła.

– Dać pani przerwę w zabiegach, dopóki ta cała burza się nie skończy? – pyta wprost, w typowym dla siebie stylu.

- Nie - proszę gorączkowo zboliałym głosem. - Proszę mi nie odbierać uprawnień. To by mnie zabiło. Ta praca to całe moje życie. Nie może mi pani tego odebrać.

Nie mówię, że utrata uprawnień spotęgowałaby podejrzenia prokurator stanowej i utwierdziła ją w przekonaniu, że śmierć Caleba Donaghy'ego jest podejrzana.

M podnosi rękę.

- W porządku, nie zrobię tego. Ale nie możemy sobie pozwolić na wpadki. Jasne?

Wstaję.

- Jak słońce - odpowiadam, a ona odprawia mnie zniecierpliwionym gestem, którym prawdopodobnie wysyła wnuczkę do łazienki, każąc jej umyć zęby.

Po drodze do gabinetu zastanawiam się, co zrobi dyrektorka, jeśli się dowie, kto zadzwonił do prokuratury.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

NAKAZ

Kolejny weekend względnego spokoju mija szybko. Udawanie, że wszystko jest w porządku, to jedna z najtrudniejszych rzeczy, na jakie muszę się zdobyć. Chcę porozmawiać z Derreckiem o tym, jakie są perspektywy i co powinnam zrobić. Ale myśl o podsłuchu w domu odbiera mi ochotę właściwie na wszystko. Funkcjonujemy jak automaty wypowiadające się półzdaniami lub pojedynczymi słowami albo unikamy rozmów jak ogarnięte paranoją postacie z obrazów filmu *1984*.

Mama siedzi głównie w swoim pokoju – czyta albo ogląda telewizję. Posiłki nadal jemy wspólnie, a Derreck został w domu przez cały weekend. W niedzielę wieczorem zabiera mnie na kolację do małej pizzerii, gdzie zna właścicieli i może poprosić o konkretny stół.

Tam, głowa przy głowie, szepczemy gorączkowo; pytam, skąd będę wiedzieć, kiedy to wszystko się skończy. Czy prokurator zadzwoni do mnie i powie, że śledztwo zostało zamknięte? Derreck mówi, że to się nigdy nie zdarza. Co gorsza, takie dochodzenia mogą ciągnąć się latami. Później znów prosi mnie o pozwolenie na rozmowę z Mitchem Hobbsem, prokuratorem stanowym hrabstwa Cook.

Odmawiam, wiedząc, że M bardzo źle zareaguje, jeśli coś pójdzie nie tak i prokurator do listy przestępstw będzie mógł dodać próbę wpływania na dochodzenie. Mój mąż niechętnie przyznaje mi rację, mówiąc, że tak będzie bezpieczniej, ale nie wydaje się przekonany. Pizzy zjadam niewiele, choć jest przepyszna, z mnóstwem smakowitego, zapychającego tętnice sera.

Myślę tylko o tym, ile jeszcze czasu musi upłynąć, żebym znów mogła normalnie oddychać.

Jednym uchem słucham Derrecka objaśniającego mechanizmy wyścigu o fotel burmistrza. Niektórzy klienci pizzerii go rozpoznają i wskazują palcami lub mu się kłaniają; inni się uśmiechają i gapią, mijając nas. Ktoś się krzywi, prawdopodobnie zwolennik urzędującego burmistrza.

Odnutowywanie reakcji tych ludzi zapewnia mi krótkie przerwy w gonitwie myśli, obsesyjnie krążących wokół jednego przekłętego pytania, na które nikt nie potrafi odpowiedzieć: dlaczego serce Caleba nie zaczęło bić? Dlaczego było bierne, tak śmiertelnie nieruchome, gdy przepłukałam je ciepłą solą fizjologiczną?

Być może nigdy się tego nie dowiem. Ale nie mogę się z tym pogodzić. W poniedziałek rano mam już plan.

Nie jest najlepszy i Derreck pewnie mnie za niego zrugą, jednakże *muszę* wiedzieć, co powstrzymało to serce przed przebudzeniem. Dwa tygodnie i trzy dni, które minęły od wysłania Caleba Donaghy'ego do kostnicy, przeżyte w ogromnym niepokoju i czystej udręce, wywołały we mnie coś w rodzaju kryzysu tożsamości.

Jestem zabójczynią czy nie? Rzeczywiście pozbawiłam go życia czy tylko chciałam to zrobić?

Można ocenić, że to bez znaczenia, ponieważ działałam tak, jakby serce pacjenta było zdolne do życia, i odebrałam mu szansę na podjęcie pracy. Po tym, jak zobaczyłam jego twarz, zastosowałam masaż na otwartym sercu, który nie mógł mu pomóc, a po niecałych dwóch minutach stwierdziłam zgon, przerażona tym, że mógłby ożyć.

Dlatego muszę wiedzieć, czy serce było zdolne do pracy. Muszę.

Bo niewiedza powoli doprowadzi mnie do szaleństwa.

Po skończonej pracy siadam przy komputerze i zaczynam pisać mejl do lekarza sądowego hrabstwa Cook, który przeprowadził sekcję zwłok Caleba Donaghy'ego. Przedstawiam się i wyjaśniam powody, które skłaniają mnie do kontaktu, po czym w krótkim akapicie wymieniam procedury, o których przeprowadzenie na ciele Donaghy'ego chciałabym go prosić, aby dokładnie przyjrzeć się temu, dlaczego serce przestało pracować.

Tak, to niedorzecznie głupie, niczym kopniak w gniazdo szerzeni. Raport z autopsji mnie uniewinnił i jestem szczęśliwa, że tak się stało. Każdy, kto ma odrobinę zdrowego rozsądku, zostawiłby tę sprawę w spokoju.

Dlatego, koniec końców, zapisuję wiadomość w folderze mejli roboczych i postanawiam przespać się z pomysłem dzień czy dwa. Może nie będę musiała dźgać tego groźnego niedźwiedzia i zdołam wymyślić inny sposób, by się dowiedzieć, czy serce Donaghy'ego było zdolne do życia. A może w końcu pogodzę się z myślą, że bez względu na to, czy serce mogło żyć, moje zachowanie zrobiło ze mnie zabójczynię i przestanę szukać uniewinnienia. Choć prawo zapatruje się na tę kwestię inaczej. Jeśli na przykład ktoś zginie w wypadku samochodowym, a następnie zostanie dźgnięty nożem

przez osobę przekonaną, że ofiara wypadku żyje, nożownik może zostać oskarżony jedynie o zbezczeszczenie zwłok. Formalnie nie zostałaby uznany za zabójcę.

Może ze mną byłoby podobnie, ale kogo ja chcę oszukać? Siebie na pewno nie zdołam.

Odrywam wzrok od ekranu komputera i widzę Paulę Fuselier uśmiechającą się do mnie krzywo zza szklanej ściany mojego gabinetu. Krew zastyga mi w żyłach.

Nie mogę uwierzyć, że wróciła. Derreck miał rację. Nieprędko zostawią nas w spokoju. Prawdopodobnie dopiero po listopadowych wyborach, jeśli to polowanie na czarownice jest z nimi związane.

Fuselier wchodzi do mojego pokoju, a mnie wpada do głowy pewna myśl. Może znów ktoś do nich zadzwonił w związku z podbramkową sytuacją podczas operacji pani Orlowski. Zbywam te obawy; nie wiedział o tym nikt poza moim zespołem, nowym anestezyjologiem i M. Dałabym głowę, że żadna z tych osób nie nasłababy na mnie prokuratora stanowego.

Wstaję i podchodzę do niej do drzwi. Nie chcę, żeby zbliżała się do biurka.

– Pani prokurator Fuselier, zgadza się? – Patrzę jej w twarz bez uśmiechu.

– Owszem.

– Obawiam się, że nie mogę z panią rozmawiać bez obecności adwokata. Na próżno się pani fatygowała.

– Ale może pani posłuchać – mówi chłodno, mijając mnie, i siada na jednym z krzeseł przy moim biurku. Zakłada nogę na nogę i wymachuje jedną rytmicznie, tak że niemal uderza w biurko.

Chcę, żeby sobie poszła.

Ale ona nigdzie się nie wybiera. Instyktownie krzyżuję ręce na piersiach, opieram się o ścianę i się w nią wpatruję.

Ona bez pośpiechu przegląda się w małym lusterku.

– Jestem tu z uprzejmości, aby poinformować panią, że będzie musiała się pani stawić w sądzie w sprawie nagrań z zabiegów.

Powstrzymuję się, by nie spytać, w jakim celu i z jakiego okresu. Zdaniem Derrecka nie tylko stwierdzenia, ale także pytania mogą zostać użyte przeciwko mnie.

Wyciąga z kieszeni mały notatnik i uśmiecha się przebiegle.

– Proszę wybaczyć, trudno to wszystko spamiętać. – Odchrząkuje. – O ile wiem, czas resuscytacji prowadzonej przez panią na sali operacyjnej przy włączonej pompie wynosił czterdzieści trzy minuty, zanim stwierdziła pani zgon.

Wzruszam ramionami.

– Caleb Donaghy był pierwszym pacjentem, u którego stwierdziłam zgon. Nie ma pani pojęcia, o czym pani mówi.

Jednak przytaczane przez nią liczby są dokładnie takie same jak te, które M podała podczas posiedzenia komisji. A więc wydał mnie Bolger, nie raz, ale dwa. Tylko on był obecny zarówno podczas operacji Donaghy'ego, jak i zebrania komisji weryfikacyjnej.

Serce mi zamiera. Nie powinnam jej dostarczać amunicji, dość, że zrobił to Bolger.

– A tak, mój błąd. Jest napisane, że średnio czterdzieści trzy minuty przed RZM. Myślałam, że to, no wie pani, medyczne określenie zgonu.

– RZM oznacza rytm zatokowy miarowy. U człowieka żywego. – Nie mogę powstrzymać sarkastycznego tonu. Powinnam się w końcu zamknąć.

- W porządku, to ma sens. Więc zwracamy się o przesłuchanie w sądzie, żeby się dowiedzieć, czym różniła się ta operacja... to znaczy reanimacja. Porównamy wcześniejsze nagrania z rejestrem zabiegu Donaghy'ego i je zmapujemy, wykazując każdy ruch, który wykonała pani inaczej. Na przykład tutaj mamy uwagę, że zwykle podaje pani zastrzyk adrenaliny prosto w serce pacjenta, ale tym razem pani tego nie zrobiła.

Poczucie niepokoju, od którego ledwo zdołałam się uwolnić, powraca i przenika moje ciało, pozbawiając mnie sił. Kto poza Bolgerem mógłby znać takie szczegóły? Mnie nie naraziłaby na szwank reputacji swojego szpitala, gdyby chciała mnie pognębić. Kiedy chce kogoś pogrzyźć, zwalnia go, zazwyczaj słusznie – jest to raczej nagana, a nie zemsta. Nie jest socjopatką i nie potrzebuje niczego poza władzą, którą już sprawuje.

Prokurator ma zamiar zapytać mnie o coś jeszcze, ale do gabinetu wpada Madison.

- Jesteś potrzebna u pani Molinari na sali pooperacyjnej, natychmiast – oznajmia, stając w progu i przytrzymując drzwi. Przez chwilę marszczy czoło, zaskoczona nazwiskiem mężczyzny, z którego zrobiła kobietę.

W końcu do mnie dociera, że wymyśliła pretekst, by przyjść mi z pomocą.

Wychodzę, mając pewność, że wyrzuci Paulę z mojego gabinetu lub wezwie ochronę, jeśli nieproszony gość nie wyjdzie w ciągu trzech sekund, zgodnie z wyraźnymi instrukcjami dyrektorki.

Szybkim krokiem idę w kierunku gabinetów zabiegowych obok sali operacyjnej. Znajduję pusty pokój, wślizguję się do środka,

zamykam za sobą drzwi i zaciągam zasłony. Padam na krzesło, dysząc i dławiąc się łzami strachu i bezsilności.

To nie minie.

Muszę uciec, przenieść się w jakieś bezpieczne miejsce, choćby tylko na godzinę.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

GABINET

Opuszczałam szpital, nie informując o tym nikogo, przekonana, że wychodzę wcześniej. Tymczasem było już ciemno. Mimo to na swoje miejsce parkingowe szłam ze spuszczoną głową, żeby przypadkiem nie zobaczyła mnie prokurator. Tak naprawdę to ja nie chciałam jej widzieć, jak chowający głowę w piasek struś, którego wielki opierzony tyłek pozostaje na widoku. Podobnie było ze mną – choć szłam skulona, kilku kolegów życzyło mi po drodze dobrej nocy.

Jednak jej nie zobaczyłam, nie wpadłam na nią i o ile wiem, ona nie ma pojęcia, że przed nią uciekam.

Zamykam drzwi samochodu, uruchamiam silnik i łązy napływają mi do oczu, a z piersi wydobywa się szloch. Spodziewałam się tego, ale wcale nie jest mi z tego powodu źlej.

Nie jestem gotowa. Pogodziłam się z tym, co zrobiłam, i z tym, kim się przez to stałam, lecz nie mogę się pogodzić z wizją przyszłości za kratkami, z utratą wszystkiego, co jest mi drogie: rodziny i pracy. Umarłabym. Gdy włączam się do ruchu na zakorkowanej jak zwykle wczesnym wieczorem ulicy, do mojej głowy zakrada się niepokojąca myśl. Tak łatwo się nie umiera. Ludziom się wydaje, że umrą, jeśli przydarzy im się to czy owo, ale wcale się tak nie

dzieje. Natura znajduje sposób, by utrzymać ich przy życiu wbrew rozsądkowi, a nawet sile woli, ponieważ przetrwanie za wszelką cenę mamy zapisane w DNA. Mogę więc śmiało powiedzieć, że przeżyłabym wiele lat bólu, cierpienia i rozpacz, zanim faktycznie umarłabym w więzieniu.

Przerażająca myśl. Przez zatrważającą chwilę rozważam odebranie sobie życia, póki jeszcze mogę.

Potem biorę oddech. *To jeszcze nie koniec*, powtarzam sobie tyle razy, że zaczynam w to wierzyć.

Zatrzymuję się na światłach w niepozornej uliczce i czekam na zielone. Wieje wiatr i mży, jednak nie na tyle mocno, by uruchomiły się wycieraczki. Silne podmuchy wiatru od czasu do czasu rzucają na przednią szybę spadające z drzew liście i gałązki. Towarzyszy temu niepokojący odgłos – mógłby posłużyć jako ścieżka dźwiękowa horroru. W pewnej chwili dostrzegam gałązkę, która na chwilę zatrzymuje się na szybie. Na czubku ma pączek, malutki, ale już zielony – obietnicę nadchodzącej wiosny.

Nie przyglądałam się drzewom od ponad dwóch tygodni. Nie wychodziłam na poranne przebieżki. Przestałam wieść normalne życie w chwili, gdy zobaczyłam bordową plamę Donaghy'ego. Przestałam żyć razem z nim, jeśli użyć poetyckiej przenośni.

Gdy docieram do domu, samochodu Derrecka nie ma na podjeździe. Nie liczyłam na to: rzadko wraca przed szóstą, ostatnio zjawia się jednak przed wpół do siódmej.

Wchodzę do salonu i widzę mamę przy kuchence mieszającą gotujący się makaron. W domu unosi się zapach kolendry, smażonej cebuli i świeżo startego parmezanu. Wciąż nie jemy mięsa

na kolację; mama chce w ten sposób pokazać, że o mnie dba. Niepotrzebnie, ale to rozczulające.

Obejmuję ją, lecz nie mogę sobie pozwolić na płacz. *Muszę wiedzieć*. Niepewność doprowadza mnie do szaleństwa, zwłaszcza teraz, gdy po piętach depta mi ta prokurator, czyhając, aż się potknę i upadnę, stając się łatwą zdobyczą, na której będzie mogła dokonać rzezi.

– Co się stało, córciu? – Mama odsuwa się na tyle, by spojrzeć mi w oczy. Lekko marszczy brwi zatroskana. Uśmiecham się i całuję ją w policzek.

– Nic wielkiego. – Kładę torebkę na krześle. – Muszę coś zrobić przed kolacją.

– Będzie czekać ciepła – zapewnia i wraca do mieszania makaronu. Chwilę później minutnik w jej telefonie wydaje dźwięk i słyszę, że mama wyłącza kuchenkę.

Spokój, którego tak bardzo potrzebuję, odnajduję w cichym, przytulnym pokoju wypełnionym wspomnieniami i siłą mojego ojca. *Co by powiedział? Jakiej rady by mi udzielił?*

Rozsiadam się wygodnie w holenderskim fotelu, zamykam na chwilę oczy i wyobrażam sobie, że z nim rozmawiam. Zwraca się do mnie surowym tonem, w którym słychać dumę. Śmierć Donaghy'ego nazywa *sprawiedliwością, która dopadła go zbyt późno*. Nie mam złudzeń, nasz dialog toczy się w mojej głowie i to ja tworzę scenariusz. Kwestię ojca piszę jednak jego głosem, starając się ująć w niej jak najwięcej jego mądrości. Słucham go więc z zamkniętymi oczami, a moje myśli błądzą swobodnie, gotowe do podchwycenia i sformułowania jego przekonań.

Spróbuj się dowiedzieć, na czym stoisz, zanim wyciągniesz pochopne wnioski. Wciąż nie masz pojęcia, co się stało. A skoro nie wiesz tego ty, skąd może wiedzieć prokuratorka?

Otwieram szeroko oczy. Ojciec ma rację. Nikt poza Derreckiem nie wie, kim był Caleb Donaghy, a mój mąż nigdy by mnie nie zdradził. Jeśli Paula Fuselier chce udowodnić, że doszło do przestępstwa, musi wskazać motyw. Upewnię się u Derrecka, ale wydaje mi się, że dobrze myślę.

Odpalam laptop i niecierpliwie czekam, aż ekran ożyje. Otwieram okno przeglądarki i wpisuję nazwisko Donaghy'ego, a później chcę wystukać nazwisko Melanie, ale moje palce zastygają nad klawiaturą.

A jeśli jestem obserwowana i śledzone są także moje wyszukiwania w internecie? Może ta prokurator nie ma pojęcia o związku Caleba Donaghy'ego z moją rodziną, a ja tym wyszukiwaniem podpowiem jej, że warto czegoś szukać?

Dopóki Paula Fuselier sądzi, że Caleb Donaghy zmarł na stole operacyjnym, jak to czasem bywa w przypadku pacjentów z chorym sercem, może jedynie próbować odebrać mi prawo wykonywania zawodu. Mam spore szanse na uniknięcie więzienia. Chyba że zrobię coś głupiego i dostarczę jej dowodów.

Ale czy rzeczywiście ktoś mnie śledzi? Czy dom jest na podsłuchu? Czy ktoś odważyłby się zrobić coś takiego bez nakazu ludziom takim jak my? Derreck jest faworytem w wyścigu o fotel burmistrza; taki atak pociągnąłby za sobą konsekwencje.

Nie, jeśli żona została uznana za winną morderstwa, szybko podpowiada diabelski doradca w mojej głowie.

Niepokój wzbiera we mnie niczym lodowate fale. Jeżeli dom jest na podsłuchu, nie wiemy od kiedy. Możliwe, że pluskwy założyli, zanim powiedziałam Derreckowi, a to oznacza, że ona wie.

Próbuję przypomnieć sobie rozmowę z Derreckiem tamtego wieczoru, kiedy szlochałam w jego ramionach, paplając bez ładu i składu. Co właściwie wtedy powiedziałam? Czyżbym rzeczywiście wyznała, że...

Tak. Powiedziałam, że go znam. Nie od razu, ale powiedziałam, i że pospieszyłam się ze stwierdzeniem zgonu. Nie mogłam jednak wydusić z siebie, kim był Donaghy... Pamiętam, że rozplakałam się w ramionach Derrecka, a on nie potrzebował słów, by się domyślić się, kim był mój pacjent.

Niepewność sprawia, że odchodzę od zmysłów. Przejmuje kontrolę nad moimi myślami, które wirują jak wiatraczek na monitorze maca, kiedy się zawiesza.

Mam wrażenie, że tą kobietą kierują osobiste pobudki. Wykluczone, żeby chodziło wyłącznie o telefon ze szpitala, jak przypuszcza M. Z jej oczu bije głęboka nienawiść podsycana czymś, czego nie rozumiem. Może знаła Caleba Donaghy'ego? Ale przecież jego ciało wciąż leży w szpitalnej kostnicy. Gdyby ten bezduszny potwór był człowiekiem, którego kochała, pewnie dawno zorganizowałyby mu godny pochówek.

– Kolacja gotowa – dobiega z kuchni głos mamy. – Derreck wrócił.

Sfrustrowana zamykam okno przeglądarki i przygryzam dolną wargę. W tak zwanym zaciszu własnego domu nie mogę się nawet dowiedzieć, czy w internecie można znaleźć coś, co mogłoby dowieść związku pomiędzy Donaghym, Melanie i mną.

Gaszę światło, wychodzę z gabinetu i nagle z niepokojem przypominam sobie mejl do lekarza sądowego, który pisałam na służbowym komputerze, z prośbą o szczegółowe zbadanie serca Donaghy'ego.

Muszę go usunąć jutro z samego rana, żeby przypadkiem nie wysłała go przez pomyłkę i żeby nie przeczytały go niepowołane osoby.

Nie powinnam była go pisać.

BIEG

Leżę, gapiąc się w sufit; obserwuję goniące się na nim cienie sosny za oknem, oświetlanej księżycowym blaskiem. Uporczywy wiatr szarpie długie gałęzie drzewa, które od czasu do czasu ocierają się o szybę.

To nie hałas nie pozwala mi zasnąć.

Derreck śpi spokojnie obok mnie, miętowy zapach jego oddechu delikatnie muska moją twarz, przypominając, że nie jestem sama i że jestem kochana. Jego dłoń spoczywa na moim brzuchu, ale to mi nie przeszkadza. Nie jestem w stanie zamknąć oczu; leżę bez ruchu, aby go nie obudzić. Ostatnio jest zmęczony, oczy ma podkrążone i nie wygląda już na tak silnego i energicznego jak wcześniej.

Musiałabym być skończoną idiotką, żeby myśleć, że moje przeżycia się na nim nie odbijają.

Rozwiąż to dla was obojga, powiedziałby ojciec.

Pamiętam, jak uczył mnie rozwiązywania problemów czy też, jak to ujął, „diagnostyki różnicowej w wydaniu życiowym”.

„Chodzi o trafne typowanie” – powiedział z błyskiem ekscytacji w oczach, jak zawsze, gdy uczył innych. – Jeśli dopisuje ci zdrowie, nie będziesz zakładała, że w przyszłym roku będziesz potrzebować operacji. Owszem, możesz jej potrzebować, jeśli zajdą nieprzewidzi-

ane okoliczności, ale najpewniejszym typem jest skupienie się na dbaniu o zdrowie. Kieruj się prawdopodobieństwem, typuj mądrze i zawsze – podkreślił, kiwając palcem wskazującym – ale to zawsze bądź ze sobą szczerą”.

Nadszedł czas, abym rozwikłała zagadkę, zanim zrobi to za mnie ta hiena z biura prokuratora stanowego.

Leżąc z szeroko otwartymi oczami, przeżywam operację Caleba Donaghy’ego, każdy szczegół, każdą chwilę. Nagranie obejrzałam tyle razy, że nie jest to już trudne. Pamiętam, że gdy tylko go rozpoznałam, wróciłam za zasłonę, a moja lekko drżąca ręka wisiała nad jego klatką piersiową.

Miałam ochotę wyrwać mu serce z piersi za to, co zrobił Melanie. Nie uczyniłam tego. Zachowałam zimną krew i jeszcze przez dwie minuty udawałam, że kontynuuję reanimację, po czym przerwałam.

Nikt nie zauważył, że te czynności były udawane, nawet doktor Bolger, inaczej siedziałabym już w więzieniu.

Najbezpieczniej jest założyć, że Paula Fuselier nie ma na mnie niczego, co mogłaby wykorzystać. Na to wskazuje logika i zdrowy rozsądek. Brzytwa Ockhama, w medycznej wersji również: *kiedy słyszysz tętent kopyt, myśl o koniach, nie o zebdach.*

Na nowo zacznę żyć swoim życiem i będę się zachowywać, jakby nigdy nic, jakby tętent kopyt oznaczał tylko zwykłego konia. Prokurator nie zorientuje się, że to zebra, chyba że sama narysuję na niej cholerne paski. Koniec z peszeniem się na sali operacyjnej i wybieganiem ze szpitala ze spuszczoną głową. Koniec z mejłami do lekarza sądowego i łzawym przyznawaniem się do winy w gabinecie dyrektorki. Koniec z tymi bzdurami.

Dobra, to jedna odpowiedź na ważne pytanie. Drugie pytanie pozostaje na razie bez odpowiedzi.

Owszem, chciałam śmierci tego potwora po tym, jak zobaczyłam jego twarz, ale muszę dociec, dlaczego jego serce nie chciało podjąć pracy. Jeśli wyjaśnienie będzie przemawiać na moją korzyść, będę mogła się nim posłużyć. A jeśli się okaże, że mnie obciąża, przynajmniej będę wiedzieć, na co uważać.

Duże zielone cyfry budzika na nocnym stoliku Derrecka wskazują 3.37.

Idealna pora na poranny trening.

Wyślizguję się spod ramienia Derrecka, a on z cichym jękiem obraca się na drugi bok. Czekam kilka chwil, aż jego oddech stanie się miarowy i płytki, i wymykam się z łóżka.

Odpuszczam na razie poranny prysznic, obawiając się, że hałas mógłby go obudzić. Biorę dres i ulubione trampki. Po namyśle do zawiniątka ubrań dokładam ciepły szalik. W nocy może być jeszcze zbyt zimno.

Biegnę jak zawsze przez park Lincolna, trzykilometrową pętlą całkowicie opustoszałą, jeśli nie liczyć człowieka śpiącego na ławce. Puszczam parę z ust przy każdym kroku – dysząc, trudzę się, żeby ukończyć bieg po niemal trzytygodniowej przerwie w treningach. Niesamowicie, jak szybko złe nawyki odciskają piętno na ludziach.

Po skończonej przebieżce, wciąż w dresie i adidasach, jadę do szpitala, gdzie będę mogła wziąć prysznic i przebrać się w zapasowe ubranie, które trzymam na wszelki wypadek. Szpitalne korytarze są puste. Od czasu do czasu mijam pielęgniarkę przemykającą w butach z gumową podeszwą; nie zwracają na mnie uwagi, gdy idę do swojego gabinetu.

Najpierw zamierzam uruchomić komputer i usunąć wiadomość do lekarza sądowego. Wciąż tam jest... i nagle już nie ma: usunięta z folderu wiadomości roboczych, a po chwili skasowana z folderu usuniętych elementów.

Prysznic i przebranie się zajmuje mi niecałe piętnaście minut, a później jestem gotowa do załatwiania kolejnych spraw. Do rozpoczęcia obchodu mam niecałe trzy godziny, o dziesiątej czeka mnie wymiana zastawki u dziewiętnastoletniego chłopca.

Może nie starczyć mi czasu na to, co muszę zrobić.

Biorę czerwoną teczkę z dokumentacją Donaghy'ego, otwieram ją i na kartkach wyciągniętych z drukarki przy biurku Madison rozpisuję ołówkiem przebieg pobytu w szpitalu. Notuję wszystkie wydarzenia, opierając się na dobrze mi znanej rutynie. Posiłki. Pobieranie krwi. Obchód. Wszystko.

Kiedy mam już rozpiszę, zaczynam przeglądać dokumentację szpitalną z całego pobytu. Które pokoje zajmował. Kto zmieniał mu pościel. Które pielęgniarki pomagały mu brać prysznic. Co jadł i kto przynosił mu posiłki. Wszystkie leki, które mu podawano. Kto je podawał. Gdzie. Jak często, ile i jakie skutki uboczne zaobserwowano, o ile występują. Wreszcie, kto przygotowywał go do operacji, goląc mu klatkę piersiową i brodę.

Jeszcze nie wiem, co unieruchomiło serce tego sukinsyna, ale prędzej czy później się dowiem.

HOBBS

Biurko Pauli było zavalone książkami prawniczymi; część wyciągnęła z pudeł, które tak starannie spakowała, przygotowując się do przeprowadzki na czwarte piętro. Niektóre wciąż były otwarte, inne zamknięte, z prowizorycznymi zakładkami z karteczek samoprzylepnych, z nagryzmlonymi uwagami.

Adam wpadł do niej kilka razy, prawdopodobnie sprawdzając, jakie ma zadania, ale za każdym razem odprawiała go machnięciem dłoni, nie odzywając się. Nie mógł jej pomóc, nie był prawnikiem. Był tylko gliną.

Nikt nie mógł dla niej nic zrobić. Tym razem musiała pomóc sobie sama, ale nie znajdowała sposobu. Oględnie mówiąc, nie potrafiła przegrywać. A ściśle rzecz biorąc: nie umiała znosić porażek. Los zatrzaskał jej drzwi przed nosem, a to było nie do przyjęcia ze względu na sprawę Anne Wiley.

Zgrzytając zębami, przejrzała swoje notatki w poszukiwaniu luki prawnej, dzięki której wezwanie do sądu w sprawie dokumentacji chirurgicznej doktor Wiley mogłoby być skuteczne. W obecnym brzmieniu nie podpisałby go żaden sędzia. Na jaki powód mogłaby się powołać? Na przeczucie? Każdy rozsądny sędzia ze śmiechem by ją odprawił.

Dostrzegła jednak cień strachu w oczach Anne, gdy wspomniała o wezwaniu do sądu. Widziała, że zbladła, gdy słuchała treści notatek na temat czasu spędzonego na reanimacji poprzednich pacjentów. Paula wiedziała, że lekarka ma coś na sumieniu, ale na razie nie mogła niczego udowodnić.

Odkąd wróciła ze szpitala poprzedniego dnia, rozpaczliwie szukała precedensów, które pozwoliłyby na przepchnięcie wezwania, gdyby znalazła przychylnego sędziego lub takiego, który był jej winien przysługę. We wczorajszym ubraniu i po zaledwie kilku minutach snu na kanapie w swoim biurze musiała przyznać się do kompletnej porażki.

Nie miała nic, co mogłaby wykorzystać.

Anne Wiley ujdzie na sucho zabicie pacjenta, a Derreck nigdy nie opuści żony.

Dlaczego miałyby to zrobić, skoro głębokie kieszenie jego teściowej finansowały jego burmistrzowskie aspiracje? Jak Paula mogła z tym konkurować?

Chwyciła *Podręcznik prawa karnego i kodeks postępowania karnego stanu Illinois*, w miękkiej oprawie z niebieską okładką, i rzuciła nim przez pokój z jękiem frustracji. Książka trafiła w ścianę i wylądowała na podłodze z szelestem stron winnych temu, że nie pomogły Pauli wyjść z impasu.

Chwilę później zza drzwi zajrzała głowa Marie.

– Wszystko w porządku?

Jakimś cudem nie nakrzyczała na asystentkę.

– Tak, Marie, wszystko w porządku. Coś upuściłam.

Marie spojrzała z powątpiewaniem na książkę, później na Paulę, ale nic nie powiedziała. Podniosła tom i zaniósła na biurko Pauli.

– Hobbs cię do siebie wzywa – oznajmiła, zabierając dwa puste kubki z zaschniętymi resztkami wczorajszej kawy.

– Kiedy? Teraz?

– Właśnie dzwonił. – Zerknęła ostrożnie w stronę korytarza. – Chyba nie jest w najlepszym humorze.

Szlag.

– Dobrze. – Paula wygładziła włosy, wsunęła bluzkę w spodnie i włożyła żakiet. Pociągnęła usta szminką, chwyciła wytłaczaną teczkę, która skrywała notatnik i długopis, i wyszła, mijając Marie.

– Adam też chce z tobą porozmawiać, jak będziesz miała chwilę – krzyknęła za nią asystentka. Paula podniosła tylko dłoń z uniesionym kciukiem, nie odwracając się. Adamem zajmie się później.

Krótką jazdą windą na czwarte piętro nie dała jej zbyt wiele czasu na zastanowienie się, dlaczego szef chce się z nią widzieć. Najprawdopodobniej chodziło o zaplanowane na późne popołudnie postawienie podejrzanego w stan oskarżenia. Miała nadzieję, że w tej sprawie została wezwana, ale przy dźwięku na każdym piętrze czuła ucisk w żołądku.

Hobbs spacerował po gabinecie, gdy weszła. Jego grafitowa marynarka wisiała na oparciu krzesła, rękawy koszuli miał podwinione, a szary krawat poluzowany. Marszczył czoło i nie rozpogodził się na jej widok. Gestem wskazał jedno z krzeseł przed biurkiem, a ona usiadła dyskretnie, nie spodziewając się niczego dobrego.

Zatrzymał się kilka kroków od niej i przez chwilę jej się przyglądał. Cisza w gabinecie była pełna napięcia.

– Zanim powiem, jak bardzo jestem rozczarowany, zacznę od poinformowania pani, że zostało wobec pani wszczęte postępow-

anie w sprawie nadużyć na stanowisku prokuratora stanowego. Zostaje pani zawieszona ze skutkiem natychmiastowym.

Zamarła na chwilę bez słowa. Co się, do cholery, stało?

– Mogę wiedzieć, o co chodzi? – zdołała zapytać spokojnie, niezbyt uległym tonem.

– O wykorzystywanie zasobów biura do czegoś, co wydaje się osobistym celem.

Wpatrywała się w niego śmiertelnie przerażona.

– Proszę pana, zapewniam...

– Sprawa dotyczy tak zwanego dochodzenia w sprawie śmierci pacjenta w Szpitalu Uniwersyteckim Josepha Listera podczas operacji przeprowadzanej przez doktor Anne Wiley. – W jego stalowych oczach pojawił się błysk. – Już pani kojarzy?

Zamilkła, intensywnie zastanawiając się, co robić, by zaradzić katastrofie.

Hobbs nie skończył.

– Zapewne zna pani jej nazwisko, skoro sypia pani z jej mężem, Derreckiem Bourke. Tak się składa, że w czasie pracy.

Było o wiele gorzej, niż się spodziewała.

Niech cię wszyscy diabli, Adam. Jak mogłeś mi to zrobić?

Zwrócił się przeciwko niej. Niemiłosiernie bolesne ukłucie zdrady rozdzierało jej pierś. Nikt inny nie miał pojęcia o jej zamiarach. Adam Costilla, najbardziej zaufany współpracownik i przyjaciel, doniósł na nią, wyjawiając jej tajemnice Mitchowi Hobbsowi, człowiekowi, który mógł ją rozdeptać jak robaka.

Powoli godząc się z tym, co zaszło, pokręciła głową. Zastanawiała się, czy ma szanse uratować choć część planów. Wciąż pamiętała

treść memu, który niedawno widziała. „Jeśli przechodzisz przez piekło, idź dalej”. Uśmieła się, gdy zobaczyła ten tekst, ale po chwili musiała przyznać, że coś w nim jest. Pewna mądrość. Znalazła się w trudnej sytuacji, lecz musiała iść naprzód. Jakby do tej pory jej intencje i działania były całkowicie uczciwe i zgodne z prawem.

Hobbs z westchnieniem oparł się o biurko i skrzyżował ręce na piersiach.

– Co gorsza, zaprosiła pani swojego kochanka, męża osoby, w której sprawie prowadzi pani śledztwo, na wspólną konferencję prasową w miejscu aresztowania. – Na chwilę odwrócił od niej wzrok, wyraźnie zbulwersowany. Widziała, że zaciska szczęki. – On rywalizuje z obecnym burmistrzem. Nasze biuro absolutnie nie może się w to mieszać. Co pani strzeliło do głowy?

Próbowała wstać, ale powstrzymał ją gestem.

– Mogę to wyjaśnić.

– Naprawdę? – Podrapał się po głowie w okolicy zakoli. – W takim razie naprawdę niezła z pani prawniczka, bo nie mieści mi się w głowie, jak to możliwe. Przesłuchiwała pani pracowników szpitala w sprawie bez numeru, bez obecności adwokatów, mimo że została pani ostrzeżona przez urzędników szpitala, by tego nie robić. Zaczniemy od tego... Jak to pani wyjaśni?

Nie zamierzał dopuścić jej do głosu. W jego tonie było słyhać, że pragnie patrzeć, jak się wykrwawia, odpłacić jej za to, że ośmieszyła jego biuro. Mimo to musiała spróbować.

– Nie potrzebowali obecności adwokata. Nie byli przesłuchiwani w areszcie. Mogę wyjaśnić dlaczego...

– To stapanie po bardzo cienkim lodzie. Nie jestem idiotą. – Przerwał na chwilę, a ona spuściła wzrok. – Chce mi pani pow-

iedzieć, że to, co przekazali podczas tych przesłuchań, nie może być użyte przeciwko nim w sądzie?

– Tak, ale z prawnego punktu widzenia...

– Proszę nie uczyć mnie prawa! – warknął. Natychmiast zamilkła. – Jeśli ta wymyślona sprawa kiedykolwiek trafi do sądu, wszystko, czego się pani dowiedziała, może zostać odrzucone, ponieważ powiedziano pani, że z pracownikami może rozmawiać wyłącznie w obecności prawnika, a pani świadomie to zlekceważyła.

Przytaknęła, wołała nie odpowiadać. Miała ochotę wstać, bo czuła się bezbronna, siedząc, kiedy stał nad nią postawny Hobbs. To było zagranie psychologiczne: nie bała się, że przełożony zaatakuje ją fizycznie, ale czuła się mała i narażona na nieprzyjemności.

Hobbs, jakby czytał w jej myślach, znów zaczął spacerować po gabinecie, raz czy dwa przeczesując dłonią włosy, najwyraźniej pochłonięty czymś, czym nie zamierzał się z nią dzielić. W końcu z długim, bolesnym westchnieniem usiadł przy biurku.

– Wygląda na to, że przesłuchiwała pani doktor Wiley z pobudek czysto osobistych podsycanych zazdrością. Z wiarygodnego źródła wiem, że w postępowaniu wyjaśniającym szpital nie dopatrywał się z jej strony żadnych uchybień. Sekcję zwłok przeprowadził lekarz sądowy hrabstwa Cook i niczego nie znalazł. Zechce pani to wyjaśnić?

Czekała, dając mu czas na zmianę zdania i kontynuowanie pytań, ale on wpatrywał się w nią, mrużąc oczy ze złości.

– Tak, mam romans z Derreckiem Bourkiem, mężem lekarki – powiedziała spokojnym, pewnym tonem, jakby nie miała nic do ukrycia i nie miała się czego wstydzić. – W trakcie tego romansu zorientowałam się, że śmierć pacjenta nie była przypadkowa, lecz celowa.

Hobbs podrapał się po brodzie.

– Jak dokładnie dowiedziała się pani o tej sprawie?

Zawahała się przez chwilę.

– Z rozmowy do poduszki. Byłam...

– Krótko mówiąc, z plotek – skwitował lekceważącym tonem. – Mąż pani chirurg jest prawnikiem, a nie lekarzem. Nie sądzę, by miał kwalifikacje do oceny przyczyn śmierci pacjenta podczas operacji sercowo-naczyniowej.

– Moim zamiarem było sprawdzenie, czy istnieje uzasadniony powód do niepokoju. Podjęłam tylko próbę...

– Pozbycia się konkurencji? – zadrwił z nieskrywaną pogardą w głosie. – Miło by było mieć przyszłego burmistrza Chicago wplątanego w swoją sieć kłamstw i oszustw. – Przechylił głowę na bok, jakby się namyślał. – Muszę przyznać, że to genialne. Z jednej strony pomaga mu pani w karierze, dając możliwość występów w telewizji. Z drugiej – robi pani porządki, pozbywając się żony. Co pani chciała osiągnąć? Żeby żona z jednego z telewizyjnych wywiadów dowiedziała się, że jej mąż jest w zмовie z prokuratorem, która próbuje wsadzić ją do więzienia? – Zagwizdał z udawanym uznaniem. – Gdybym był tą kobietą, rozwiódłbym się z takim żalosnym dupkiem natychmiast, jeśli bym to zobaczył.

Tak, to była część jej planu, ale teraz nie miało to znaczenia. Nie zanosilo się, żeby zdołała osiągnąć cele, i była z tego powodu wściekła.

– W porządku, swoje usłyszałem – oznajmił Hobbs, nagle wyraźnie zmęczony, wyczerpany i rozczarowany. – Będzie pani musiała wytłumaczyć się ze wszystkich wizyt w szpitalu Josepha Listera w godzinach pracy, podać powód każdej rozmowy oraz przytoczyć

jej treść. Na piśmie, w formalnym raporcie, który przedłoży pani do końca tygodnia. Będzie pani także musiała zrobić rozliczenie każdej godziny spędzonej poza biurem, kiedy nie była pani w sądzie, obejmujące rok.

– Rok? – oburzyła się, zanim zdołała się powstrzymać. – Jak mam pamiętać...

– Nie ma pani terminarza? – zapytał Hobbs z sarkazmem w głosie. – A może nie zapisywała pani spotkań w eleganckich hotelach z tymi rozmowami do poduszki, żeby nie zostawiać śladów na papierze?

Spuściła głowę straszliwie upokorzona. Policzki jej płonęły.

– Pani awans zostanie wstrzymany na rok – dodał chłodno Hobbs. – Do czasu wyników oficjalnego dochodzenia w sprawie pani zachowania. Jeśli będzie pani uznana za winną nadużyć, zostanie pani zwolniona dyscyplinarnie.

Wszystko się sypało. Wszystko, na co pracowała, wszystko, co tak starannie zaplanowała, rozpadało się jak domek z kart.

Miała jeszcze promyk nadziei. Jeśli zdoła oskarżyć Anne Wiley o morderstwo.

– Nie mam nic do stracenia, więc pana o coś poproszę – wypaliła, patrząc na Hobbsa z niemym błaganiem w oczach. – Proszę mi dać dwa dni na udowodnienie, że nie chodziło o zazdrość, zemstę ani plan doprowadzenia do rozwodu mojego kochanka. Jeśli kiedykolwiek miał pan przecucie, które nie pozwalało panu zmrużyć oka, powinien mnie pan zrozumieć. Wiem, że ta lekarka zrobiła coś, czego nie powinna. Założę się o moją karierę, że zabiła człowieka. Nie stracił życia przez przypadek ani dlatego, że ludzie czasem umierają podczas operacji. Ona zamordowała pacjenta, zasłaniając się

ryzykownym zabiegiem. Muszę tylko znaleźć dowody, a będę mogła postawić ją przed sądem. – Zamilkła na chwilę, by zaczerpnąć tchu. – Proszę. Wystarczą mi dwa dni. Jeśli mi się nie uda, oszczędzę panu kłopotu i sama się zwolnię.

Hobbs przeszył ją spojrzeniem z błyskiem złości, niezadowolenia i czegoś jeszcze, być może ciekawości.

– To zdecydowanie za mało – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Jeśli się pani nie uda, pozbawię panią prawa wykonywania zawodu.

Paula wstrzymała oddech.

– Ma pani dwadzieścia cztery godziny.

TRZYDZIEŚCI

RADA

Leżę naga w ramionach Derrecka, wyczerpana, ale niespokojna, z kolanem na jego nogach, z głową wtuloną w jego pierś. Delikatnie głaszczę mnie po głowie, usiłując mnie zahipnotyzować, próbując przedłużyć błogi stan, w którym jego zdaniem się znajduję. Ale tak nie jest... Przeżywam męczarnie, jego łagodność mnie drażni; pragnę poczuć pasek na skórze i piekący ból. Ten ból przynosi ukojenie, zaspokaja pragnienie odczuwania tego, co czuła Melanie, choć wiem, że nie może się równać z jej cierpieniem. Nie odważyłam się poprosić o to Derrecka, nie dzisiaj, kiedy nasze życie tonie przeze mnie w kompletnym chaosie.

Zmuszam się, by leżeć nieruchomo, i na chwilę zapadam w drzemkę, nie zauważając, kiedy z jawy przechodzę w sen.

Niemal natychmiast zaczynam się budzić, rozbiegane myśli nie chcą się poddać nocnej ciemności. Przesuwam się delikatnie i otwieram oczy, jakby był już ranek, a nie prawie północ.

– Co tam, kochanie? – pyta Derreck cichym szeptem. – Zły sen?

Śmieję się ze smutkiem.

– Zła rzeczywistość. – Kusi mnie, by mu powiedzieć, jak się czuję z powodu szaleństwa, które wdarło się w moje życie i chce mnie

całkowicie pochłonać, ale przypominam sobie, że rozmowy w naszym domu nie są bezpieczne.

Derreck wyczuwa moje zaniepokojenie.

– Zleciłem ochronie dokładne sprawdzenie domu, garażu, wszystkiego. Dom nie jest na podsłuchu. Z tego, co udało im się stwierdzić, podsłuchów nigdy w nim nie było. Sprawdzili nawet twój samochód na parkingu przy szpitalu.

Podnoszę się nieco i opieram na łokciu.

– Ktoś ich widział?

– To profesjoniści, Anne, najlepsi, jakich aspirujący polityk może zatrudnić. – Uśmiecha się spokojnie.

Kładę się z powrotem, muskając opuszkami palców jego klatkę piersiową, upajając się radością, że nasze słowa nie zostały nagrane, że pozwolono nam spokojnie żyć, przynajmniej tutaj, w domu.

– O czym myślisz? – pyta sennym głosem. Zaraz zaśnie, ale wciąż chce ze mną rozmawiać, słuchać mnie. Kąciki moich warg unoszą się w lekkim uśmiechu. Czuję wdzięczność; mam szczęście, że zakochałam się w studencie prawa, a nie w nudnym, egocentrycznym lekarzu z kompleksem boga. Śmieję się w duchu na myśl, że poślubienie prawnika wyszło mi na dobre także ze względów zawodowych – na młode i ładne pielęgniarki nie muszę spoglądać podejrzliwie i z zazdrością. – Powiesz mi?

– Nie. – Nie chcę karmić jego ego. Pewności siebie mu nie brakuje. – Kocham cię. Wystarczy ci to wiedzieć. – Przesuwam się, by go pocałować w usta. Obejmuje mnie i zamyka oczy. Moje znów są szeroko otwarte. Nie zanosি się na to, żebym się wyspała.

Przy każdej sposobności zastanawiałam się nad wydarzeniami, procedurami i ludźmi, którzy mieli kontakt z Calebem Donaghyem,

próbując się doszukać jakiegoś schematu, dopatrzeć, czy czegoś, choćby nieistotnego lub błahaego, nie zrobiono źle od czasu, gdy przyjęto go na oddział. Nie znalazłam jednak niczego, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego jego serce odmówiło podjęcia pracy po zabiegu.

– Dobra, mów – odzywa się Derreck, opierając się na poduszkach. Spogląda na mnie tak, jak patrzy się na dziecko, które się skaleczyło.

Odwracam na chwilę wzrok, bo nie wiem, co powiedzieć, skoro on doskonale zna moje myśli. Ale może nie chodzi mu o to, bym go informowała o najnowszych wydarzeniach, o rozwoju sytuacji. Nie musi znać wszystkich informacji na temat serca Donaghy'ego i każdej myśli, która zaprzęta mój umysł.

– Polowanie tej kobiety doprowadza mnie do szału. Nie mogę pojąć, dlaczego tak bardzo chce mi zrujnować życie.

Ciało Derrecka tężeje pod wpływem moich słów. Niszczę tę chwilę bliskości.

– Znów z tobą rozmawiała? – Jego wzrok jest przenikliwy, badawczy.

– Wczoraj.

Derreck siada, opierając się o wezgłowie, i klnie pod nosem.

– Jak to? Chyba miała się kontaktować z radcą prawnym szpitala, nie z tobą?

– Owszem. Ale wczoraj zjawiała się w moim gabinecie z danymi. Derreck, ma statystyki dotyczące moich operacji, których nie zna nikt poza...

Milknę, nie kończąc zdania na widok jego intensywnego spojrzenia. Przypuszczałam, że moje słowa go zdenerwują, ale nie spodziewałam się, że aż tak się wścieknie. Dostrzegam żyłę na jego

czole pulsującą w rytmie tętna, wskazującą na podwyższone ciśnienie żyłne. Szczęki ma zaciśnięte, a źrenice rozszerzone bardziej, niż mogłyby być z powodu panującego w sypialni mroku.

– Co za baba, kurwa, nie mogę w to uwierzyć – mruczy.

– Nie znam jej, więc na pewno nie chodzi o osobiste porachunki – recytuję myśli, które krążą mi po głowie od kilku dni. – Mam wrażenie, że to przypadkowa prokurator przydzielona do mojej sprawy, którą wykorzystuje do budowania swojej kariery. Tak przynajmniej podejrzewam. Wiesz, dziewczyna z sercem i tak dalej. – Śmieję się cicho, ale nie ma we mnie żadnej wesołości.

– Posłuchaj. – Derreck patrzy mi w oczy z przerażającą intensywnością. – Masz się nie odzywać do tej kobiety ani słowem. Rozumiesz? Chyba że w obecności prawnika. I chyba pora, żebym zadzwonił w parę miejsc.

Kilka minut muszę go odwodzić od tego pomysłu. Jestem przekonana, że to jeszcze pogorszyłoby sprawę. I to znacznie.

W końcu zasypia, a po chwili ja też, nie ulegając pokusie nastawienia budzika na wczesną godzinę ze względu na Derrecka.

Kiedy otwieram oczy, na dworze wciąż jest ciemno. Na suficie tańczą cienie, wolniej niż poprzedniej nocy; podmuchy wiatru ucichły. Zegar na nocnym stoliku Derrecka wskazuje 3.07.

Czas wstawać.

Powtarzam wczorajsze czynności, lecz dziś planuję je lepiej. Zabieram ze sobą dres i trampki, ale także garnitur, kilka czystych koszul i parę wygodnych butów.

Pięciokilometrowy bieg w zimnym porannym powietrzu odświeża mój umysł i ożywia ciało. Jest mniej męczący niż wczoraj, a rozbudzone mięśnie z radością przyjmują powrót do dawnej rutyny. Z parku jadę prosto do szpitala.

Muszę sprawdzić jeszcze jedną rzecz i wolę, żeby wiedziało o tym jak najmniej ludzi.

Moim pierwszym przystankiem jest piwnica, w której tuż obok kostnicy mieści się biuro ochrony szpitala. W całkiem pustym korytarzu słyszeć szmer starych jarzeniówek kiepskiej jakości. Czuć zapach wilgoci i pleśni. Idąc szybko w kierunku siedziby ochrony, dostrzegam krople ściekające z grubej rury z gorącą wodą. Kondensacja.

Pukam dwa razy do drzwi biura ochrony i wchodzę do środka. Panuje w nim niemal zupełna ciemność. Nie ma jeszcze piątej.

W głębi po lewej stronie widzę niebieskawe światło monitorów i dobiega mnie stamtąd szelest rozrywanego opakowania. Tam muszę skierować kroki.

Dyżur pełni młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna. Odchyła się na ergonomicznym krześle; w jednej dłoni trzyma KitKata, a drugą gra online w karty, zupełnie nieświadomy mojej obecności.

Odkasuję cicho i się uśmiecham.

Chłopak zrywa się na równe nogi, na jego twarzy widać przelotny grymas paniki.

– Co do...

Wciąż się uśmiecham i na twarzy mężczyzny też pojawia się uśmiech.

– A, to pani. – Uśmiecha się jeszcze szerzej, pośpiesznie rozglądając się za miejscem, gdzie mógłby odłożyć batonik, aż w końcu

postanawia wyrzucić go do kosza na śmieci pod biurkiem. Wyciera ręce w spodnie. – Dziewczyna z sercem – dodaje. Porusza się niecierpliwie, prawdopodobnie czekając, aż uścisknę mu dłoń. Nie zawodzę go, choć w dzisiejszych czasach bardzo niewielu lekarzy wita się podaniem ręki. To miła tradycja, ale nierozsądna ze względu na liczne wirusy.

– Jestem Mike. – Dłoń ma nieco wilgotną, prawdopodobnie z przejścia z powodu mojej wizyty, ale jego uścisk jest entuzjastyczny. – Co mogę dla pani zrobić? – Jest chętny do pomocy, podobnie jak jego kolega z kostnicy. Przypuszczam, że mogą się przyjaźnić.

– Może pan słyszał, że dwa tygodnie temu zmarł mi pacjent. – Kiwa głową, nie odrywając ode mnie wzroku. – Chcę się upewnić, że w noc poprzedzającą operację nie przydarzyło mu się nic nietypowego. Jest szansa, żeby zrobić to tutaj?

– Jasne – zapewnia skwapliwie, dumny z systemu bezpieczeństwa, który monitoruje, jakby sam go wymyślił. – Pokażę, jeśli pani doktor pozwoli. Wszystko jest rejestrowane i zostaje na dysku przez całe dwa miesiące. Kiedy zmarł pacjent?

Podaję datę, a on zaczyna szukać w archiwum pliku.

Jest wyraźnie podekscytowany moim nieskrywanym zainteresowaniem i wyjaśnia wszystko, co robi.

– Dane są zarchiwizowane według daty, a później oddziałami i numerami sal. Korytarze są oznaczone jako C01 i tak dalej, windy to E01, symbole parkingu oznaczają poziomy, bo parking jako taki jest jeden. Poziomy piwnic symbolizuje B, im wyższy numer, tym niższy poziom.

- Rozumiem. - Słucham go tylko jednym uchem. Wstrzymując oddech, czekam, żeby się przekonać, czy ktoś odwiedzał Donaghy'ego w nocy przed jego śmiercią. Rano na sali przedoperacyjnej wydawało się, że wszystko z nim w porządku, ale... Po prostu chcę wiedzieć.

Podaję chłopakowi czterocyfrowy numer pokoju, w którym Caleb Donaghy spędził noc przed zabiegiem, i patrzę na ekran, zaciskając dłonie tak mocno, aż bieleją mi palce.

Zapis na ekranie jest nadszpiewanie wyraźny i kolorowy. Widocznie system jest nowy. Po rozpoczęciu wyświetlania na monitorze pojawia się kilka przycisków. Niektóre symbole kojarzę z czasów kaset wideo, na przykład przewijanie do przodu i odtwarzanie, innych nie rozumiem. Przyglądam się chłopakowi obsługującemu interfejs.

- Nagrania są zapisywane w segmentach, zwykle ośmiogodzinnych. Robi to system, więc nie musimy się tym przejmować; w szpitalu są tysiące kamer, nie bylibyśmy w stanie nadażyć z obsługą. Widzi pani? - Najeżdża kursorem jeden z przycisków, którego znaczenia nie rozumiem. - Ten przycisk pozwala przejść do następnego segmentu, bardzo się przydaje, jeśli chce się coś sprawdzić. Najpierw trzeba się dowiedzieć, w którym segmencie szukać, prawda? - Kiwam głową i się uśmiecham; najwyraźniej przez chwilę nie muszę robić nic więcej. - Od której chciałaby pani zacząć?

- Powiedzmy, od ósmej poprzedniego wieczoru.

Klika i przechodzi do poprzedniego segmentu, a następnie wyszukuje odpowiedni kod czasowy i odtwarza nagranie od miejsca, które mnie interesuje.

Patrzę na mojego pacjenta śpiącego na plecach, prawdopodobnie po tabletkach nasennych.

Nadal jest nieogolony i ma na głowie czapkę z daszkiem. Pokój jest słabo oświetlony, a telewizor wyłączony.

Mike kilkakrotnie naciska przycisk przewijania do przodu, z każdym kliknięciem przyspieszając prędkość odtwarzania.

– Ponieważ w tym ujęciu nie ma ruchu, idzie nam bardzo sprawnie.

Z lekkim niepokojem zerkam na zegarek. To „bardzo sprawnie” trochę trwa. Chcę wyjść z piwnicy, zanim ktoś mnie tu zobaczy i zacznie zadawać pytania. Na dźwięk telefonu chłopaka podskakuję i na chwilę odrywam wzrok od ekranu. Szybko wycisza sygnał i spogląda na mnie przepraszająco.

– Proszę się nie przejmować. Mam teraz przerwę, ale mogę...

– Nie chcę pana zatrzymywać – mówię. – Proszę iść, ja sobie tu popatrzę, jak on śpi.

Mike kiwa głową i chwytając się za kieszeń, w której szeleści celofan paczki papierosów.

– Gdyby coś panią zainteresowało, proszę zapisać kod czasowy, wrócę za kilka minut i się tym zajmiemy. – Rusza do wyjścia, ale zaraz się odwraca i wskazuje ekran. – Proszę nie dotykać tych dwóch przycisków. Nożyczki usuwają segment, a mały kwadrat importuje inny w miejsce zaznaczonego. Duże kłopoty.

– Nie tknę ich, obiecuję – zapewniam. Po co komu takie funkcje w systemie monitoringu?

Rozterkę mam chyba wypisaną na twarzy, bo Mike śmieje się pod nosem.

- To się przydaje do celów szkoleniowych i w niektórych przypadkach, na przykład gdy mamy tu VIP-ów lub Toma Cruise'a - dodaje. Uśmiecha się z dumą i lekko prostuje. - Mam porządne referencje. W zeszłym tygodniu zostałem kierownikiem zmiany.

- Gratuluję - rzucam i skupiam się znów na ekranie.

Oddała się i po chwili słyszę, że drzwi się zamykają.

Z reszty nagrania nie wynika nic poza tym, że mój pacjent przewraca się z boku na bok, a o drugiej, zgodnie z planem, przychodzi pielęgniarka, aby sprawdzić funkcje życiowe. Kiedy wychodzi, przez otwarte drzwi widzę inną, której sylwetkę rozpoznaję. Zatrzymuję obraz, wpatruję się w ekran i dreszcz przebiega mi po plecach.

Zamykam widok pokoju i otwieram ujęcie korytarza dla tego samego kodu czasowego. Pielęgniarka ma na sobie niebieski szpitalny kitel i kieruje się najprawdopodobniej do izby przyjęć. Ma także rękawiczki, maskę i czepek, z którego wysunął się niesforny kosmyk blond włosów i opadł na ramię. Idzie powoli, chodem, który rozpoznaję, tuż obok pokoju Donaghy'ego.

Podążam za nią, przechodząc od jednej kamery do drugiej. Zatrzymuje się dopiero przy salach operacyjnych i tracę ją z pola widzenia, gdy wchodzi do tej, w której zmarł Donaghy.

- O, nie, tylko nie to - szepczę nerwowo zdławionym głosem. Wzdycham, przełączam obraz na widok sali operacyjnej i obserwuję kobietę, zakrywając dłonią usta. Oddycham z trudem.

Pielęgniarka podchodzi do pompy i otwiera chłodzoną komorę, w której przechowywany jest płyn kardioplegiczny do następnego zabiegu. Wyjmuje z kieszeni dużą strzykawkę i zdejmuje osłonę igły. Stoi plecami do kamery, ale nie mam wątpliwości, że to,

co przyniosła, wstrzykuje do portu kardiopleginy. Potem chowa strzykawkę do kieszeni i zostawia wszystko tak, jak było.

Nie mam dużo czasu, decyzję podejmuję bez namysłu. Naciskam przycisk nożyczek, a na ekranie pojawia się prośba o potwierdzenie, że na pewno chcę usunąć segment. Potwierdzam, a ekran robi się szary, ale wciąż widać mały kwadrat. Naciskam go i importuję segment sprzed kilku dni. Operacja przebiega gładko, a ja oddycham z ulgą.

Później przypominam sobie, że kobieta szła korytarzami i prawdopodobnie miała samochód na parkingu. Zastępuję segmenty jeden po drugim, ile tylko mogę, przerywa mi dopiero powrót Mike'a.

Trzęsą mi się ręce i nie mogę uspokoić oddechu.

– Szukała pani czegoś konkretnego? – pyta, widząc kursor na ekranie wyboru segmentów.

– Tak – odpowiadam spokojnie, choć jestem zdenerwowana. – Chciałam zobaczyć nagranie z poprzedniej nocy. Przypomniało mi się, że pacjent spędził w szpitalu dwa dni.

Chwyta mysz i z łatwością znajduje plik, po czym zaczyna go odtwarzać z dziesięciokrotnie większą prędkością.

– Co pani podejrzewa?

Oddycham z ulgą, spięte mięśnie się rozluźniają.

– Ludzie ciągle nas okłamują. Zabrania się im spożywania soli przed zabiegiem, a oni przemycają w plecaku dwie torebki chipsów.

– A, rozumiem. – Uśmiecha się. – Myślałem, że szuka pani bezwzględnego zabójcy. – Jego śmiech wypełnia pomieszczenie, a ja śmieję się razem z nim, skrywając niepokój, który ogarnia mnie na dźwięk jego słów. – Wie pani, kiedyś chcę zostać policjantem –

dodaje i przez chwilę rozmawiamy o jego karierze, czekając, aż trwająca całą wieczność nagranie dobiegnie końca.

Rejestr z poprzedniej nocy niczego szczególnego nie pokazuje. Nikt nie wszedł do pokoju pacjenta, a on sam nie jadł żadnych chipsów.

Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Nawet gdybym zobaczyła, że truje się pączkami posypanymi digoksyną, nikomu nie pisałabym na ten temat słowem.

Stawka jest zbyt wysoka.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

NAZWISKO

Do gabinetu wchodzę kwadrans po ósmej, witam się z Madison i siadam przy biurku; łokcie kładę na czerwonej teczce Donaghy'ego, a czoło podpieram rozpostartymi palcami. Spoglądam na zdjęcia Melanie – stare, stojące na biurku od zawsze, i nowe, które przywiozłam z domu w zeszłym tygodniu, oprawione w srebrną ramkę. Moja młodsza siostra uśmiecha się do mnie z fotografii oczami dziecka, którego marzenia się spełniły. Na chwilę uciekam od rzeczywistości, która zaraz znów mnie dopadnie.

Wciąż nie mogę się pogodzić z tym, co właśnie zobaczyłam. Z tym, co zrobiłam. Z rozmysłem usunęłam dowody z systemu monitoringu. To przestępstwo karane więzieniem, podobnie jak fałszowanie dowodów i utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Jeśli mnie złapią, nie wyjdę z za krat.

Madison przynosi mi filiżankę gorącej kawy – biorę ją od niej, jakby była deską ratunku dla tonącego na pełnym morzu. Rozgrzewa moje palce i koi zszargane nerwy. Spragniona kofeiny, dmucham szybko na kubek i parzę się, wypijając pierwszy łyk.

Madison przedstawiającej harmonogram dnia słucham tylko jednym uchem – kotłują się we mnie myśli, gdy analizuję to, co właśnie zobaczyłam.

I usunęłam. Powtarzam sobie, że nikt się nie dowie o tym, co zrobiłam. Zabawne, coraz bardziej się pograżam, ale nie miałam wyjścia.

Do gabinetu w typowy dla siebie sposób wpada dyrektorka i przerywa Madison. Bezceremonialnie ją wyprasza, po czym pochyla się nad biurkiem, tak że od mojej twarzy dzieli ją zaledwie centymetry.

– Ma pani piekielny problem – oznajmia, ścisząc głos. Nigdy tego nie robi.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Co się stało?

– Dzwonili z działu ochrony. Wiedza, kto powiadomił prokuraturę.

Oddech więźnie mi w płucach. M nie czeka, aż zapytam.

– Lee Chen. Wyobraża sobie pani? – Rozkłada ręce, dając wyraz bezgranicznemu zdumieniu.

Oddycham z ulgą, że sprawa nie ma nic wspólnego z moją poranną wizytą w biurze ochrony, i wtedy do mnie dociera.

– Lee?

Tego się nie spodziewałam. Jestem zdruzgotana tym, że ktoś z mojego zespołu posunął się do czegoś takiego.

Cieszę się jednak, że już wiem, jak rozpętał się cyklon o nazwie Paula Fuselier. Nie ma nic gorszego niż niewiedza.

M działa błyskawicznie.

– Proszę wezwać Lee Chena, natychmiast – krzyczy do Madison. Moja asystentka podnosi słuchawkę, a M siada przed moim biurkiem i zakłada nogę na nogę. Rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Ja będę mówić, dobrze?

Kiedy Lee Chen zjawia się z Madison u boku, jest blady i wygląda, jakby nękały go mdłości i lada moment miał zwymiotować na mój dywan. M znów gestem odprawia Madison, ale ona oddała się tylko do swojego biurka, od którego dzielą nas jedynie szklane drzwi.

– Chcę tylko usłyszeć jedno – oznajmia M, pochylając się, jakby zamierzała się rzucić do ataku. – Wiem, że wykonywał pan telefony do biura prokuratora stanowego. Nie wiem tylko dlaczego.

Telefony? Było ich więcej? Serce we mnie zamiera. Patrzę na Lee głęboko rozczarowana.

Broda mu drży, ledwo trzyma się na nogach.

– Bardzo mi przykro – odzywa się w końcu ledwie słyszalnym szeptem. – Nie miałem wyboru. Złapali mnie, matka nie ma zielonej karty.

– Złapali? Na czym? – pytam, a M natychmiast gromi mnie wzrokiem za złamanie nakazu milczenia.

– Za głupotę, jazdę pod wpływem. – Szłocha z rozdziawionymi ustami. – Ale wiedzieli o mojej matce. Zaproponowali mi układ, a ja się zgodziłem. Moja matka nie może wrócić do Chin. Umrze tam. – Patrzy na mnie błagalnie. – Tak się ucieszyłem, kiedy uwolnili panią od zarzutów. Proszę mi wybaczyć.

– Kim są ci „oni”? – pytam, a M tym razem nie ma pretensji. – Kto zaproponował układ?

– Ta prokurator, która tu przychodzi. Paula Fuselier.

Nie. Nie słyszałam tego. To znaczy, że chciała mnie dopaść na długo przed operacją Donaghy’ego. Ale dlaczego? Z przerażenia dostaję gęsiej skórki.

– Kiedy to było?

- W zeszłym roku, w październiku.

Nic się nie klei.

- Czego chciała?

Lee Chen spuszcza wzrok i zaciska dłonie.

- Żeby do niej dzwonił, gdyby coś poszło nie tak z pani zabiegami. Zadzwoiłem tylko raz, przysięgam. Nie informowałem jej o wpadce z krzepliwością pani Orłowski.

Szczęka mi opada, nie znajduję słów.

- Kłamie pan - warczy M. - Jednego nie będę tolerować u moich pracowników: nieuczciwości.

- Za drugim razem to ona do mnie zadzwoniła. Kazała mi wygrzebać coś z historii przypadku doktor Wiley. Wiedziałem, co powiedziała pani na posiedzeniu komisji, wiedziałem, że świetnie pani broniła swojej decyzji, więc podałem jej statystyki dotyczące reanimacji pani pacjentów. To była druga rozmowa, przysięgam.

M kładzie dłoń na czole. Rozumiem ją. Mnie też kręci się w głowie.

- Skąd pan, do cholery, wie, co się działo na zamkniętym zebraniu komisji?

Wzrusza ramionami, ale nie podnosi wzroku.

- Wszyscy o tym mówią. To dlatego, że doktor Bolger był jak wrzód na tyłku, a nasza doktor Wiley...

- Dość! - krzyczy M, podnosząc rękę. - Zgłosi się pan do laboratorium na dole i obejmie na stałe nocną zmianę, dopóki nie zdecyduję, co z panem zrobić. Może pan wyjść.

Lee chwyta kłamkę jak lunatyk, odwraca się do mnie i szepcze:

– Proszę mi wybaczyć, pani doktor. Chcę tylko powiedzieć, że ja sam nigdy sobie nie wybaczę. – Kłania mi się nisko i znika.

Madison obserwuje wszystko z pokoju obok z rozwartymi ustami.

M wstaje, a ja podążam za nią, choć pokój wiruje razem ze mną, coraz szybciej i szybciej. Nagle M puszcza do mnie oko.

– Zadbam o to, żeby nam nie uciekł. Potrzebujemy go po naszej stronie, jeśli miałoby dojść do procesu. Jego zeznania mogą dowieść, że to była ustawka. Aha, i muszę porozmawiać z adwokatem o statusie imigracyjnym jego matki. Jeśli to załatwimy, więcej go nie wykorzystają. – Jej uśmiech znika. – Dobrze by było, żeby się pani dowiedziała, o co, do diabła, chodzi i dlaczego prokuratura wchodzi w takie układy, żeby panią dopaść. Nie chcę, żeby tego rodzaju sprawy komplikowały pracę mojego szpitala. Jasne?

Nie czeka na odpowiedź – wychodzi, zostawiając w pokoju szalejącą burzę, którą ledwo udaje mi się przetrwać. Wydała mi polecenie, jasno i wyraźnie.

Uporządkuj ten bałagan, zanim stracę cierpliwość.

Nie mam pojęcia, od czego zacząć.

TRZYDZIEŚCI DWA

PRAWDA

Pracę wykonuję tak szybko i skutecznie, jak tylko mogę, kilka zadań administracyjnych odkładam lub deleguję je Madison. Cieszy się, że może pomóc, i trzyma fason po tym, czego dowiedziała się o Chenie, choć widać, że jest z tego powodu bardzo przejęta. Ja prawdopodobnie już nigdy nie będę umiała nikomu zaufać, ale nie na tym się teraz skupiam.

Gdy wychodzę ze szpitala, słońce wciąż wisi nad horyzontem; ostatnio rzadko je widywałam. Jest pochmurny, ponury dzień z lekką mżawką i listopadową aurą, ale z radością witamienne światło. Nie poprawia jednak mojego nastroju.

W domu zastaję mamę zwiniętą w kłębek na kanapie z czasopismem modowym na kolanach. Wstaje, przytula mnie i wita cmoknięciem w policzek. Tym razem szybko się od niej odsuwam i patrzę na nią, szukając w jej oczach odpowiedzi, by nie musieć zadawać pytań.

Uśmiecha się ze swoją zwykłą życzliwością i nutą smutku, po czym zaczesuje kosmyk moich włosów za ucho, jak wtedy gdy byłam dzieckiem. Zamykam na chwilę oczy i żałuję, że nie mam już pięciu lat. Kiedy je otwieram, wciąż jestem dorosła; mam czter-

dzieści jeden lat i zmagam się z kłopotami przekraczającymi wszelkie wyobrażenie.

Nie wiem, jak jej powiedzieć, co widziałam. Czeka, wyczuwając, że coś jest nie tak, dając mi cierpliwie czas na zebranie myśli. W jej oczach i niewzruszonym wyrazie twarzy widzę siłę, na której polegałam przez całe życie.

Łzy pieką mnie w oczy.

– Wiedziałaś – szepczę. – Wiedziałaś, kim jest mój pacjent.

Szybko zerka w stronę gabinetu, a jej uśmiech znika. Przez otwarte drzwi widzę na biurku mój laptop.

Trzyma moją dłoń drżącymi, sękatymi palcami i siada ze mną na sofie.

– Tak, a czy ty wiesz, dlaczego to miało znaczenie?

Przelykam ciężko ślinę, przypominając sobie posiniaczone nogi Melanie. Słowa z raportu z autopsji zaczynają wirować mi w głowie.

– Wiem.

Mama przysuwa moje zmarznięte palce do swojej twarzy i wtula w nie policzek.

– Skarbie, nie miałam pojęcia, że wiesz o Melanie.

– Od dnia, kiedy u nas zamieszkała – szepczę, nie chcąc mówić takich rzeczy na głos w niezwykle cichym domu.

– I nic nie powiedziałaś?

Uśmiecham się przez łzy.

– Byłam głupią nastolatką, mamó. Słyszałam, jak płaczesz tamtej nocy, i myślałam, że chcesz odesłać Melanie z powrotem.

Wzdycha i zakrywa usta dłonią.

– Jak mogłaś tak pomyśleć?

- Bałam się tego tylko przez kilka dni. Chyba po prostu nie chciałam jej stracić. Była moja. Nowa siostrzyczka. - Mama ścisła moją dłoń i odchyła się do tyłu, zamykając oczy. Siedząc tak, wydaje się zupełnie bezbronna i krucha. Wcześniej nie zauważyłam u niej tej kruchości... wkradła się, gdy nie poświęcałam matce uwagi.

- Rozumiem, dlaczego wtedy płakałaś. Ale dlaczego kłóciłaś się z tatą?

- Nie kłóciliśmy się - wyjaśnia cicho. - Zastanawialiśmy się, co zrobić. Nie ulegało wątpliwości, że biedne dziecko przeżyło molestowanie seksualne. Wiedzieliśmy, że trzeba ją zbadać, ale nie chcieliśmy, by doznała traumy. Kiedy ją wykąpałam i zobaczyłam te siniaki, myślałam, że umrę. Widziała, jak płaczę, biedactwo, i było jej tak wstyd. Błagała mnie, żebym nie była na nią zła. - Opuszką palca ociera łzę. - Wyobrażasz sobie?

- I co zrobiłaś? - Te pytania nosiłam w sobie przez niemal trzydzieści lat, ale nigdy nie odważyłam się ich zadać.

- Bill podał jej tabletki nasenne. Podjął duże ryzyko, ale nie chciał, żeby znów doznała traumy. Sami przeprowadziliśmy badanie, kiedy spałaś. Nie wyobrażasz sobie... - Głos jej się załamuje, odezwiała się znów dopiero po chwili. - Następnego dnia poszliśmy na policję. Próbowali rozmawiać z Melanie, ale nie chciała nic powiedzieć. Była zawstydzona i przestraszona, jakby to była jej wina.

Nie miałam pojęcia, że zabrali Melanie na policję. Choć wyteżam umysł, nie przypominam sobie chwili, gdy jej przy mnie nie było, ale nie wątpię w to, co mówi mama. Szkoda, że nie powiedzieli mi wtedy.

- Przesłuchali jej rodziców zastępczych, ale bez jej zeznań i oficjalnego badania lekarskiego nie mogli nic zrobić.

- Mogliście jeszcze raz podać jej tabletki i przeprowadzić badanie.

- To już nie miało znaczenia - odpowiada z goryczą. - Zbyt wiele czasu minęło, żeby móc pobrać przydatne DNA, poza tym w tamtych czasach badania DNA nie były tak powszechne jak dzisiaj. Policja nic nie miała. - Jej wargi lekko drżą. - Ale poznaliśmy nazwisko jej przybranego ojca. Caleb Donaghy. Nigdy go nie zapomnę. - Jej głos staje się szorstki. - Policja sprawdziła kilka rodzin zastępczych, bo była w paru. Wiedzieliśmy, że siniaki były zbyt świeże, żeby mogły powstać wcześniej niż w ostatniej rodzinie zastępczej, u której mieszkała zaledwie kilka dni przed tym, jak ją adoptowaliśmy. Przekonało nas to i fakt, że uciekła od tej rodziny. Właściwie to dwa razy. I nikt nie zadał sobie trudu, by ją zapytać, dlaczego to zrobiła, albo po prostu przyjrzeć się siniakom tego biednego dziecka.

- A jeśli ten potwór zgwałcił też inne dziewczyny? Pedofile się nie zmieniają. Nie przestają. Czy ktoś zadał sobie trud, by porozmawiać z innymi dziewczynkami, które wychowywał?

Matka kręci głową, przytłoczona bezsilnością i poczuciem winy.

- Nie mogliśmy nic zrobić. Bill wynajął nawet prawnika, który z kolei zatrudnił prywatnego detektywa, licząc na to, że przyłapie go na robieniu czegoś niezgodnego z prawem, abyśmy mogli odsunąć go od dzieci. - Ściska moją dłoń. - Próbowaliśmy, kochanie. Przez lata nie mogłam spać i dręczyły mnie koszmary. - Wzdryga się i na krótką chwilę odwraca wzrok, a później znów na mnie spogląda. - Twój ojciec poświęcił cztery lata na błaganie, by ktoś go wysłuchał, na dzwonienie do różnych ludzi i proszenie o przysługi, żeby usunąć tego człowieka z listy rodziców zastępczych. Nic więcej nie mogliśmy zrobić.

Zapada cisza pełna niepokoju z powodu dawnych potworów i dzisiejszych rozdzierających serce przemyśleń. Gdzieś między nami, w eterycznej przestrzeni moich wspomnień, młodsza siostra uśmiecha się do mnie, dodając mi otuchy, i zapewnia, że wszystko będzie dobrze.

– Któregoś wieczoru przyniosłam ci herbatę, kiedy przeglądałaś notatki dotyczące pacjentów. – Opowiada tę historię cichymi słowami, głosem człowieka, który znalazł się na końcu długiej, wyczerpującej drogi. – Na ekranie widniało jego nazwisko. To samo, które prześladowało mnie każdego dnia od czasów Melanie. Pokrętny los skierował go w twoje ręce. – Wzdycha przeciągle i spogląda na mnie z wyraźną udręką. – Tak mi przykro, że musiał umrzeć na twoim stole, kochanie. – Jej klatka piersiowa unosi się pod wpływem szlochu. – Musiał umrzeć. – Obejmuje mnie, a ja pozwalam przyciągnąć się bliżej; wtulam twarz w jej włosy i wdycham zapach jej perfum.

– Tak, musiał umrzeć – szepczę i przytulam ją szlochającą, a nasze łzy mieszają się ze sobą. – Dopilnowałam tego.

TRZYDZIEŚCI TRZY

WINA

Te dwa słowa przynoszą mi niewyobrażalną ulgę. Ukrywanie tego sekretu przed mamą bardzo mi ciążyło.

Przynoszę jej kieliszek wina, z trudem odkorkowanego Pinot Noir. Później nalewam sobie i z pełnym kieliszkiem siadam na kanapie obok mamy.

Potrzebuję trochę czasu w samotności, by przyrzeć się swoim uczuciom. Wydarzenia ostatnich trzech tygodni sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać nad tym, z jakiej gliny jestem ulepiona.

Myślę o mamie i o sobie, siedzących na kanapie i popijających wino, i zadaję sobie pytania: „Kim tak naprawdę jesteśmy? Kim się stałyśmy z powodu naszych czynów i jak będziemy z tym żyć?”.

To nie są łatwe pytania.

Mama wypija łyk wina i odstawia kieliszek na stół.

– Powiedz mi, skąd wiedziałaś, kim był twój pacjent?

Przez chwilę wpatruję się w nicość.

– Czułam, że coś jest nie tak od dnia, w którym ją adoptowaliśmy. Miała siniaki... ale ja sama byłam dzieckiem. Nie wiedziałam, co oznaczają. Myślałam, że została pobita albo zrobiła sobie krzywdę. Przepłakałaś wtedy całą noc i przez jakiś czas się bałam, że coś jest nie tak. – Przysuwam kieliszek do ust, ale jeszcze go nie

dotykam. – I miałam rację, nie wiedziałam tylko co. – Uśmiecham się do mamy z wdzięcznością. – Potem Melanie zaczęła chodzić na terapię, a ja wyciągnęłam pierwsze wnioski: że była bita albo maltretowana.

– Nie miałam pojęcia, że jesteś tak świadoma – szepcze mama, wpatrując się w swoje artretyczne dłonie. Powoli prostuje palce i je rozciera, żeby pozbyć się bólu, na ile to możliwe. – Powinnaś była coś mi powiedzieć.

Tak, powinnam była. Dzieci, zwłaszcza nastolatki, bywają głupie. Noszą ciężar świata na swoich barkach zupełnie niepotrzebnie, a przynajmniej przedwcześnie.

– Pewnego dnia poszliśmy do parku, a ona się rozplakała, kiedy zobaczyła go na ławce. Zapamiętałam tylko jego znamię. Jest wyjątkowe.

– To dlatego nie chciała już chodzić do parku? Pewnej niedzieli wyplakiwała sobie oczy, kiedy chciałam was zabrać na spacer. – Kiwam głową. Mama kładzie dłoń na piersi, jakby chciała uspokoić serce. – Żałuję, że nie wiedziałam.

– Wtedy nie wiedziałam, jak się nazywa. Nie miałam pojęcia, kim jest, dopóki ponownie nie zobaczyłam znamienia, kiedy leżał na moim stole z otwartą klatką piersiową. – Kręcę głową, wspomnienie tamtego dnia wciąż nie daje mi spokoju. – Gdy miałam mniej więcej szesnaście lat, pewien program telewizyjny otworzył mi oczy i zaczęłam podejrzewać, że Melanie mogła zostać przez niego zgwałcona. Jej zachowanie w dniu, w którym przywieźliśmy ją do domu, wskazywało na to, że siniaki na nogach były czymś więcej niż tylko śladami pobicia. – Poruszam kieliszkiem i bawię się nim; wiruje, a światło tworzy na nim rubinowe refleksy. Wzburzony płyn

obrazuje stan mojego serca. – Pamiętasz, jak bardzo bała się taty? Nie chciała, żeby jej dotykał albo trzymał za rękę.

– Potrzebowała mniej więcej roku, żeby zrozumieć, że twój ojciec w niczym nie przypomina tamtego człowieka. W dniu, w którym wyciągnęła do niego rękę, płakał z radości.

Słodko-gorzka informacja dotycząca Melanie i taty, mały cenny kawałek jej krótkiego życia z nami, który jakoś przegapiłam. Cieszę się ich szczęściem o kilka dekad za późno. Dociera do mnie poczucie zmarnowanego czasu i świadomość utraty bliskich, drzę jak liść na listopadowym wietrze.

– Obiecałam jej, mamó – szepczę zdławionym głosem, który wydaje się obcy. – Tamtego dnia w parku obiecałam jej, że będę ją zawsze chronić. – Kręcę głową z niedowierzaniem, przywołując wspomnienia zbyt bolesne, by je wyrazić słowami. – Spała w moim łóżku tamtej nocy i przez wiele następnych, a ja jej przysięgam, że ten mężczyzna nigdy więcej się do niej nie zbliży.

– Tak się cieszę, że miała ciebie. – Mama ścisła moją dłoń drżącymi, sękatymi palcami. – I że dla niej tyle robiłaś. Byłaś jej aniołem stróżem. – Odstawiam kieliszek z winem na stół i chwytam ją za rękę.

– Ale mnie tam nie było, mamó – wyznaję. – Obiecałam jej, że ten człowiek już nigdy jej nie skrzywdzi... a to zrobił.

– Nie, to nie była twoja wina. – Łzy wypływają spod jej zamkniętych powiek, które zaciskają się pod wpływem moich słów.

– Była – mówię głośniej. – Powinnam była wiedzieć. Kiedy zginęła, byłam na tyle dorosła, że powinnam była wiedzieć. Przygotowywałam się do studiów medycznych, na litość boską. Byłam dorosła, chodziłam na randki, uprawiałam seks, rozumiałam wszys-

tko o wiele lepiej niż ona. – Spuszczam głowę, by ukryć łzy. Luźne kosmyki włosów opadają mi na twarz, a mama je odgarnia, jakbym była dzieckiem.

– Nie, córciu, to nie była twoja wina.

– Powinna była wiedzieć – powtarzam uparcie, nie pozwalając, żeby mama mi wybaczyła, skoro ja sama sobie nie wybaczyłam. Puszczam jej dłoń, wstaję i zaczynam chodzić po korytarzu jak uwięzione w klatce zwierzę. Zaciśnięte w pięści dłonie trzymam na piersiach, jakbym szykowałam się do walki na śmierć i życie, ale walczę ze sobą. – Kiedy mi powiedziała, że wybiera się na pierwszą randkę, ucieszyłam się. Byłam taka szczęśliwa, że ma szansę na porządne życie, na chłopaka, a później męża, rodzinę, dzieci. – Tupię nogą i spoglądam na mamę, jakby to ona wszystko spieprzyła. – Wiesz, czym się zajmowałam tamtego wieczoru, zanim wyszła? Układałam jej włosy i robiłam makijaż. Cesałam ją, mamó!

Słucha mnie i patrzy na mnie z życzliwością, ze zrozumieniem i z ogromnym smutkiem. O nic nie pyta, nie pogania mnie. Po prostu jest przy mnie, jak zawsze.

– Pozwoliłam jej włożyć moją niebieską spódnicę z koła i białą bluzkę w paski. Bardzo tę spódnicę lubiła, pamiętasz? – Mama kiwa głową i ociera łzę w kącie oka. – Wirowała i wirowała w niej, śmiejąc się tak głośno, że było ją słychać na dole. A potem ułożyłam jej włosy. – Uśmiech, który pojawił się w moich oczach na wspomnienie Melanie wirującej w fali niebieskiego szyfonu, ginie zasnuty gniewem. – Nie wpadłam na to, żeby ostrzec ją przed chłopakami.

Ciężar tego, czego nie zrobiłam, jest tak przytłaczający, że wciąż trudno mi o tym mówić. Kręcę się w kółko, próbując znaleźć odpowiednie słowa.

– Jej chłopak był od niej o rok starszy i dość sympatyczny, ale wiadomo, chłopak to chłopak. Prędzej czy później do czegoś się posunie, prawda? Pocałuje ją, może dotknie nóg, piersi... Wiedziłam o tym i nie pomyślałam, żeby jej powiedzieć, że nie wszyscy mężczyźni są tacy sami, nie wszyscy są Calebem Donagham. – Gestykuluję gniewnie. – Nadal nie wiem, jak mam z tym żyć.

Mama patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami pełnymi cierpienia i łez. Jej drżąca dłoń ponownie zakrywa usta, by stłumić bezgłośny szloch.

– Co gorsza, nie powiedziałyśmy ci, dokąd jedzie. Chciała zachować to w tajemnicy, a ja... – Głos mi się łamie i muszę się uspokoić, żeby znów móc wydobyć z siebie słowa. – Byłam taka szczęśliwa, kiedy patrzyłam, jak tańczy w tej spódnicy, jak się przygotowuje do swojej pierwszej randki, zauroczona chłopakiem... Tak bardzo chciałam wierzyć, że nic jej nie jest, że doszła do siebie, a może nawet nie pamięta, co tamten mężczyzna jej zrobił, gdy była mała. – Wzdycham ciężko, gdy mroczne wspomnienia wdzierają się do mojego umysłu, a poczucie winy, żalu i gniewu bezlitośnie rozrywa mnie na strzępy.

– Chodź tutaj, usiądź ze mną – prosi mama, ale nie jestem jeszcze na to gotowa. Drżenie nóg każe mi biec, lecz nie mam dokąd uciec. Tak długo, jak długo będę żyć, będę musiała dźwigać ten ciężar.

– Powinnam była z nią porozmawiać... – Tłumię szloch, który chce się wydrzeć z mojej piersi. – Do tej pory nie jestem w stanie wejść do jej pokoju. Tyle szczęśliwych chwil w nim przeżyliśmy. Wciąż widzę, jak się śmieje. Zamykam oczy i widzę, jak tańczy niczym derwisz, wiruje w mojej niebieskiej spódnicy, wyciągając ręce, jakby chciała wzbić się w niebo. Kręci się, kręci i kręci, aż bez tchu pada

na podłogę i tonie w morzu kolorów i szczęścia. – Z trudem przetykam ślinę; nie mogę przestać mówić, choć boli mnie każde wypowiedane słowo. – A potem przypomniałam sobie jej ciało, jego ciężar, to, jakie było w moich ramionach, zimne, bez życia, potwornie ciężkie. Podniosłam ją, ale było za późno. Wyszłam tylko na dziesięć minut, żeby wziąć prysznic.

Zatrzymuję się i zerkam na drzwi sypialni Melanie, fragment lśniącego dębu na szczycie schodów. Tam kryją się strzępy mrocznych wspomnień, których nie potrafię ująć w słowa. Moje krzyki o pomoc, gdy znalazłam ją powieszoną na drążku łóżka. Szybkie kroki taty, jego oszołomione spojrzenie, gdy wyciągał jej bezwładne ciało z moich ramion, odrywając od niego moje ręce, które nie chciały wypuścić Melanie. Rozdzierający serce krzyk mamy, gardłowy i przeraźliwy. W tym pandemonium mój własny głos wykrzykujący jej imię, niepoddający się.

– Nawet nie zauważyłam, jak bardzo zdenerwowana wróciła. Nie zostawiłabym jej samej. Nie przyszło mi do głowy, że ze sobą skończy. Odtwarzam w myślach tamte godziny, tamten dzień i zastanawiam się, jak mogłam tego nie widzieć.

Po policzku mojej matki spływa kolejna łza.

– Och, córeńko... niczego nie przegapiłaś. Doskonale pamiętam tamten dzień, nie wyglądała na wzburzoną. Kilka dni po pogrzebie rozmawialiśmy z jej chłopakiem, powiedział, że nagle się rozplakała, gdy oglądali film, i chciała wracać do domu. Prawdopodobnie jej dotknął, jak mówiłaś, i wyzwoliły się w niej negatywne emocje i wspomnienia, które wyparła, a może przyczyną była jakaś scena w filmie. W każdym razie to nie twoja wina. Naszą Melanie zabił Caleb Donaghy w dniu, w którym po raz pierwszy jej dotknął.

– Wiesz, cały czas to sobie powtarzam. To łatwiejsze niż patrzenie na swoje odbicie w lustrze ze świadomością, jak potwornej rzeczy jestem winna. Mogłam z nią porozmawiać, zorganizować podwójną randkę albo zapytać terapeutkę, jak najlepiej postąpić w tej sytuacji. Zgadza się, Caleb Donaghy zabił moją siostrę, nie mam co do tego wątpliwości, ale ja się zachowałam jak bezmyślna, samolubna obserwatorka i dopuściłam do tego, że to się stało praktycznie na moich oczach.

Mama lekko zadziera głowę. Sięga po kieliszek.

– Cieszę się, że on nie żyje – szepcze.

Siadam obok niej i biorę ze stolika swój kieliszek. Wino zrobiło się ciepłe, ale nie zwracam na to uwagi.

– Ja też.

– Może być nagranie – szepcze, wpatrując się w swój kieliszek. – Ze mną, no wiesz, w szpitalu.

– Zniknęło – odpowiadam beztrosko, jakbym informowała, że wyniosłam śmieci. – Prawie całe. Najgorszych części już nie ma. – Patrzę na nią i w jej oczach nie dostrzegam zmartwienia, tylko spokój. Dawno nie widziałam jej tak spokojnej. – Teraz musimy po prostu zachować zimną krew, dopóki burza nie minie.

Kiwa głową, a blond włosy opływają jej ramiona. Zawsze były piękne.

Muszę ją zapytać, bo inaczej czeka mnie wiele bezsennych nocy.

– Co było w strzykawce?

Nie jest oburzona moim pytaniem, raczej zdziwiona, jakbym powinna się była domyślić.

– Potas, a cóż by innego?

Bez słowa, z wdzięcznością podnoszę wzrok akurat wtedy, gdy przed dom zajezdza samochód Derrecka i do środka przez szpary w zasłonach wpadają smugi światła reflektorów. Płyn kardioplegiczny również zawierał potas, tylko w niższym stężeniu. Początkowego stężenia potasu u pacjenta nie można było stwierdzić podczas sekcji zwłok, bo w trakcie zabiegu przez dwie minuty przepłukiwałam serce solą fizjologiczną. Nadmiernie wysokie stężenie potasu nie pozwoliło mu ponownie podjąć pracy, skutecznie zatruwając je podczas operacji.

Podnoszę kieliszek.

- Za sprawiedliwość - szepczę. Mama podnosi swój. - I za Melanie.

Derreck zastaje nas na sofie zapłakane, trzymające się za ręce. Marszczy czoło zaniepokojony.

- Co się stało?

- Nic - odpowiada spokojnie mama. Babska rozmowa, trochę powspominałyśmy.

Patrzy na mnie, jakby ponownie zadawał pytanie bez użycia słów. Uśmiecham się do mężczyzny, którego tak kocham.

- Nic, skarbie, wszystko w porządku.

Nie wiem, o ilu dzisiejszych wydarzeniach mogę mu powiedzieć. Nie swoich tajemnic nie powinnam wyjawiać.

Nie mam pojęcia, jak się potoczą sprawy, bo ta cała Paula Fuse-
lier najwyraźniej za wszelką cenę chce doprowadzić do mojego up-
adku. Może znajdzie oryginalny worek z kardioplegią, ten,
do którego mama wstrzyknęła potas. Co po śmierci pacjenta dzieje
się z opakowaniami zużytych materiałów? Dociera do mnie, jak
niewiele wiem na ten temat. Być może worek po płynie kardiople-

gicznym leży teraz w biurze koronera hrabstwa Cook, na stole laboratorium kryminalistycznego. Podstawowe badanie wykazałoby, że stężenie roztworu było nieprawidłowe. Gdyby działali z zaangażowaniem, mogliby przejrzeć nagrania monitoringu i znaleźć te, których nie usunęłam. Mike, nowy kierownik zmiany, od niechcienia wspomniałby, że zjawiłam się w biurze ochrony w środku nocy, oglądałam nagrania, i że zostawił mnie samą na kilka minut.

Jedno wiem i to mnie przeraża.

Dzisiejszy wieczór może być ostatnim, jaki spędzamy razem.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

NAGRANIE

Siedzimy na kanapie przy grającym telewizorze po lekkiej kolacji, którą przygotował dla nas Derreck – pysznej greckiej sałatce z oliwkami kalamata i dużą ilością tymianku, podanej ze słonymi krakersami i omletem z serem.

Nie zjadłam dużo; myśli wywołują we mnie tak wielki niepokój, że nie mogę znieść nawet towarzystwa bliskich mi osób. Powtarzam sobie, niczym sekretną mantrę zdolną odmienić bieg zdarzeń: to nie są fakty, to tylko moje wyobrażenia. To z nich rodzi się lęk.

Ale może ten strach, który wywołuje dreszcze na plecach, wcale nie jest bezpodstawny. Dowody świadczące na moją niekorzyść są prawdziwe i w każdej chwili w drzwiach może stanąć policja.

Dopóki Paula Fuselier kontynuuje śledztwo, wszyscy jesteśmy zagrożeni.

Na pozór spokojni i rozluźnieni, oglądamy telewizję z kieliszkami w dłoniach. Derreck nalewa wina z drugiej butelki Pinot Noir, którą z łatwością odkorkowuje. Zaczyna ode mnie, a ja trzymam dłoń z kieliszkiem wyciągniętą tak długo, aż zostanie wypełniony niemal po brzegi. Alkohol w stanach lękowych nie jest wskazany, ale mnie pomaga. Tyle że ja nie zmagam się ze stanami lękowymi... Ja po

prostu mam uzasadnione obawy o bezpieczeństwo własne i swojej matki, o naszą przyszłość, a nawet o życie.

Oglądamy serial kryminalny. Rzadko mam czas na takie rzeczy, a telewizor włączyłam w trakcie trwania odcinka. Trafia bardziej w gust mamy niż mój. Program skłania widza do kibicowania glinom, przedstawiając zabójcę jako godnego pogardy, podłego złoczyńcę. Czy taka właśnie jestem? Jaka jest mama? Czy gdyby inni ludzie oglądali serial o moim życiu, kibicowaliby Pauli Fuselier? A może stwierdziliby, że dzięki nam potwór nie skrzywdzi już żadnej dziewczynki? Wino najwyraźniej nie łagodzi mojego kryzysu tożsamości.

W przerwie reklamowej Derreck przynosi miseczkę precli. Pewnie się nie najadł. Jego żołądek, w przeciwieństwie do naszego, nie burczy ze strachu na myśl o gliniarzach, którzy lada chwila wpadną za próg.

Zaczyna się kolejna reklama i rozpoznaję ścieżkę dźwiękową. To jeden ze spotów Derrecka, ten, który puszcza na okrągło, o zaangażowaniu w obniżenie wskaźników przestępczości o połowę i uczynienie Chicago bezpiecznym miejscem. Znam każdy szczegół, więc zamykam oczy, żeby uciec na chwilę od otaczającej mnie rzeczywistości, i skupiam się na wewnętrznych bestiach; błagam, by pozwoliły mi oddychać.

– Jak idzie? – pyta mama Derrecka, gdy wraca. – Prowadzisz? – Spoglądam na nią, zaskoczona jej nagłym zainteresowaniem. Uśmiecha się, pozornie zupełnie swobodnie, jakby nigdy nic. – Co mówią sondaże?

Derreck promienieje pomimo zmęczenia widocznego pod oczami.

– W tej chwili mam największe szanse, wyprzedzam urzędującego burmistrza o siedem procent. Siedem to niewiele, ale... to dobre miejsce jak na początek kwietnia. – Podnosi jej dłoń do ust jak dżentelmen. – Bez ciebie by mi się to nie udało. Twoje wsparcie finansowe i moralne było niesamowite.

– Oj tam – odpowiada, uśmiechając się szeroko. Widać, że jego słowa ją zaniepokoiły. – Trafił mi się najlepszy zięc, jakiego mogłam sobie wymarzyć, Derreck. Jestem pewna, że wygrasz.

Mój mąż podnosi kieliszek.

– Za sukces! – Wypijamy łyk, a ja staram się uciszyć wewnętrzne głosy. Może wygrać, o ile jego żona nie zostanie aresztowana. Albo teściowa.

– Z przyjemnością zorganizuję dla ciebie zbiórkę pieniędzy – oferuje się mama. – Mogę tutaj ładnie posprzątać, na schodach i poręczy na piętrze powiesić chorągiewki. I może tu, na górze. – Wskazuje wysokie okna salonu. – Dzień Pamięci to dobra okazja, nie sądzisz? – Derreck kiwa głową i lekko wierci się w fotelu. Zdaje się, że jest nieco skrępowany, ale mama najwyraźniej tego nie zauważa. – Znam paru lekarzy z głębokimi kieszeniami, którzy chętnie poparliby kandydata skorego do bezkompromisowej walki z przestępczością.

– Świetnie – odpowiada mój mąż, gdy spot się kończy. Mam wrażenie, że nie czuje się komfortowo, rozmawiając o tym z mamą, co jest dość dziwne. Nie przejmuję się tym zbytnio: wszyscy miewamy gorsze dni, a mnie niepokoją inne, poważniejsze sprawy.

– Nie miałam okazji wam powiedzieć, że się dowiedziałam, kto zadzwonił do prokuratury w sprawie mojego pacjenta. – Siłę się na swobodny ton, ale mój głos jest spięty, niemal nieprzyjemny. –

Mama i Derreck przyglądają mi się uważnie. Derreck marszczy brwi. – Lee Chen, wyobraźcie sobie. Mój pielęgniarz chirurgiczny – wyjaśniam Derreckowi, który może nie pamiętać, kim jest Chen.

– Czyli jednak ktoś zadzwonił do biura prokuratora stanowego? – mruczy jak gdyby do siebie. Wygląda, jakby z niewiadomego powodu mu ulżyło. Dopija resztę wina i chwyta butelkę, by napełnić swój kieliszek.

– Tak, ale wygląda na to, że nie miał wyboru. Zmuszono go szantażem.

– Co takiego? – Twarz mojego męża przypomina chmurę gradową. Mama chyba wstrzymuje oddech.

– Zatrzymali go za jazdę pod wpływem alkoholu i zaproponowali układ – wyjaśniam i widzę, że każde moje słowo wprawia Derrecka w coraz większe zdenerwowanie. – Tego wątku jeszcze nie rozumiem, ale M przygląda się temu z naszym radcą prawnym. Lee powiedział, że zaproponowano mu umowę w zamian za wszelkie obciążające informacje na mój temat kilka miesięcy przed śmiercią mojego pacjenta. W październiku zeszłego roku.

Derreck zrywa się na równe nogi i pędzi do kuchni. Tam otwiera lodówkę i wpatruje się w nią, jakby czegoś szukał. Po dłuższej chwili wraca z butelką Grey Goose i kilkoma kieliszkami. Stawia je na stole i proponuje mi jeden, ale odmawiam, ponownie zauważając, jak bardzo jest wściekły. Napełnia kieliszek wódką i wypija go jednym haustem. Potem wypija kolejny.

– Co się stało? – pytam, choć doskonale wiem. Na pewno nie jest łatwo przyjąć wiadomość, że żona znajduje się na celowniku prokuratury stanowej jak jakiś gangster. W chwilach takich jak

ta chciałabym, żeby po prostu dał sobie spokój z polityką, zajął się w życiu czymś spokojnym i sensownym. Jestem samolubna.

– Wszystko się chrzani – mruczy, drapiąc się w czoło. – Zadzwoń w parę miejsc. – Podnoszę dłoń, chcąc go powstrzymać, ale sprzeciwia mi się, robiąc to samo. – Muszę. Wszystko się wymyka spod kontroli, tak dalej być nie może. Chodzi o moją karierę, zgadza się, ale też o twoje, o nasze życie. Nie mogę się temu przyglądać z założonymi rękami.

Nim zdążę odpowiedzieć, mój telefon dźwiękiem informuje o nadejściu wiadomości, ale postanawiam go zignorować. Chwilę później dzwoni ponownie. To może być coś pilnego.

Sięgam po telefon i widzę wiadomość od M. Nigdy wcześniej, przez wszystkie lata współpracy do mnie nie pisała. Jej pierwsza wiadomość brzmi: „Do obejrzenia teraz”, i zawiera link. Druga wiadomość powtarza słowo „Teraz”, po którym następują trzy wykrzykniki.

– Co się stało? – pyta mama.

– M przysłała mi jakiś filmik. Nie wiem, o co chodzi. – Uświadamiam sobie, że boję się otworzyć link.

Derreck przysuwa głowę do mojej.

– Ja też chcę zobaczyć, chyba że to sprawy medyczne.

Ze względu na nich oboje nie mogę zwlekać. Klikam w link i ściągam artykuł z dodanym wideo. Informacja z datą sprzed czterech dni mówi o aresztowaniu w sprawie morderstwa jakiegoś chłopca. Kojarzę, że obito mi się to o uszy: chłopiec miał zeznawać w procesie o morderstwo. Zerkam na Derrecka, zastanawiając się, jaki to ma związek ze mną. Dlaczego dyrektorka mi to przysłała?

Mój mąż jest blady, na czole ma drobne kropelki potu. Wpatruje się w wyświetlacz z tym słabo skrywanym przerażeniem, jakie maluje się na twarzach ludzi obserwujących śmiertelny wypadek samochodowy. Widać, że stara się zapanować nad emocjami, ale zdradzają je rozszerzone źrenice, zacięty wyraz twarzy i pięści zacisnięte tak mocno, że palce ma pobieleałe.

– Puść ten film, córciu – prosi mama.

Robię to, zastanawiając się, co takiego może być powodem niepokoju Derrecka. Nagranie przedstawia konferencję prasową, którą prowadzi nie kto inny jak Paula Fuselier przed podupadłym wieżowcem gdzieś w centrum miasta, na ulicy, którą nigdy nie odważyłabym się przejechać. Dziennikarzy jest niewielu. Odpowiada na pytania dotyczące ofiary będącej głównym świadkiem, którego jej biuro nie ochroniło. Należałoby powiedzieć, że nie odpowiada na te pytania, słabo się broni i sama sobie zaprzecza.

Następnie na nagraniu pojawia się Derreck udzielający odpowiedzi tej samej grupie na pytania dotyczące przestępczości i jego kampanii burmistrzowskiej.

Był tam z tą kobietą.

Oddech więźnie mi w piersi, a serce zaczyna łomotać pod wpływem adrenaliny. Oglądam wideo, bojąc się tego, co przyniesie kolejna sekunda. Na małym telefonicznym wyświetlaczu widać Derrecka rozmawiającego z mediami, ale po chwili ukazuje się ujęcie rozmowy Derrecka i Pauli: kilka sekund, nie więcej. Widok kobiety, która próbowała doprowadzić mnie do upadku, stojącej tak blisko Derrecka, jest dla mnie ciosem prosto w serce. Mój mąż na nagraniu wydaje się zdystansowany, nawet wręcz zły i dość oficjalny. Zwykle gdy chce, by ludzie czuli się swobodnie, pochyla się nieco do przodu,

żeby nad nimi nie górować. Przy niej jest tak wyprostowany jak struna.

Kiedy podnoszę wzrok znad ekranu, widzę mamę wpatrującą się we mnie z wyrazem bólu w oczach.

– Kto to, kochanie?

Patrzę na Derrecka, ale wciąż ma spuszczoną głowę.

– Prokurator z biura prokuratora stanowego, o której ciągle ci opowiadam. Paula Fuselier.

– Och... Znasz ją? – pyta Derrecka mama niewinnym tonem. – Chyba coś mi umknęło.

Mój mąż podnosi wzrok, jest całkiem spokojny i opanowany.

– Mówiłem ci, że wiem o jej istnieniu. Wpadamy na siebie przy okazji różnych wydarzeń. Nie mam wpływu na to, kogo zastaję na miejscu zbrodni i konferencjach prasowych prokuratora stanowego. Zaproponowałem, że z nią porozmawiam, ale nie pozwoliłaś. Moja propozycja jest nadal aktualna.

Wszelkie podejrzenia, które się zrodziły, osłabły i umarły. Rzeczywiście to mówił.

– Nie, nadal uważam, że dyrektorka by mnie zwolniła, gdybyś się w to wmieszał.

Widać, że Derreck czuje ulgę. Może kiedyś mi powie, o co chodzi.

Dziś nie będę go zamęczać. Jedno pytanie mogę jednak zadać: nie jemu, ale M.

Włączam ekran komunikatora i odpowiadam na wiadomość.
Skąd to pani ma?

Chwilę później otrzymuję mrozącą krew w żyłach odpowiedź.

Anonimowy nadawca.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

POCAŁUNEK

W środę rano nikt nie powstrzymał Pauli przed wejściem do gabinetu Anne. Odrobiła pracę domową. Anne i jej wścibska sługuska Madison były na sali operacyjnej do około jedenastej. Paula miała mniej więcej pół godziny, ale nie chciała przegapić okazji, zamierzała złapać lekarkę zaraz po zabiegu.

Nie miała porządnej strategii. Tak naprawdę nie miała żadnej strategii, jedynie pomysł, ostatnią nadzieję na odwrócenie sytuacji – zamierzała wykorzystać emocjonalny stres, jaki zapewne przeżywała Anne z powodu widoku ukochanego męża rozmawiającego i występującego na konferencji prasowej z kobietą, która próbuje ją zniszczyć. Teraz, kiedy lekarka była całkiem bezbronna, mogła przesłuchać ją ponownie, z nadzieją że tym razem się ugnie.

Plan był marny. Tak marny, że właściwie trudno go było nazwać planem, przypominał babie lato na wietrze, ale innego punktu zaczepienia nie miała. Jeśli jej się nie powiedzie, Hobbs dopnie swego, pozbawi ją prawa wykonywania zawodu i jej kariera dobiegnie końca. Co do Derrecka... był już historią. Jeśli nawet kiedykolwiek ją kochał, na związek było za późno. Okrutnie się co do niego pomyliła. Lubił ją w łóżku i nic ponadto. Zrzucił ją z grzbietu niczym dziki, nieposkromiony osioł.

Cała jej strategia legła w gruzach, obracając jej życie w popioły. Wsunęła dłoń do kieszeni prążkowanej marynarki i poczuła zimny pistolet. Miała przynajmniej to... Anne Wiley w taki czy inny sposób zapłaci za swój postępek.

Usiadła przy biurku Anne i oparła o nie stopy. Nienawidziła wszystkiego w tym gabinecie: okna od podłogi do sufitu za jej plecami, dzięki któremu wewnątrz zalane było naturalnym światłem, regału zastawionego podwójnymi rzędami opasłych tomów medycznych, lekkiego zapachu lawendowego odświeżacza powietrza i kawy, miękkiej skóry jej krzesła. Derreck spoglądał na nią z oprawionego w ramkę portretu na górnej półce regału. Uśmiechał się uroczo, jego piękna twarz była zrelaksowana i o kilka lat młodsza.

Do niej nigdy nie uśmiechał się w ten sposób.

Niektórzy po prostu mają wszystko. Nawet jeśli na to nie zasługują.

Czerwona teczka z logo szpitala była, nie licząc laptopa, jedynym przedmiotem na biurku związanym z pracą. Podniosła klapę i spróbowała się zalogować, ale jej się nie udało; był chroniony hasłem. Nic dziwnego. Komputer zostawiła uruchomiony i otwarty: jeszcze jedna próba wytrącenia Anne z równowagi. Gdyby miała na dysku coś do ukrycia, Paula zorientowałaby się po reakcji Anne.

Wszystkie inne przedmioty poza tymi dwoma były rzeczami osobistymi. Duża lakierowana szyszka, która nie wiadomo skąd się wzięła i jakie miała przeznaczenie. Niemniej jednak skoro Anne ją tu trzymała, musiała być dla niej ważna. Paula miała ochotę tupnąć nogą.

Po lewej stronie biurka stały dwie małe, oprawione fotografie. Paula patrzyła na nie przez dłuższą chwilę, chłonąc każdy bolesny szczegół. Nienawidziła widoku Anne już jako nastolatka. Kto, do di-

abła, dał jej prawo, by tak się śmiać w słońcu, z tymi długimi blond lokami i śnieżnobiałymi, idealnie prostymi zębami? Podniosła zdjęcie i wpatrywała się w twarz Anne, marząc o tym, by wydrapać jej oczy, choćby tylko na zdjęciu. Chroniła je cienka warstwa szkła, a ona nie była jeszcze gotowa na to, by zacząć niszczyć. Odłożyła ramkę na biurko ostrożnie, z niepokojem, nie mogąc oderwać wzroku od fotografii. Później spojrzała na drugą i zamarła. Zdegustowana, podniosła ją i przysunęła do siebie zszokowana.

Coraz głośniejsze kroki za drzwiami przerwały jej rozmyślenia. Odłożyła zdjęcie i usiadła wygodnie w fotelu, czekając na Anne. Zamiast niej do środka wtargnął Derreck.

Instynktownie włożyła rękę do kieszeni, chwyciła za rękkość i mocno ją ścisnęła. Gdyby to była ostatnia rzecz, jaką przyszłoby jej zrobić, pociągnęłaby za spust.

– Szlag – mruknął Derreck, patrząc na nią ze środka pokoju. – Nie mogę uwierzyć w to, co wyprawiasz, Paula. Niszczysz sobie życie. I po co? Dla durnego romansu?

– Więc tylko to cię ze mną łączyło? Durny romans? – wyszeptała te słowa, skrywając emocje najlepiej, jak umiała.

Derreck wpatrywał się w nią przez chwilę.

– Co tu robisz?

– Pracuję – odparła chłodno, obchodząc biurko i zatrzymując się kilka kroków od dawnego kochanka. Poczula zapach jego wody po goleniu, który przywołał wspomnienia namiętnych nocy i niedotrzymanych obietnic. – Twoja żona złamała prawo, Derreck, a ja nie mam powodu, by jej odpuszczać, skoro między nami wszystko skończone.

Ani drgnął, patrzył tylko na nią jak na wariatkę. Nienawidziła tego prawie tak bardzo, jak nienawidziła bycia zostawioną, wyrzucaną jak wczorajszy śmieć. Powoli zaczerpnęła powietrza, wypełniając nim płuca, by powstrzymać palącą, bolesną frustrację.

– A co ty tu robisz? – Uśmiechnęła się w sposób, w jaki zwykła to robić, gdy leżeli nadzy pod kołdrą. – Nie spodziewałam się, że uprzyjemnisz mi te chwile.

Też się uśmiechnął i wykonał lekceważący gest, aby pokazać jej, że nie po to przyszedł.

– Poszedłem do twojego biura, a twój śledczy Adam Costilla powiedział mi, że jesteś tutaj wbrew bezpośrednim i konkretnym rozkazom Hobbsa. Błagał mnie, abym powstrzymał cię przed robieniem tego, co właśnie robisz. – Szybkim, nerwowym ruchem przecesał dłonią włosy. – Do cholery, co ty wyprawiasz, Paula?

Wpatrywała się w jego zimne niebieskie oczy, szukając w nich choć najmniejszego śladu ciepła czy pożądania. Z całą pewnością od nienawistnego, arktycznego spojrzenia wołałaby pożądanie. Może to był tylko romans, a ona przez cały czas się myliła, ale było jej dobrze, dopóki wszystko trwało; przynajmniej przez chwilę czuła się szczęśliwa, piękna, pożądana i rozpieszczana, tak jak jego przekłeta żona musiała czuć się każdego dnia. Potem czar prysł z powodu Anne. A ona nawet nie wiedziała o romansie.

Cóż, może nadszedł czas, by się dowiedziała. Na ustach Pauli pojawił się lekki uśmiech.

– Podobno szantażowałaś jej współpracownika, żeby na nią donosił – wysyczał Derreck, zerkając uważnie w lewo i w prawo. – Co chciałaś osiągnąć?

Roześmiała się gorzko, nie spuszczać wzroku z korytarza za szklaną taflą. Zrobiła krok w lewo i przysunęła się do Derrecka. Zachował dystans, ale stał plecami do szklanej ściany. Nie miał szans zauważyć zbliżającej się Anne.

– Nie mów mi, że to pierwsza tego rodzaju umowa, z jaką się zetknąłeś w swojej karierze prawniczej. Prokuratorzy odstępują od drobniejszych zarzutów w zamian za informacje o groźniejszych przestępcach.

– Tym jest dla ciebie moja żona? Groźnym przestępcą?

– Mało wiesz – odparła spokojnie Paula, zerkając na ścienny zegar. Lada chwila miała wrócić Anne. Jeśli pierwsza zjawi się Madison, będą kłopoty i jej plan po raz kolejny pójdzie w diabły. – Nie znasz kobiety, którą poślubiłeś, burmistrzu.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Zmieniłeś zdanie? Już nie startujesz? – Przechyliła głowę i bawiła się kosmykiem włosów, trzepocząc rzęsami, bezwstydnie z nim flirtując.

Zignorował jej zaloty, ale zaczynał rozumieć sytuację. Szarpnął węzeł krawata i położył dłonie na biodrach.

– Paula, powiem ci, co się stanie. Wyjdiesz teraz ze mną i przestaniesz tu przychodzić. Do diabła, jeśli cierpisz na serce, nie tutaj powinnaś szukać pomocy. O cokolwiek ci chodzi, skończysz to teraz.

– Och, uwielbiam, kiedy mężczyzna dowodzi – wyszeptała, gdy tylko dostrzegła zbliżającą się Anne. Wspięła się na czubki palców, zarzuciła mu ręce na szyję i namiętnie pocałowała w usta.

Próbował wyrwać się z jej objęć, ale splotła palce za jego głową i przytrzymała jego wargi przy swoich, wyginając się w łuk i ociera-

jąc o niego, przywierając do jego ciała w czymś, co wyglądało na gorący uścisk.

Oderwał się od niej, odpychając ją, ale Anne zdążyła zobaczyć to, co Paula chciała pokazać.

Drzwi się otworzyły i Anne weszła do gabinetu. Wydawała się blada. Paula z uśmiechem oblizwała lubieżnie wargi. Przynajmniej tyle wygrała. Przez długą, rozkoszną chwilę upajała się intensywnym bólem, który widziała w jej oczach, chłonąc go tak łapczywie jak pożywienie po dziesięcioleciach głodu.

– Co tu się dzieje? – zapytała Anne, spoglądając na Derrecka, który wycierał wargi rękawem. – Co to ma znaczyć, Derreck? – Jej głos przeszedł na wyższe tony i lekko zadrżał.

Paula wyjęła z kieszeni pistolet i wycelowała go w klatkę piersiową Anne, odwracając się ostrożnie, by nie było jej widać z korytarza.

– Proszę usiąść, pani doktor.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

NA CELOWNIKU

Czuję się... zdruzgotana.

Nigdy nie sądziłam, że tak silny ból może uderzyć tak nagle i z taką siłą. Wciąż stoję i łapię oddech.

Ta kobieta dotknęła mojego męża w taki sposób, jakby byli starymi znajomymi; obraz jej ciała przy jego ciele na zawsze pozostanie wyryty w mojej pamięci. Odepchnął ją, owszem, ale po ułamku sekundy wahania. Gdyby Paula Fuselier nigdy wcześniej nie dotykała mojego męża, odepchnąłby ją mocno, powalił na regał, pozbawiając tchu. Nie uśmiechałaby się do mnie z miną zwycięskiej zdobywczynie, złodziejki rujnującej moje życie.

Nie mój Derreck. Nie. To nie może być prawda.

Pistolet w ręku Pauli Fuselier zbytnio mnie nie przeraża. Przerazają mnie inne rzeczy, takie jak utrata miłości i oddania Derrecka, i naszego wspólnego życia. To, jacy byliśmy do dzisiejszego ranka, odeszło na zawsze i nigdy nie wróci, nawet jeśli spróbuję zapomnieć, wybaczyć lub zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby ocalić to, co pozostało z naszej miłości.

Uginają się pode mną kolana i z trudem trzymam się na nogach.

Gdzie jest Madison? Czym się zajęła? Jedno spojrzenie zza szklanej ściany i będzie wiedziała, że są kłopoty. Zadzwoni po ochronę

i sprawa załatwiona.

Jakiś czas temu zastanawiałam się, skąd ludzie wiedzą, kiedy coś się dzieje po raz ostatni. Spokojna kolacja. Kochanie się. Przywitanie z ukochaną osobą. Po prostu nie wiedzą. Nie ma czegoś takiego jak przecucie. Przeczuwałabym nadejście tego koszmaru. Wyczułabym decyzję Melanie o zakończeniu życia. Poczulałabym coś i życie by nie miało mną, pozbawioną wpływu na okoliczności i niezdolną do zmiany kierunku, dryfującą i tonącą na bezkresnych burzliwych wodach.

Mrożąca krew w żyłach myśl wywołuje dreszcz na moich plecach. Przecież poczułam coś zeszłego wieczoru, gdy oglądałam tamto nagranie. Może czułam coś już wcześniej, ale postanowiłam nie zwracać na to uwagi, odrzucając podpowiedzi mojego szóstego zmysłu, odmawiając uznania jego wartości. To atawizm, pozostałość po przecuciu, które chroniło naszych przodków przed nadeptaniem węża lub wejściem w paradę lwu górskiemu. W Chicago nie ma lwów górskich, ale przecucie o tym nie wie. Nadal będzie nam mówić o węzach. Jeśli go posłuchamy.

– Proszę usiąść – mówi Paula, wskazując pistoletem moje biurko. Powoli obchodzę mebel na miękkich kolanach.

Siedząc, czuję się nieco pewniej, bo ciężar mojego ciała podtrzymuje krzesło. Kolana mogą być słabe, to już bez znaczenia. Wiem tylko, że już dłużej nie mogę sobie pozwolić na słabość.

– Czego chcesz, Paula? – Patrzę jej prosto w twarz i widzę oczy osoby z zaburzeniami emocjonalnymi, rozgorączkowanej i roztrzęsionej; na potwierdzenie diagnozy mam pistolet wycelowany w moją klatkę piersiową.

Nie mogę jednak spojrzeć na Derrecka. Nie mogę zmusić się do nawiązania kontaktu wzrokowego, ale wyczuwam, że na mnie patrzy.

Podchodzi do Pauli i dotyka jej ramienia, prawdopodobnie próbując odwrócić jej uwagę ode mnie.

– Powinnaś wiedzieć, że dziś rano złożyłem na ciebie skargę o molestowanie seksualne. Spotkałem się z twoim szefem, Mitchem Hobbsem. Bardzo się zainteresował tym, co mam do powiedzenia. Nie wiem, czego tu szukasz, ale to już koniec.

Mruży oczy z wściekłości i celuje w niego pistoletem, po czym pokonuje dzielącą ich odległość i przyciska broń do jego klatki piersiowej.

O *nie*. Wstrzymuję oddech. Jeśli teraz pociągnie za spust, kula przebije jego serce i będzie martwy, zanim jego ciało zdąży upaść na podłogę.

– Sukinsynu – szepcze powoli, cedząc głoski. – Załatwię cię.

Trzymając się krawędzi biurka, wstaję i pytam:

– Czego chcesz? – Ogromny smutek dławi mnie właśnie wtedy, w najgorszym możliwym momencie, sprawiając, że mój głos lekko drży.

Odwraca się i celuje we mnie, zostawiając w spokoju pierś Derrecka. Oddycham z ulgą.

– Stoi tuż przed tobą, a ty wciąż tego nie widzisz, prawda? – Jej głos jest przepełniony taką nienawiścią, że dostaję gęsiej skórki. Co takiego zrobiłam tej kobiecie?

Instynktownie patrzę na Derrecka. Jest przede mną i tylko na nim mi zależy.

- Nie on. - Parska śmiechem. - Ona. - Wskazuje na jedno ze zdjęć Melanie, to, które niedawno przywiozłam z domu. Wpatruję się w nie z niedowierzaniem, ale ona sięga do biurka i je podnosi.

- Oddawaj zdjęcie mojej siostry - mówię cichym, groźnym tonem.

- Twojej? - Śmieje się histerycznie, a lufa jej pistoletu porusza się w górę i w dół w rytm jej chichotu. - Próbowałam ci coś odebrać, tak jak ty odebrałaś mnie. Rok czekałam, aż ktoś umrze na twoim stole, aż popełnisz najmniejszy błąd, żebym mogła sięgnąć po to, co twoje, tak jak ty zabrałaś to, co moje. - Zapada pełna napięcia cisza. - Melanie!

Rozdziawiam usta z niedowierzaniem.

- Melanie? - szepczę, wyrażając w tym imieniu milion pytań.

- Przez dwadzieścia pięć lat szukałam mojej siostry po tym, jak się zjawiłaś i mi ją zabrałaś. Dwadzieścia pięć lat i jedyne, co miałam, to wspomnienie twojej twarzy z blond lokami, białymi zębami i beztroskim uśmiechem. Nie znałam twojego nazwiska ani niczego, co pomogłoby mi ją odnaleźć, pamiętałam tylko twoją twarz. Studiowałam prawo z myślą, że zostanę prokuratorem i doprowadzę do ujawnienia akt adopcyjnych. Ale nie, nawet jako prokurator nie zdołałam przekonać sędziego, by pozwolił mi zobaczyć, kto mi ją odebrał.

- Kim była dla ciebie Melanie? - pytam, choć sople lodu we krwi mówią mi, że znam odpowiedź.

- Siostrą. Moją, nie twoją. - W jej podniesionym głosie słyszę wyraźne nuty bólu. - Była jedyną rodziną, jaką miałam. Niech cię szlag, Anne Wiley!

Kłębiam się we mnie myśli. Mam zawroty głowy i mdłości. Kobieta celująca we mnie to siostra Melanie. Rodzona. Przez ułamek sekundy chcę ją objąć i trzymać w ramionach, jakbym w ten sposób po tych wszystkich latach mogła odzyskać część Melanie.

Nagle dopada mnie hołubione wspomnienie, którego zmienione znaczenie ponownie mrozi mi krew w żyłach.

Przypominam sobie list Melanie do Świętego Mikołaja z pierwszego przeżytego u nas Bożego Narodzenia. Chciała spędzać czas z siostrą, śpiewać z nią piosenki, czesać jej włosy nową, ozdobioną błyskotkami szczotką, spać z siostrą w noc Bożego Narodzenia. Byłam podekscytowana, oczarowana ponad wszelką miarę, przekonana, że jej list opowiada o mnie.

Myliłam się.

Prosiła Mikołaja, by pozwolił jej jeszcze raz zobaczyć prawdziwą siostrę.

Serce mi pęka na wspomnienie małej Melanie dającej mi swój list do wysłania z wielką nadzieją w oczach. Chciałam wierzyć, że tak bardzo mnie kocha. Teraz żałuję, że nic nie powiedziała.

– Nie miałam pojęcia, że Melanie ma siostrę – szepczę, walcząc ze łzami. – Nikt nam nie powiedział. Poinformowano nas tylko, że ciągle uciekała z domu zastępczego, a pomagała jej jakaś inna dziewczyna.

Z krzywym, smutnym uśmiechem, który przypomina raczej grymas, Paula kładzie przede mną oprawione w ramkę zdjęcie i stuka paznokciem w szybę obok twarzy Melanie.

– To byłam ja. Teraz widzisz podobieństwo? Miałaś to zdjęcie przed nosem i się nie połapałaś.

Kolana znów mi miękną i muszę powoli usiąść, nie chcąc puścić biurka, dopóki nie poczuje pod sobą krzesła. Biorę zdjęcie, przysuwam je przed oczy i studiuje każdy najmniejszy szczegół, który znam już na pamięć. Na pierwszym planie jest Melanie w dniu, w którym ją adoptowaliśmy, śmieje się i patrzy prosto na nas. W tle kilkoro innych dzieci bawi się, biega, niektóre kucają na ziemi i taplają się w błocie. Ale jedna dziewczynka, mniej więcej dwunastoletnia, patrzy na Melanie i na nas spod drzewa. Ma kilka luźnych kosmyków długich brązowych włosów na buzi, a jej pełne wargi są wydęte. Na jej twarzy maluje się ogromny smutek, który zauważyłam już wcześniej i pomyślałam, że dziewczynka smuci się dlatego, że to nie ona została adoptowana.

Miałam rację, ale tak bardzo się myliłam.

Kobieta przede mną ma usta tej dziewczynki, tylko trochę cieńsze i pokryte lśniącym błyszczkiem. Jej włosy mają dokładnie ten sam odcień brązu i nadal są długie, ale ułożone w elegancką, oficjalną fryzurę. A w jej oczach, o tym samym odcieniu brązu co oczy Melanie, goszczą smutek i gniew.

– Dwadzieścia pięć lat poszukiwań, proszenia, szlifowania chodników, żeby znaleźć ciebie i móc znów zobaczyć siostrę. – Jej głos jest teraz zimny, rzeczowy, emocje znikły, pozostała jedynie wściekłość. – Aż pewnego dnia, gdy utknęłam w korku na autostradzie międzystanowej przy West Loop, zobaczyłam ciebie. Z uśmiechem odsłaniającym idealne zęby mówiącą mi o życiu z pełnowymiarowego billboardu przy autostradzie. – Chichocze gorzko. – Tego dnia o mały włos wjechałabym w ciężarówkę, kiedy próbowałam odczytać twoje imię z tak dużej odległości. Doktor Anne Wiley.

Serce mi pęka, choć zamieniła moje życie w piekło.

- Nie miałam pojęcia.

- Zamknij się, do cholery - warczy, grożąc mi pistoletem. - Myślisz, że mnie obchodzi, co masz do powiedzenia? - Cofam się przerażona. - Najpierw zabrałaś moją Melanie, a potem ją zabiłaś.

Wpatruję się w nią szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Derreck przestępuje z nogi na nogę, pocierając czoło, jakby chciał je wygładzić. Daję mu znać, żeby się nie zbliżał.

- My nie...

- Nie miałaś pojęcia, przez co ona przechodziła - krzyczy, pochylając się nad biurkiem, aż znajduje się kilka centymetrów od mojej twarzy. Czuję jej gorący oddech na skórze. Instynktownie się cofam, ale to ją tylko rozwściecza. - Dwadzieścia pięć lat poszukiwań, aż w końcu cię znalazłam - mówi. - Twój adres, szpital, wszystko, co trzeba było wiedzieć o twoim idealnym życiu. Potem przeszukałam dokumenty, żeby znaleźć twój adres i twoje nazwisko, i trafiłam na akt zgonu Melanie. - Na jej twarzy maluje się wściekłość: nieprzepracowana żaloba, gorycz, złamane serce. - Wyobrazasz sobie? - Patrzy mi w twarz, jej oczy napęniają się łzami.

- Kupiłam jej nawet pluszowego misia, takiego jak ten, którego nie pozwoliłaś jej zabrać, kiedy mi ją kradłaś. - Na jej wargach drży tłumiony szloch. - Pięć lat, tyle z tobą wytrzymała. - Wstaje i prostuje się, pozornie odzyskując pewną dozę samokontroli i spokoju, choć daleko jej do tego. - Wtedy przysięgłam sobie, że pozbawię cię wszystkiego, co masz, i zmiążdżę cię własnymi rękami, gdy już wszystko stracisz.

Każde jej słowo przeszywa moje serce jak sztylet. Moje przekonania na temat Melanie były błędne. Moi rodzice nigdy nie

rozdzieliliby siostr przy adopcji; wzięliby je obie, a ja byłabym zachwycona drugą siostrą. Gdybyśmy tylko wiedzieli.

Wspomnienie rozpaczliwego płaczu Melanie wsadzanej do naszego samochodu, kiedy opuszczała sierociniec, rozdziera serce teraz, gdy rozumiem jego powód. Jej nagłe napady smutku, zwłaszcza w pierwszych dwóch czy trzech latach, to, jak czasem wyglądała przez okno... Wszystko tworzy inny obraz, gdy wiem o Pauli.

Paula powinna być zadowolona: pozbawiła mnie prawie wszystkiego, co kochałam najbardziej. Derrecka... a teraz Melanie. Związane z nią wspomnienia przekształcają się pod wpływem odbarwiającego filtru: *co by było gdyby i kto mógł wiedzieć*.

– Naprawdę nie miałaś pojęcia – szydzi Paula. Prawdopodobnie odczytała wyraz bólu na mojej twarzy. – Jak można być takim ignorantem? – Patrzy na mnie, jakbym była bezwartościowa, jakbym była dla niej śmieciem. – Nie obchodzi mnie to. Zabiłaś ją, nieważne, czy wiedziałaś, że ma siostrę.

Patrzę na nią ze smutkiem.

– Staraliśmy się, żeby była szczęśliwa. Chodziła na terapię, miała wszystko, czego potrzebowała, dobrą szkołę...

– Nie rozumiałaś, przez co przechodziła – krzyczy, uderzając pięścią w blat biurka. – Skąd mogłaś wiedzieć? Ciebie coś takiego nie spotkało, więc nigdy tego nie zrozumiesz. Ja rozumiem. Mogłam być przy niej, pomóc jej się z tym uporać.

Jej słowa przenikają mój umysł, zasiewają wątpliwości i poczucie winy większe od tych, które już nosiłam. Może mieć rację? Czy gdybyśmy nie adoptowali Melanie, Paula rozumiałaby jej zmagania lepiej niż ja?

Tak czy inaczej, ma prawo wiedzieć.

– Wiedzieliśmy – mówię cicho. – Dowiedzieliśmy się o znęcaniu pierwszej nocy w domu.

Prawa ręka Pauli wciąż trzymająca pistolet obniża się o kilka centymetrów.

– Wiedzieliście? – Jej ciałem wstrząsa szloch. Bierze głęboki oddech i wściekłość powraca. – Nie obchodzi mnie to, nie obchodzi mnie też twój głupi pacjent. Ale zapłacisz za śmierć Melanie. – Ręka trzymająca pistolet ponownie celuje w moją klatkę piersiową, mocno i pewnie.

– Proszę, odłóż broń, zakończmy to – szepczę. – Obie bardzo ją kochałyśmy. Bardzo bym chciała...

– Niech ci nie przyjdzie do głowy, że cokolwiek nas łączy. Nienawidzę cię za wszystko, nienawidzę nawet powietrza, którym oddychasz. Za to, że utrzymuje cię przy życiu.

– Pokazać ci jej zdjęcia – kontynuuję niezrażona. Gdzieś pod powierzchnią stwardniałą przez lata żalu i gniewu płynie krew kochanej Melanie. Nie umiałabym jej nienawidzić, żywić do niej urazy czy życzyć jej krzywdy. – Jest też wideo.

– Myślisz, że to ma teraz jakieś znaczenie? Że możemy stąd wyjść i zostać przyjaciółkami? – Jej podniesiony, drwiący ton zwraca uwagę przechodnia na korytarzu. Spogląda na nas, nie zwalniając kroku. – Obiecałam, że zabiorę ci wszystko, na czym ci zależy, i nie żartowałam. Ten żalosny frajer... – pogardliwie wskazuje głową Derrecka – ...był zaledwie początkiem.

– Chwileczkę – odzywa się Derreck, nie zwracając uwagi na broń.

Spoglądam na niego wymownie, nalegając, by się nie wtrącał. Może zdołam przemówić jej do rozsądku.

- Był łatwym celem - dodaje Paula, a ja chciałabym, żeby zamilkła. - Sypiał ze mną przez siedem miesięcy, od zbiórki pieniędzy w szpitalu, którą zorganizowałam. - Wpatruje się w moje otwarte usta i się śmieje. - Tak, byłam tam. Obserwowałam, na kim ci zależy, robiłam listę. Listę celów.

- Ty cholerna dziwko! - Derreck rzuca się w jej stronę, ale ona celuje w niego i mój mąż zastyga w bezruchu.

Pokój wiruje wraz ze mną coraz szybciej i szybciej.

- I jak się pani teraz czuje, pani doktor? - Śmieje się jak szalona. - Mam wezwać lekarza? Jesteś bliska ataku serca? To byłoby takie proste, co? Miałabym robotę z głowy i moglibyśmy z Derreckiem wrócić do naszego ulubionego apartamentu w LondonHouse, pieprzyć się i raczyć szampanem z przystawkami.

- Dość, proszę - mówię, szarpiąc kołnierzyk, jakby mnie dusił.

- Najśmieszniejsze jest to, że za te wszystkie pokoje hotelowe zapłaciłaś ty. On był goły i wesoły, jak cię poznał, mięczak z dyplomem prawnika i kredytami studenckimi. Ale ty, ty jesteś przy kasie, możesz finansować jego aspiracje zawodowe. Nic dziwnego, że cię kocha. - Znów się śmieje, a ja powoli umieram w środku. - Życzę wam wszystkiego najlepszego.

Pochyliłam się, bo czuję, że muszę się skulić.

- Ale zaraz, zaraz, życzenia się nie spełnią - mówi, puszczając oko do Derrecka. - To twój ostatni dzień na tej ziemi, pani doktor.

Derreck wypręża się, jakby szykował się do ataku. Spoglądam na niego błagalnie, a on lekko się rozluźnia.

Ostatkiem sił spoglądam na Paulę ze zrozumieniem.

- Kochaliśmy tę samą dziewczynkę całym sercem. Nie powinnaś mnie nienawidzić za to, że kochałam twoją siostrę.

- Dlaczego? – pyta, przechylając głowę na bok.

- Bo bardzo mnie kochała. Mogę ci to udowodnić. – Mój komentarz wywołuje wzburzenie Derrecka. Dotyka czoła i tupie nogą.

- Zamknij się, do cholery – krzyczy Paula, ale w jej głosie słychać łzy.

Wyraźnie rozgniewana własną słabością jednym ruchem zmiata wszystko z mojego biurka. Zdjęcia Melanie lądują na podłodze z dźwiękiem tłuczonego szkła. Szyszka, którą dała mi na czternaste urodziny, toczy się pod stopy Derrecka.

Czerwona teczka Caleba Donaghy'ego otwiera się, a jej zawartość rozsypuje po całej podłodze.

Tak niewiele trzeba, żebym do niej dotarła, choć Derreck przygląda się wszystkiemu z dezaprobatą. Ale stracił prawo do zatwierdzania lub podważania słuszności moich poczynań z powodu tych siedmiu miesięcy, kiedy mnie zdradzał.

Chcę zwrócić się do niej z błaganiem, ale zauważam zmianę w jej zachowaniu. Zbladła, dłonie jej drżą i zdaje się, że nie ma siły utrzymać pistoletu. Podążam za jej przerażonym spojrzeniem i trafiam na zdjęcie Caleba Donaghy'ego, to, które zrobiłam w kostnicy.

Nie rozumiem, a może rozumiem, ale coś mi się nie klei.

- Kto to jest? – pyta ledwie słyszalnym szeptem.

- Co za pytanie? Pacjent, o którego zabójstwo mnie oskarżasz.

- Caleb Donaghy? – Kuca i niezdarnie podnosi teczkę, po czym zbiera porozrzucane papiery, nie wypuszczając broni. – Widziałam tylko jego zdjęcie z prawa jazdy – szepcze, bardziej do siebie niż do mnie – z brzydkim tupecikiem, brodą, w okularach. Nie miałam pojęcia...

Wstaję i podchodzę do niej, wyciągając rękę po akta.

– To człowiek, który zmarł na moim stole – mówię łagodnie. – Myślałam, że wiesz.

Kiedy na mnie patrzy, wygląda nieznajomo, ale dostrzegam w niej coś z Melanie: udręczone spojrzenie, które miała w oczach, kiedy zobaczyła Donaghy'ego na ławce w parku.

W końcu do mnie dociera.

Melanie nie była jedyną ofiarą mężczyzny leżącego w szpitalnej kostnicy. Była jedną z wielu.

– Tak mi przykro, że musiałaś znieść tyle cierpienia – szepczę łagodnie. – Byłyście z Melanie za małe, tak bezbronne w rękach tego...

– Zamknij się, do cholery – warczy, ale jej głos nie jest już tak zimny i przesywający jak wcześniej. Niesie zdjęcie Caleba do niszcarki przy ścianie. Warkot trwa zaledwie sekundę i zdjęcie znika. – Cieszę się, że nie żyje.

Decyduję się na skok na głęboką wodę.

– Ja też. Dla Melanie. – Zapada pełna napięcia cisza. – I dla ciebie.

Paula cofa się o krok, spogląda w dal, a później na Derrecka; wściekłość w jej oczach wzmagą się i gaśnie pod wpływem wewnętrznej walki.

– Moja siostra nie żyje i ktoś musi za to zapłacić. Pomyślałam, że tym kimś powinnaś być ty, bogata, rozpieszczona dziewczucha, która odebrała mi Melanie. – Kiwa głową w stronę Derrecka, nie spuszczać ze mnie wzroku. – To on otworzył mi drzwi, dzięki niemu mogłam zacząć niszczyć ci życie.

– Chcesz powiedzieć, że byłem tylko pionkiem w twoim planie zemsty? – krzyczy Derreck, rzucając się po broń. Paula się szarpie, ale nie ma dokąd uciec: za jej plecami znajduje się biurko.

- Derreck! - wrzeszczę, z przerażeniem przyglądając się szamotaninie. Zbyt wiele razy widziałam w izbie przyjęć skutki walki o naładowaną broń. - Nie rób tego, odsuń się od niej.

Nie słucha mnie.

- Wykorzystałaś mnie - warczy, szarpiąc pistolet obiema rękami. Paula nie pociąga za spust, tylko walczy z moim mężem. Jest od niej znacznie silniejszy i wściekły. W końcu chwytą ją za nadgarstek i wykręca jej rękę, a wtedy broń wypala i słychać wrzask Derrecka.

- Derreck! - krzyczę znowu i chcę do niego doskoczyć, ale on wciąż stoi i toczy walkę o broń. Jedną dłonią ściska Paulę za nadgarstek, wykręca go i przyciska jej dłoń do klatki piersiowej.

Kiedy pistolet znów strzela, krzyczę i w tej chwili wkraczają do akcji policjanci, którzy celują w Derrecka.

Paula leży u jego stóp z dziwnym spojrzeniem, a rana w jej piersi obficie krwawi.

- Rzuć broń - rozkazuje jeden z policjantów. Mundur i uzbrojenie specjalnej jednostki grzechoczą, gdy się porusza. - Natychmiast, bo będę strzelał.

Derreck przykuca i kładzie broń na podłogę, a później podnosi rękę. Krwawi mu brzuch z lewej strony. Jest blady, czoło ma spocone.

Do pokoju wpada Madison.

- Ekipy ratunkowe są w drodze. Przepraszam, że to tak długo trwało.

Klękam przy Pauli i sprawdzam puls. Jest, ale słaby i chwilami zanika. Traci dużo krwi, zaraz dozna wstrząsu. Nie ma chwili do stracenia.

Jeden z policjantów chwytą Derrecka za ramię, zmuszając go, by wstał. Mój mąż próbuje się wyrwać, ale uścisk policjanta jest

mocny.

- Chwileczkę, nie może pan tego robić. Wie pan, kim jestem?

Nie sądzę, by policjant wiedział, kim jest Derreck.

Ja jestem jego żoną od czternastu lat i tego nie wiem.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

ŚWIĘTOWANIE

Kilka godzin temu siedziałam przy śpiącej Pauli dochodzącej do siebie na OIOM-ie, przykutej kajdankami do poręczy łóżka. Na sali panował spokój, a pionowe żaluzje chroniły przed słońcem. Moje myśli przerywało jedynie ciche pikanie monitorów.

Siedziałam przy niej, wciąż w stroju chirurgicznym, przez kilka godzin po tym, jak wywieziono ją z sali operacyjnej. Nie ja ją operowałam, tylko doktor Seldon – w tym przypadku zadziałała zasada, że nie operujemy osób, które znamy.

Wyzdrowieje. Kula przebiła mięsień sercowy i utkwiała w żebrze, ale nie uszkodziła kręgosłupa. Seldon zdołał ją wyciągnąć i ładnie zszyć ranę. Postrzelonym można zostać w rozmaitych miejscach, ale szpital z najlepszym oddziałem urazowym jest z nich wszystkich prawdopodobnie najlepszy. Brałam udział w operacji, w pełni sterylna, ale niczego nie dotykałam zgodnie ze stanowczą prośbą doktora Seldona.

Nie chciałam... Chciałam po prostu być przy niej, a Seldon życzliwie mi na to pozwolił. Wiem, że Melanie by tego chciała. Byłam z Paulą na każdym etapie od momentu, gdy upadła na ziemię w moim biurze, podczas tamponady serca, którą leczyli na ostrym dyżurze, przygotowując jednocześnie salę operacyjną, a także pod-

czas operacji i przez kilka pierwszych godzin rekonwalescencji na oddziale intensywnej terapii.

Kiedy poruszyła się we śnie, wstałam, chwyciłam ją za rękę i delikatnie ścisnęłam.

– Tak mi przykro, że odebraliśmy ci siostrę – szepnęłam, choć Paula wciąż była nieprzytomna. – Ale nie żałuję, że pojawiła się w naszym życiu.

Jeszcze raz sprawdziłam funkcje życiowe i wyszłam.

Nie chciałam być przy niej, gdy się obudzi, bo obawiałam się, że moja obecność dołoży jej niepotrzebnego stresu. Nie wiadomo, co przyniesie przyszłość. Na przekór logice i zdrowemu rozsądkowi mam nadzieję, że znajdzie się sposób, byśmy utrzymały kontakt. Chciałabym móc o sobie myśleć, że jestem dobrym człowiekiem, który nie żywi urazy i stara się rozumieć, co mogą spowodować trauma i strata. Kimś, kto potrafi wybaczać.

Wychodząc z jej pokoju, zajrzałam w głąb siebie i nie znalazłam nic. Nie wiem, czy uda mi się być tym lepszym człowiekiem, gdy wszystko zostanie wyjaśnione. Myśl o niej w ramionach Derrecka jest druzgocąca. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie o tym zapomnieć.

Usłyszała zarzuty. Poważne.

Policjant, który wciąż siedział w moim gabinecie, gdy wróciłam, wspomniał o próbie zabójstwa i wydawał się zdezorientowany tym, jak bardzo jestem przybita z powodu tych zarzutów. Jego przeciągłe spojrzenie i lekko przechylona głowa sugerowały, że uważa mnie za lekką wariatkę. Był jednak dla mnie miły i pomógł mi usiąść, gdy moje nogi się wreszcie poddały. W końcu sprawy wzięła w swoje ręce Madison i przegoniła go jak uczniaka.

Pauli grozi dożywocie. Rozmawiałam ze szpitalnym adwokatem, ale tylko częściowo rozumiałam jego wyjaśnienia: premedytacja i strzał z broni palnej podczas popełnienia przestępstwa najwyższej kategorii może oznaczać długie dziesięciolecia w więzieniu.

Kiedy siedziałam przy niej, szukając rysów Melanie w jej bladej twarzy, przysięgłam sobie, że będę walczyła z wszelkimi zarzutami, jakie zostaną jej postawione, najlepiej jak potrafię.

Załatwię jej najlepszego adwokata, a biegli z zakresu medycyny ustawią się w kolejce, by mówić o trwałych skutkach wykorzystywania seksualnego w dzieciństwie. Będę zeznawała na jej korzyść, a nie przeciwko niej, a prokurator oczekujący czego innego niemile się zdziwi.

Dość już wycierpiała.

Niestety, teraz moja kolej. Moje życie zostało wywrócone do góry nogami. Rana Derrecka jest powierzchowna, ale to, co między nami było, skończyło się bezpowrotnie, spłonęło doszczętnie.

Jadę do domu, nadal otępiała. *Jest środa, mamy nie ma, jak zwykle w środowe wieczory.* Dziwnie się z tego cieszę, bo mam świadomość, że bardzo potrzebuję czasu dla siebie, by myśleć, rozpaczać i przetworzyć wszystko, co się dziś wydarzyło.

Ale najpierw muszę zrobić coś jeszcze.

Gdy tylko przybywam do domu, wchodzę na górę i zatrzymuję się przed drzwiami pokoju Melanie. Zamykam oczy i kładę na nich czoło, pozwalając myślom błądzić. Po kilku chwilach w moim umyśle pojawia się cichutki dźwięk jej śmiechu, ukochane, cenne wspomnienie naszego wspólnego życia. Z tym dźwiękiem w głowie chwytam za klamkę i ją naciskam.

Drzwi się otwierają i wchodzę do dawnej sypialni Melanie. Meble są przykryte pokrowcami, ale wszystko zostało tak, jak było. Podłoga jest czysta, dywan niedawno odkurzony. Mama musi dbać tu o porządek, choć nie wspominała mi o tym słowem. Czekala, aż będę gotowa.

Nie mam tu czego szukać. Melanie żyje na zawsze w moim sercu. Ten pokój opuściła dwadzieścia dwa lata temu.

Przed wyjściem muszę zrobić jedną rzecz. Podchodzę do dużego okna i rozsuwam zasłony, by wpuścić do środka słońce. Drobinki kurzu wirują i tańczą w jego promieniach, przypominając mi o niebieskiej spódnicy w koła i białej bluzce z falbankami.

Na dole, w sypialni dla gości, uderza mnie zapach wody po goleniu Derrecka i zatrzymuję się, wpatrując się w otwartą szafę.

Wiem, co muszę zrobić. Nie wiem tylko, czy mogę.

Mój mąż jeszcze nie wrócił do domu. W szpitalu zszyto mu ranę i przewieziono go na komisariat, aby tam złożył zeznania. Nie grożą mu zarzuty; jego twierdzenie o samoobronie zostanie uznane. Kiedy ostatnio do mnie pisał, jeszcze czekał na pojawienie się swojego adwokata.

Nie odpisałam mu. Nie zamierzam odpisywać już nigdy. Chcę, żeby na zawsze zniknął z mojego życia.

Przez chwilę mógłby utrzymywać, że padł ofiarą planu zemsty Pauli. Może i tak, ale nikt go nie zmuszał do zdrady. Mógł powiedzieć „nie”. Nie zrobił tego. Dla mnie to czyn niewybaczalny.

Nie ma powrotu po siedmiu miesiącach zdrady.

Wyciągam walizkę i otwieram ją na łóżku, uświadamiając sobie, że przeczucie powiedziało mi o romansie dawno temu, kiedy zauważyłam, że Derreck wraca do domu pachnący świeżością

po dwunastogodzinnym dniu. Wracił do domu po schadzce, a świeży zapach to był efekt prysznic, jaki brał w hotelu.

Ta zagadka rozwiązana.

Teraz muszę wymyślić, jak rozplątać nasze życie. Dreszcz przechodzi mi po plecach na wspomnienie pogardliwych słów Pauli na temat mojego męża. A jeśli to prawda? Jeśli nie pozwoli się wyrzucić z domu zaledwie kilka miesięcy przed wyborami na burmistrza? Ma wiele do stracenia.

Wydaję z siebie bolesne westchnienie i siadam na łóżku obok pustej walizki.

Pieniądze. Zwykle rozwiązują problem. Dam mu pieniądze, żeby się wyprowadził, i do wyborów zachowam dyskrecję. Później się z nim rozwiodę, dopilnowując, żeby nie zyskał przy tym za wiele. Dzięki Pauli mogę udowodnić jego niewierność. Na wyciągach z jego kart kredytowych znajdę płatności za eleganckie hotele nad rzeką.

Odgłos otwierających się drzwi pralni ściąga mnie do salonu. Spodziewam się mamy, a tymczasem to Derreck.

Jestem przerażona, wpatruję się w niego, jakbym zobaczyła ducha.

On się uśmiecha swoim czarującym, szerokim uśmiechem i wręcza mi tuzin czerwonych długich róż, a później składa pocałunek na moich lodowatych wargach. Przyjmuję kwiaty; szelest celofanu wydaje się nieprzyjemnie głośny w pełnej napięcia ciszy naszego domu. Nie mogę się ruszyć. Powinnam zanieść je na wyspę kuchenną i włożyć do wazonu. Powinnam wzywać pomocy. Powinnam kazać mu wyjść.

W jego oczach jest coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam: zaciekle determinacja; tę twardość, którą zawsze w nim podziwiałam,

teraz widać w jego spojrzeniu – wywołuje we mnie fale strachu. Wpatruję się w niego, skupiona na głośnym szepcie intuicji.

Tym razem jej słucham.

– Hej – mówi, pociągając krawat za węzeł, aż jest dość luźny, by zdjąć go przez głowę. – Wyobrażam sobie, jak bardzo jesteś zdenerwowana. – Rzuca krawat na oparcie krzesła i zdejmuje marynarkę, krzywiąc się z bólu. W jego koszuli widoczna jest zakrwawiona dziura, ale pod spodem dostrzegam czysty opatrunek. Zdejmuje koszulę, zwija ją w kulkę i wyrzuca do kosza. – Ludzie popełniają błędy, Anne.

Bierze ode mnie róże, odkłada je na komodę i chwyta mnie za ramiona. Drzę.

– Ludzie robią rzeczy, których nie potrafią wyjaśnić. Czasem takie, za które woleliby nie zostać pociągnięci do odpowiedzialności. – Mówi łagodnym tonem, ale nie daję się zwieść. Wszystko we mnie krzyczy. – Weźmy na przykład twojego pacjenta. Jak się nazywał? Caleb Donaghy?

Oto jest, nazwisko, które niczym miecz Damoklesa wisi nad moją głową. Jestem zakładnikiem Derrecka – on nie zamierza z założonymi rękami czekać na cios kończący jego karierę. Byłam naiwna, licząc na to.

Przebiega mnie zimny dreszcz, gdy przypominam sobie wszystko, co powiedziałam mu o Calebie Donaghy. Nie ma znaczenia, że to nie moja decyzja o przedwczesnym stwierdzeniu zgonu go zabiła. Nie mogłabym wyjawic, kto to zrobił. Dziś dowiedział się jeszcze więcej od Pauli i z tego, co powiedziałam jej na temat Melanie, i z jej reakcji na widok zdjęcia Donaghy'ego. Właśnie ujawn-

iłam mojemu mężowi, że miałam motyw, by zabić Caleba Donaghy'ego.

– Nie wiem, czy zdołam ci wybaczyć, Derreck. – Wiem, że prawdopodobnie tracę czas. Zdejmuje buty i siada na sofie z jękiem satysfakcji. Nigdzie się nie wybiera. – Chcę rozwodu.

Nawet nie wzdycha.

– Przebaczenie ma to do siebie, że można się go nauczyć. Czas leczy wszystkie rany, także potworny ból, który zapewne teraz odczuwasz. Czas wymazuje wspomnienia, zwłaszcza jeśli naprawdę chce się o czymś zapomnieć. A ja chcę. – Patrzy mi prosto w oczy, aż w końcu spuszcza wzrok. Głośno i wyraźnie przedstawia ofertę nie do odrzucenia.

– Co w takim razie zamierzasz zrobić? – pytam, patrząc na niego ponownie z taką determinacją, na jaką tylko potrafię się zdobyć. Nie zamierzam tego tak zostawić.

Podnosi się, krzywiąc się lekko i dotykając boku, w który ugodziła go kula.

– Co powiesz na małe świętowanie? – Podchodzi do lodówki i wyjmuje butelkę wina, jednego z tych droższych. Odkorkowuje ją i napełnia dwa kieliszki, a ja stoję i przyglądam mu się z niedowierzaniem. Podaje mi kieliszek i unosi swój.

– Za nas, moja droga żono, za ciebie i za mnie, połączonych na zawsze.

Stukam się z nim kieliszkiem mimo mdłości i osłabienia.

Uśmiecha się i puszcza do mnie oko.

– I za Caleba Donaghy'ego.

Obserwuję, jak pije, i na moich wargach pojawia się uśmiech. Mój ukochany mąż myśli, że wszystko uszło mu płazem.

Caleb Donaghy też tak myślał. Dopóki nie wylądował na półce numer sześć w szpitalnej kostnicy.

Nic nie trwa wiecznie.

Gorące podziękowania za przeczytanie *Tajemnicy lekarki*. Jeśli książka Ci się podobała i chcesz być na bieżąco z moimi najnowszymi publikacjami, zarejestruj się pod poniższym linkiem. Twój adres e-mail nie zostanie nikomu udostępniony, w dowolnym momencie możesz zrezygnować z subskrypcji.

www.bookouture.com/leslie-wolfe

Pisząc nową książkę, myślę o Tobie, Czytelniku: co chciałbyś przeczytać, jak lubisz spędzać wolny czas i co najbardziej cenisz w chwilach spędzonych w towarzystwie wykreowanych przeze mnie postaci, doświadczając wraz z nimi wyzwań, które przed nimi stawiam. Dlatego chciałabym się od Ciebie dowiedzieć, czy książka Ci się podobała? Masz ochotę na inne, podobne historie? Twoja opinia jest dla mnie niezwykle cenna, będę wdzięczna za Twoje uwagi. Skontaktuj się ze mną bezpośrednio poprzez jeden z podanych niżej kanałów. Najprostszą drogą kontaktu jest e-mail: LW@WolfeNovels.com. Nigdy nie udostępnię nikomu Twojego adresu i obiecuję, że otrzymasz ode mnie odpowiedź!

Jeśli podobała Ci się moja książka i jeśli mogę Cię o coś prosić, poświęć chwilę i podziel się ze mną swoją opinią. A może polecisz *Tajemnicę lekarki* innym? Recenzje i osobiste rekomendacje pomagają czytelnikom odkrywać nowe tytuły lub nowych autorów; to bardzo wiele zmienia i ma dla mnie ogromne znaczenie. Dziękuję za wsparcie i mam nadzieję, że moja kolejna opowieść dostarczy Ci rozrywki. Do zobaczenia wkrótce!

Dziękuję,

Leslie

Z głębi serca dziękuję fantastycznemu zespołowi wydawnictwa Bookouture. Praca z Wami to przyjemność, Wasz entuzjazm jest zaraźliwy, a poświęcenie – inspirujące.

Szczególne podziękowania dla Ruth Tross i Christiny Demosthenous, najlepszych partnerek do burzy mózgów, na jaką autor może liczyć. Dzięki Wam proces redakcyjny jest przyjemnym doświadczeniem.

Serdeczne podziękowania kieruję do Kim Nash i Noelle Holten za niestrudzone promowanie moich książek we wszystkich kanałach. Alba Proko jest wspaniałym menedżerem audio, który moje spisane opowieści zamienia w nagrania, czuwając nad procesem na każdym etapie. Dzięki Tobie jestem dumna z każdej z nich. Twoja praca jest inspirująca.

Ogromne ukłony dla zespołu marketingu cyfrowego, który sprawnie i niestrudzenie pracuje nad tym, żeby premiera każdej nowej książki była lepsza od poprzedniej. Jesteście niesamowici.

Najgorętsze podziękowania kieruję do Richarda Kinga za entuzjastyczne wysiłki, by wprowadzić moją twórczość na rynki zagraniczne w przetłumaczonych wersjach i być może, pewnego dnia, na ekran. Serdecznie dziękuję za wszystko, co robisz, i za szczere zainteresowanie moją pracą. Bardzo to doceniam.